MAGAZYN *razem z dodatkami*

+

● Pokolenie X. Twardziele, o których trochę zapomniał świat

● Sądy otwarte na świat raz w roku. A na co dzień? ● Prof. Ryszard Tadeusiewicz: Nie boję się buntu maszyn

PLUS TELEMAGAZYN **z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu**

Express BYDGOSKI

Piątek 5.06.2026

Nr 128 (11316) Rok XXXVII

www.expressbydgoski.pl Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

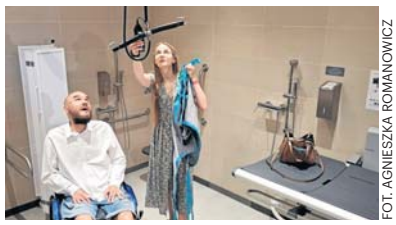

FOT. AGNIESZKA ROMANOWICZ

Komfortka. Pionierski projekt na stacji Orlenu specjalnie dla osób niepełnosprawnych **str. 3**

Kronika bydgoska
Dąb bydgoski a sprawa krakowska **str. 2**

Nr ISSN 1230-9192 Nr indeksu 350680

9 771230 919059 23

Bydgoszcz w kwiatach i zieleni 2026!

Miejscy ogrodnicy! Pochwalcie się swoimi ogrodami i balkonami w dorocznym konkursie Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy i „Expressu Bydgoskiego” **str. 6**

KOLAŻ. ZOSBOR/AI

Radny, sołtys i społecznik pobici na imprezie Koła Gospodyń Wiejskich. Całe zajście trwało sekundy. Policja zatrzymała podejrzanego **str. 5**

List do prezydenta Bydgoszczy napisały... kaczki i nurogęsi. Apel społeczników o rozsądek **str. 4**

Jazda tylko w kasku na rowerze i hulajnodze! Kto i jakiej wysokości poniesie karę za jego brak? **str. 3**

Smog świetlny może zrujnować zdrowie. Naukowiec z UKW znalazł sposób, jak go badać **str. 7**

Wariant oszczędnościowy? Premium? **Wychowanie dziecka do 18 lat kosztuje...** **str. 8**

AUTOREKLAMA 0111532579

Już dzisiaj

wyjątkowy prezent dla naszych Czytelników!

MAGAZYN O NASZYM WOJEWÓDZTWIE I JEGO MIESZKAŃCACH

Express Bydgoski · Gazeta Pomorska · Nowości

eprasa.pl 3abe94452f

TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA
● Edyta Bartosiewicz. Pierwszy sukces to album „Sen”

PONIEDZIAŁEK
● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu

WTOREK
● Strefa biznesu - analizy i informacje gospodarcze

ŚRODA
● Jak się przygotować do oddania krwi? Co jeść?

CZWARTEK
● Decydował Stalin. Tworzyli zamknięty krąg wybrańców

PIĄTEK
● PULS - reportaże, rozmowy, analizy ekspertów

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

Agaton Koziński
publicysta

KTO SIĘ POTRAFI UCZYĆ NA BŁĘDACH?

Awantura, jaka w Polsce wybuchła przy okazji decyzji Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek nazwy „Bohaterowie UPA” sprawia, że poniżej naszych radarów przeszło inne wydarzenie. Chodzi o decyzję niemieckiego biznesu o udziale w konferencji gospodarczej w Petersburgu. Przedstawiciele niemieckiej Izby Handlu Zagranicznego brali udział w tym forum do 2021 roku. Po ataku Rosjan na Ukrainę przestali, ale w tym roku postanowili tam wrócić. - Zachód nie powinien na stałe oddawać Rosji jej dużego rynku i surowców Azji - argumentował tę decyzję Matthias Schepp, szef Izby. Nie pierwszy raz Niemcy wychodzą z założenia, że można z Rosją zbudować normalne stosunki gospodarcze. Za czasów rządów Angeli Merkel powstała nawet doktryna „zmiana przez handel”. Zgodnie z jej założeniami budowanie więzi biznesowych z Rosją miało przełożyć się na jej zmianę polityczną. Oczywiście, dziś nikt już pomysłu cywilizowania Rosji przez związki biznesowe podnosić nie będzie. Ale od czasów zawieszenia współpracy gospodarczej z Rosją Niemcy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej. Niemiecki biznes będzie szukał każdej okazji do ratowania swoich szans. Także jeśli będzie to oznaczało współpracę z Rosją. A jeśli ktoś uważa, że to nie jest możliwe to niech odpowie na pytanie: co delegacja niemieckiego biznesu robi w Petersburgu? Oczywiście, biznes nie funkcjonuje w próżni, są jeszcze politycy, rząd. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w której kanclerz Friedrich Merz odnawia współpracę z Moskwą albo przynajmniej akceptuje odbudowę relacji biznesowych. Ale Merz jest kanclerzem słabym, koalicja rządowa jest pęknięta i skłócona. A w sondażach prowadzi AfD, które mocno argumentuje na rzecz ograniczenia pomocy Niemiec dla Ukrainy i odbudowy więzi z Rosją. To jest skala wyzwania, przed jaką stoimy jako Polska, jako Europa. Warto też pamiętać o tym wymiarze trwającego obecnie na wschodzie konfliktu i w tym kontekście patrzeć też na polską dyskusję o „bohaterach UPA”, których nigdy nie było.

KRONIKA BYDGOSKA

Zaglądam Bydgoszczy w gary i talerze

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Jak lubimy jeść w Bydgoszczy? Co? W jakim otoczeniu? I - last but not least - ile na to możemy wydać.

Pani przy stoliku na tarasie podbydgoskiej restauracji do sympatycznego, zabieganego kelnera: - Jeszcze kilka komunii i potem to już luz w knajpie, nie?... - Ależ skąd! Do czerwca przyjęcia, potem koniec roku szkolnego, potem wysoki sezon wakacyjny, w październiku trochę spokoju, potem gęsina na świętego Marcina i już lecimy z wigiliami firmowymi... Najkrótsza recenzja biznesu gastronomicznego, gdzie można zawalczyć o sukces, jeśli zagwarantuje się w miarę smaczne potrawy, w miarę rozsądne ceny i opakuje się to w ładną scenografię (tudzież zadba o zgrabną promocję).

Jestem rodzinnie dotknięta kaskadą majowych urodzin i od zawsze rezerwacja stolika na obiad dla najbliższych w tym czasie to walka o ogień z nawałem komunijnym. Białe ekipy się zmieniają, u mnie problem wciąż ten sam. Więc z pocałowaniem ręki biorę zawsze to miejsce wciśnięte na jakimiś tarasie między pięcioma innymi uroczystościami, pośród biegających z prezentami dzieci i pokrzykiwań znad mojej zupy: - Basiaaaa, przewinęłam Stasia, bo już mokro miaaaaał. - Maaartaaa, nie pobrudź sukiennkiii...

FOT. NADESŁANE/UMB

Od 13 czerwca w miejscu „Współczesnej” nowa „Współczesna”

I tak w kółko. Może gdybym była chociaż wyższą klasą średnią, mogłabym w Bydgoszczy bywać w miejscach, które z satysfakcją i radością odnotowały niedawno sukces gastronomiczny. Mowa o trzech bydgoskich restauracjach, które otrzymały właśnie prestiżową rekomendację Michelin. Nie są to lokale „gwiazdkowe” stuletniego przewodnika kulinarnego (najbliższa taka jest w... Poznaniu) ani nawet kategorii Bib Gourmands (decyduje wyjątkowa jakość w relacji do ceny) - tu musielibyśmy się wybrać do Torunia, ale docenione przez krytyków i ekspertów, więc z całą pewnością warte oklasków, gratulacji i... odwiedzenia. O ile portfel pozwoli (zawsze można sprawdzić na stronach internetowych) i przekonają opinie innych (obecne w mediach społecznościowych), warto zapamiętać: Czosnek i Oliwa, Scoria oraz Meluzyna. Wyróżnione za kreatywność przy zachowaniu tradycji polskiej i europejskiej kuchni.

Bez dywagacji, kogo stać na odwiedzanie restauracji w Bydgoszczy i czy istnieje u nas coś takiego jak „kultura bywania” i jedzenia na mieście, z pewnością nie brakuje tu miejsc tego wartych i wiernych gości. Niedawny fejsbukowy lament nad żegnającą się z Bydgoszczą bałkańską restauracją z Bartodziejów jest chyba niezłym tego dowodem. Właściciele ostatecznie ogłosili, że jeszcze na osiedlu zostają. Nie byłam tam nigdy, ale mam nadzieję, że klienci rzeczywiście swoimi odwiedzinami i zamówieniami na co dzień sprzyjali „Montenegro”, a nie tylko po fakcie komentowali na Fb.

Rezerwacja stolika na obiad dla najbliższych w tym czasie to zawsze walka o ogień z nawałem komunijnym.

Zdrowe jedzenie i kawę będzie można tymczasem zamówić już od przyszłego tygodnia w miejscu podwójnie kultowym. Tu brak będzie aspiracji do kulinarnych wyróżnień, tu oferta gastronomiczna ma być dopełnieniem artystycznych celów. 13 czerwca oficjalnie ruszy „Współczesna” - w miejscu jednoznacznie kojarzonym z legendarną księgarnią. W lokalu w Bydgoskim Centrum Organizacji Pozarządowych i Wolontariatu przy ul. Gdańskiej 5 dotąd nie utrzymywały się dłużej podmioty prowadzące barek, może zatem „dzienna filia” (nocnego) Mózgu spodoba się mieszkańcom. - Chcemy stworzyć miejsce otwarte i wielofunkcyjne - takie, w którym równie naturalne będzie spotkanie przy dobrej kawie, zdrowym posiłku, udział w koncercie muzyki eksperymentalnej, projekcji filmu czy rozmowie o kulturze współczesnej - podkreśla w oficjalnym komunikacie Sławomir Janicki z Mózg Foundation - Fundacji Muzyki Współczesnej i Form Interdyscyplinarnych, współtwórca działającego od ponad 30 lat Klubu „Mózg”.

Dla jednych „Mózg”, dla innych plakietka ludzika Michelin, dla większości restauracyjne ogródki. Smacznego! ©℗

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek

16°C
14°C

Wiatr
płn.-zach., 25 km/h
Ciśnienie
1012 hPa
Uwaga!
Możliwe burze

Sobota
23°C
9°C

Niedziela
23°C
16°C

Dziś imieniny obchodzą Bonifacy, Ferdynand, Igor, Jakub i Waleria

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”

FOT. NAC

Mieczysław Fogg zdobył popularność, nie pokazując twarzy. Zmarł u progu narodzin nowej rzeczywistości. Śpiewał barytonem lirycznym. Już za życia stał się ikoną kultury polskiej XX wieku. Był tytanem pracy. Podczas trwającej ponad 60 lat kariery zagrał około 16 tysięcy koncertów, w jego repertuarze znalazły się ponad dwa tysiące piosenek. Mało jest takich artystów, którzy nawet dekady po śmierci wciąż zasługują na miano gwiazdorów estrady.

Ponadto:
● Suwalszczyzna na weekend. Propozycje dla małych i dużych.
● Trawy ozdobne na taras i balkon. Które dobrze rosną w doniczkach.
● Windykator czy komornik. Dowiedz się, jakie mają uprawnienia.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Harasiuk, była dyrektorka Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników, konsultantka biznesowa

Niech bursztyn ma w sobie wszystkie legendy i tajemnice. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata

Puls, str. 22-23

eprasa.pl 3abe94452f

Gigantyczny pomnik w Konotopiu na 15 sierpnia

Justyna Wojciechowska-Narloch
justyna.wojciechowska-narloch@polskapress.pl

Ponad 55 metrów wysokości mieć będzie pomnik Matki Boskiej w Konotopiu w gminie Kikół. Będzie zatem wyższy od Jezusa Chrystusa w Świebodzinie i Chrystusa Zbawiciela w Rio de Janeiro.

Budowany w sąsiedztwie sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej w Konotopiu gigantyczny monument od dawna budzi emocje. Nie inaczej było w ostatnią niedzielę maja. W okolice placu budowy ludzie przyjeżdżali samochodami, rowerami, przychodzili piechotą. Przyglądali się temu, co już powstało i dyskutowali jaki będzie efekt finalny.

- Myśli pani, że to ładne będzie - zapytała mnie pani, która wcześniej pozowała na tle betonowej konstrukcji. - Bo mnie się wydaje, że chyba trochę przesadzili, że to za wielkie będzie. Taka ogromna Matka Boska może przerażać.

- Ja uważam, że ludzie tu z ciekawości będą przyjeżdżać z całej Polski. Nie żeby się modlić, ale żeby to zobaczyć. To będzie prawdziwa atrakcja - dodał mężczyzna, który pod ogrodzenie placu budowy przyjechał rowerem z Lipna.

- Tylko chyba nie pomyśleli, bo parking zrobili za mały. Jest tam, przy wjeździe, już wyłożony kostką. Tam się dużo aut nie zmieści, a na pewno i autokary będą przyjeżdżać. Ruch się zrobi jak w ulu - podzielił się swoją opinią drugi rowerzysta.

Przy betonowej konstrukcji stoją gigantyczne dźwigi. Część terenu, od Drogi Krajowej nr 10, jest już utwardzona, są tam elementy małej architektury jak na przykład fontanna. Nasadzono także drzewa i krzewy.

Sama figura w Konotopiu będzie miała ponad 55 metrów wysokości, z czego aż 15 metrów stanowić będą korony. To właśnie tam zaplanowano taras widokowy, na który będzie można wjechać windą. Z góry rozciągać się będzie panorama na okoliczne jeziora i lasy.

Inicjatorami i fundatorami tego przedsięwzięcia są Roman Karkosik, znany milioner, oraz jego żona Grażyna. Pomnik powstaje jako wotum wdzięczności.

Poświęcenie pomnika zaplanowano na 15 sierpnia br.©℗

FOT. JUSTYNA WOJCIECHOWSKA-NARLOCH

Tak wygląda obecnie budowa pomnika Matki Boskiej w Konotopiu w gminie Kikół

Pionierski projekt na stacji Orlenu. „Komfortka to historyczna zmiana"

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

3 czerwca 2026 r. na stacji przy MOP Gruczno-Zachód koło Świecia Orlen rozpoczął realizację projektu, który ma zmienić jakość podróżowania osób z niepełnosprawnościami.

Stacja Orlen na MOP Gruczno-Zachód przy drodze ekspresowej S5 koło Świecia jest pierwszą w Europie, która została wyposażona w toaletę w pełni dostosowaną do potrzeb osób niepełnosprawnych. 3 czerwca 2026 r. zorganizowano jej uroczyste otwarcie.

- Komfortka to nie jest tylko powiększona toaleta, to profesjonalne pomieszczenie z leżanką z elektryczną regulacją wysokości, podnośnikiem ułatwiającym transport osoby niepełnosprawnej, prysznicem bezprogowym z siedziskiem, poręczami oraz umywalką dostosowaną do potrzeb osoby niepełnosprawnej i systemem alarmowym - podkreślał Piotr Suchodolski, dyrektor wykonawczy ds. marketingu w Orlenie. - Współpracujemy z fundacją Integracja, która pomogła nam to tak zaprojektować, żeby było rzeczywiście użyteczne.

- Zaproponowaliśmy Orlenowi trzy rozwiązania: minimum ustawowe, opcję ekonomiczną i najbardziej optymalną - powiedziała Ewa Cieśla z zarządu fundacji Integracja. -

FOT. AGNIESZKA ROMANOWICZ

Otwarcie pierwszej komfortki na stacji Orlen przy MOP Gruczno-Zachód przy S5. Sprzęt testuje Mikołaj Nitka

Dziękuję za wybranie opcji optymalnej, czyli w pełni wyposażonej. Jeśli lider zaczyna z tak wysokiego „c", to wierzymy, że więcej stacji zacznie realizować podobne projekty.

Inicjatorką projektu była europosłanka Jagna Marczułajtis-Walczak. - Jako mama 10-letniego syna z niepełnosprawnościami mierzę się z wieloma wyzwaniami, które stoją przed opiekunami. Jako europosłanka, postanowiłam, że moja praca w polityce skupi się na poprawie sytuacji osób z niepełnosprawnościami w Polsce i Europie. Mój syn był inspiracją, bo podróżując z nim dostrzegłam, że największą barierą jest brak toalety dostosowanej dla osób niepełnosprawnych - wyjaśniła europosłanka.

Mówimy o 30 lokalizacjach, w tym 9 nowych, które powstaną wraz z MOP-ami, jak i o 24, które zamierzamy wyposażyć.

- Zaczynamy w Grucznie. Prezentujemy projekt, który już działa, ale mówimy o 30 lokalizacjach, w tym 9 nowych, które powstaną wraz z inwestycjami typu MOP, jak i o 24, które zamierzamy wstecznie wyposażyć w tego typu pomieszczenia. Kolejne będą na MOP Giebułtów przy trasie S7 i przy MOP Jędrzejów przy A2. Naszą ambicją i decyzją jest, aby przygotować je w takim samym standardzie - zapowiedział Piotr Suchodolski.

- To historyczny dzień - podkreśliła Jagna Marczułajtis-Walczak. - Orlen ma 3,5 tysięcy stacji, jest obecny w sześciu krajach. Mam nadzieję, że te 30 stacji to początek, że wyjedziecie ze swoim projektem za granicę i będziecie liderem dostępności i odpowiedzialności społecznej, którymi już jesteście w Europie. Dajecie przykład, jak wspierać osoby z niepełnosprawnościami.

- To, co tu dziś robimy, to pilotaż - zapewnił Piotr Suchodolski. - Chcemy słuchać osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów, jesteśmy otwarci na modyfikacje i ulepszenie tego pomieszczenia tak, żeby spełniało wszystkie wymagania osób, które będą z nich korzystały.

Użyteczność komfortki sprawdził w Grucznie Mikołaj Nitka, który porusza się na wózku inwalidzkim. Nie miał żadnych uwag.

- Wszystko funkcjonuje bez problemu, wszystko działa. To wielka sprawa dla niepełnosprawnych w podróży - przyznał.©℗

Jazda tylko w kasku na rowerze i hulajnodze! Kto poniesie karę za jego brak?

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka-rybka@polskapress.pl

Od 3 czerwca dzieci i młodzież do 16 roku życia obowiązkowo jeżdżą w kasku na rowerze i hulajnodze. Za nieprzestrzeganie tych przepisów przez nieletnich mandaty zapłacą ich rodzice.

Nadeszły cieplejsze miesiące i rozpoczął sezon na hulajnogi. Oby przyniósł mniej wypadków niż w poprzednich latach. Mają w tym pomóc nowe, surowe przepisy.

Głównym powodem zdrowotnych konsekwencji tych wypadków jest brak kasku, a przyczyniają się do nich jazda we dwoje, brawura oraz nadmierna prędkość.

3 czerwca weszła w życie nowelizacja ustawy Prawo o ruchu drogowym, przygotowana przez Ministerstwo Infrastruktury. Od tego dnia dzieci i młodzież do 16 roku życia obowiązkowo muszą mieć na głowie założony kask ochronny na zwykłym rowerze, elektrycznym, hulajnodze elektrycznej czy Urządzeniu Transportu Osobistego (UTO: elektryczne, kompaktowe pojazdy bez siedzenia i pedałów, takie jak deskorolki elektryczne, hoverboardy, monocykle i segwaye).

Dodajmy, że nowe przepisy utrzymują również obowiązek zakładania kasku dzieciom do 7 roku życia przewożonych w przyczepce lub na siodełku. Nie nakładają zaś obowiązku zakładania kasku na dorosłych jeżdżących na hulajnodze elektrycznej. Czyli, nadal to jest kwestia bezpieczeństwa i zdrowego rozsądku, a nie nakazu.

Jak będzie egzekwowane prawo od osoby małoletniej?

Nie trudno przewidzieć, że odpowiedzialność spadnie na rodziców i opiekunów. To oni poniosą karę za ewentualne nieprzestrzeganie przepisów. W praktyce będzie to wyglądać tak, że policjant zatrzyma dziecko do czasu przyjazdu rodziców i nałoży na nich mandat karny do 100 zł.

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Policja podkreśla, że hulajnoga to jednoślad przeznaczony do przewozu jednej osoby

Ważne! To nie może być byle jaki kask, a spełniający wymagania techniczne i bezpieczeństwa.

- Niestety, na rynku pojawiają się kaski, które nie spełniają tych wymogów. KAS sprawdza jakość i bezpieczeństwo tych produktów, szczególnie importowanych z zagranicy. Ma to na celu zapobiec sprzedaży towarów, które stwarzają zagrożenie lub są niezgodne z przepisami - mówi Bartosz Stróżyński, rzecznik prasowy Izby Administracji Skarbowej w Bydgoszczy i podkreśla: - W życie wszedł obowiązek używania kasków ochronnych przez osoby niepełnoletnie i to nie jest „zalecenie" ani „dobra praktyka". To konkretny nakaz!

Kujawsko-Pomorska KAS przygotowała kilka porad dla rodziców kupujących kaski dla swoich dzieci.

Jak powinien być prawidłowo oznaczony kask?

Rodzice powinni sprawdzić produkt, m.in. czy jest on:

- prawidłowo oznakowany znakiem CE w sposób widoczny, czytelny i trwały - to deklaracja producenta, że wyrób spełnia odpowiednie wymagania unijne;
- oznaczony danymi producenta/importer;
- oznaczony modelem, numerem normy, tj. EN 1078;
- posiada instrukcję obsługi (w języku polskim);
- posiada przeznaczenie, jedno lub więcej z następujących: kask dla rowerzystów, deskorolkarzy lub użytkowników wrotek;
- jest wielkość lub zakres wielkości kasku, obwód (w centymetrach) głowy, na którą kask ma pasować; jest podana waga kasku (średnia masa w gramach)
- i ma ostrzeżenie: „ Kask nie powinien być używany przez dzieci podczas wspinaczki lub innych działań, przy których istnieje ryzyko uduszenia/powieszenia, gdy dziecko zatrzaśnie się w kasku".

©℗

eprasa.pl 3abe94452f

Bydgoszcz

Statystyczny rozwód miast od 2027 roku. Rafał Bruski: „To pokaże, gdzie bije serce regionu”

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

W maju Biuro Statystyczne Komisji Europejskiej przedstawiło nową klasyfikację jednostek statystycznych. Od przyszłego roku dotychczasowy podregion statystyczny NUTS 3 bydgoski-toruński podzielony będzie na dwa obszary: Bydgoszcz z powiatem bydgoskim oraz Toruń z powiatem toruńskim. Głos w tej sprawie na ostatniej sesji RMB zabrał prezydent Rafał Bruski.

NUTS 3 jest trzecim poziomem Klasyfikacji Jednostek Terytorialnych do Celów Statystycznych w Unii Europejskiej. W kwietniu 2025 roku, na wniosek prezydenta Bydgoszczy, Główny Urząd Statystyczny złożył do Komisji Europejskiej wniosek w sprawie podziału podregionu bydgosko-toruńskiego na dwa: Bydgoszcz i powiat bydgoski oraz Toruń i powiat toruński. Pogląd Rafała Bruskiego podzielał wojewoda Michał Sztybel. Innego zdania byli marszałek Piotr Całbecki oraz prezydent Torunia Paweł Gulewski.

Po blisko roku temat powrócił na sesji Rady Miasta Bydgoszczy. Prezydent podziękował na wstępie, że radni wówczas jednogłośnie go poparli, bez względu na barwy polityczne.

– Przypomnę, że właśnie Unia Europejska, Eurostat, na wniosek złożony przeze mnie, przy Państwa poparciu i też jeszcze poparciu paru innych osób, m.in. wojewody, starosty na naszym lokalnym gruncie, ale i na końcu minister rządu i prezesa GUS-u, zmieniła statystykę państwową w ten sposób, że nasz NUTS 3, obejmujący do tej pory dwa powiaty: bydgoski i toruński oraz dwa miasta, Bydgoszcz i Toruń, podzieliła na dwa – mówił Rafał Bruski, prezydent Bydgoszczy.

Następnie przypomniał historię walki o zmianę oraz to, w jaki sposób uzasadniał konieczność podziału podregionu. Wymieniał również przewagi konkurencyjne, które jego zdaniem Bydgoszcz ma nad Toruniem, m.in. jednostki NATO, przemysł obronny, komunikację i transport, potencjał w ochronie zdrowia czy niższe bezrobocie.

- Czekam na pierwsze dane statystyczne z dużą nadzieją. Mówiłem kiedyś, że relacja Bydgoszcz - Toruń to relacja 1,7 do 1. W tym przypadku wyjdzie ponad 2 do 1. To tak naprawdę pokaże, gdzie bije serce regionu, czyli hasło naszego stowarzyszenia Metropolia Bydgoszcz. Dzisiaj nie uda się już tego ukryć – stwierdził prezydent Bydgoszczy.

- To jest pierwszy rozwód, z którego się cieszę. Zwykle oznaczają coś nieprzyjemnego, a to oznacza coś niezwykle przyjemnego, rozwojowego i przede wszystkim dążącego do prawdy – skomentował Jakub Mikołajczak, przewodniczący klubu radnych Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy.©℗

FOT. AUTOR

Nowy podział danych będzie obowiązywał od 2027 roku

List do prezydenta Bydgoszczy napisały... kaczki i nurogęsi

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

- Z niepokojem obserwujemy, jak kolejne odcinki naszych nadrzecznych terenów zamieniają się w wysokie, strome, betonowe nabrzeża - napisały bydgoskie kaczki i nurogęsi zamieszkujące Brdę w liście do prezydenta Bydgoszczy. Miasto wyjaśnia, czemu na rewitalizowanym odcinku zastosowano taki rodzaj umocnień.

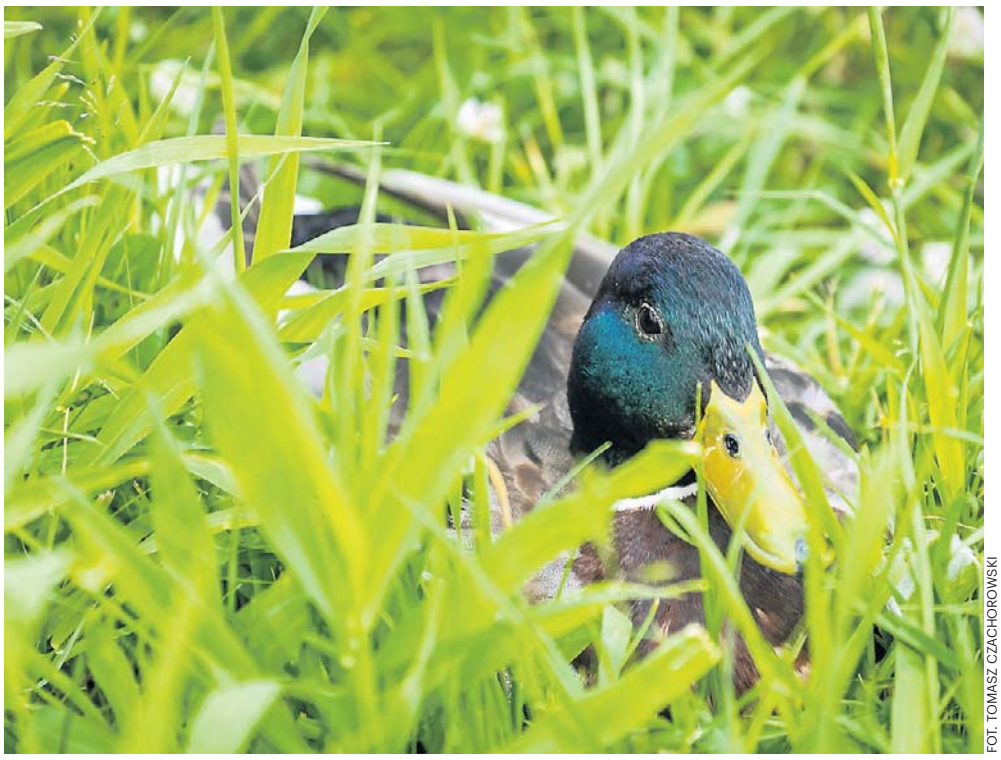

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Rewitalizacja nabrzeża od Krakowskiej do Słonecznego Młyna zakończy się po wakacjach. Obrońcy fauny i flory chcą, by jak najmniej straciło na niej ptactwo, w tym kaczki

Bydgoski Alarm Smogowy we wtorek (2 czerwca) opublikował w mediach społecznościowych list skierowany do Rafała Bruskiego. Jak w nim czytamy, jego autorami są mieszkańcy Bydgoszczy od pokoleń - kaczki i nurogęsi.

- Dorosła kaczka jeszcze jakoś poradzi sobie z wyjściem z wody, ale nasze puchate dzieci nie potrafią wspinać się po pionowych ścianach. Kiedy prowadzimy lęgi wzdłuż Brdy, coraz częściej napotykamy miejsca, gdzie nie ma możliwości bezpiecznego wyjścia na brzeg. Dla młodych ptaków oznacza to wyczerpanie, zagubienie, a czasem śmierć - piszą.

W liście zwracają uwagę także na rewitalizację wyspy św. Barbary, która po zmianach ma być przestrzenią znacznie mniej przyjazną dla ptaków wodnych.

- Nie prosimy o wiele. Nie oczekujemy pomników ani specjalnych przywilejów. Prosimy jedynie, aby przy planowaniu i modernizacji nabrzeży pamiętać, że Brda nie jest wyłącznie miejskim deptakiem odbijającym światła latarni. Jest także żywą rzeką i domem dla wielu gatunków zwierząt - przypominają autorzy listu.

Apelują m.in. o łagodne zejścia do wody w regularnych odstępach, naturalne fragmenty brzegów pozostawione bez betonowania, niewielkie platformy lub półki umożliwiające wyjście z rzeki. - Bydgoszcz często chwali się swoją bliskością natury i wyjątkową relacją z rzeką. Chcielibyśmy nadal być częścią tej opowieści, a nie jej ofiarami - stwierdzono.

Surowe wytyczne

O odniesienie się do pisma poprosiliśmy bydgoski ratusz. Po publikacji listu na oficjalnej stronie miasta pojawił się artykuł poświęcony rewitalizacji nabrzeży Brdy. Zwrócono uwagę, że to jedna z najbardziej oczekiwanych inwestycji, a jednocześnie temat budzący emocje.

- Na wielu odcinkach pojawiają się solidne betonowe umocnienia. Nabrzeża nie są własnością Miasta, ale przebudowujemy je, ponieważ są niezbędne do wytyczenia ścieżka dla pieszych i dróg dla rowerów. Ostateczny głos w sprawie formy nabrzeży zawsze należy do państwowej jednostki - Wód Polskich, a wybór technologii jest podyktowany bezpieczeństwem i surowymi warunkami technicznymi - stwierdza ratusz.

Zaznaczono, że Bydgoszcz wsłuchuje się w głos mieszkańców, wykorzystując przy projektowaniu terenów rekreacyjnych naturalne materiały, jak przy Starym Kanale Bydgoskim, ale w przypadku głównego nurtu Brdy sytuacja jest bardziej złożona.

- Wody Polskie, jako organ zatwierdzający projekty w decyzjach wodnoprawnych, stawiają na trwałość i odporność konstrukcji na ekstremalne warunki. W oficjalnych wytycznych wskazano, że umocnienia muszą być zaprojektowane w sposób niezawężający nurtu rzeki, a zastosowane materiały powinny być jednorodne i odporne na zjawiska lodowe oraz zmienne poziomy wody. Z tego powodu odradzają stosowanie drobnych elementów, takich jak płytki licowe czy kamienna kostka, które pod wpływem naporu lodu szybko ulegają uszkodzeniu - przekazano.

Społecznicy apelują, m.in., o łagodne zejścia do wody w regularnych odstępach i naturalne fragmenty brzegów bez betonowania

Koniec zalewania

Miasto na potwierdzenie zamieściło pełną korespondencję z Wodami Polskimi w sprawie nabrzeży Brdy, zachęcając do lektury mieszkańców. Czemu nie mogą mieć one formy łagodnych, zielonych zboczy? Jak tłumaczą wybór rodzaju umocnień zależny jest od dostępności terenu oraz nośności gruntów. Zastosowanie pionowych ścianek szczelnych z żelbetowym oczepem pozwala na zmieszczenie na wąskim pasie nad rzeką niezbędnej infrastruktury (drogi rowerowe, chodniki, miejsca odpoczynku), a budowa szerokich skarp wymagałaby zajęcia prywatnych nieruchomości.

Miasto przypomina, że Wody Polskie określają wysokość nabrzeża, a na odcinku od Krakowskiej do Słonecznego Młyna celowo ją podniesiono, aby wyeliminować problem notorycznego zalewania bulwarów. Wybrane rozwiązanie zwiększa też odporność nabrzeża na niszczące działanie rzeki.

Inaczej ma być na projektowanym odcinku od Żabiej do mostów Kazimierza Wielkiego. – Miasto wynegocjowało przewagę naturalnych umocnień. Wody Polskie wyraziły zgodę, aby brzeg był tam wzmocniony przede wszystkim palisadą drewnianą i narzutem kamiennym. Betonowe ściany pionowe pojawią się tam jedynie punktowo, w miejscach wymagających szczególnego wzmocnienia ze względów technicznych – informuje UMB.

Dwa projekty

Umowę na realizację inwestycji na odcinku od Krakowskiej do Żabiej (wraz z rewitalizacją wyspy św. Barbary) podpisano w styczniu 2024 r. Wykonawcą prac jest firma Strabag. Zadanie realizowane jest w formule projektuj i buduj. Na projekt otrzymano blisko 30 mln zł dofinansowania w ramach pierwszej edycji Programu Inwestycji Strategicznych w 2021 roku. Wartość rewitalizacji to 35,8 mln zł.

Prace budowlane na miejscu ruszyły w czerwcu 2025 r. Zadanie, aby usprawnić realizację, podzielono na etapy. W pierwszym wykonawca rozpoczął działania na odcinku od ul. Krakowskiej do Słonecznego Młyna. Po wakacjach na tym odcinku planowane są odbiory techniczne. Koniec pracy do ul. Żabiej planowany jest w I kwartale 2027 r.

W kwietniu 2025 r. miasto podpisało umowę na zaprojektowanie oraz przebudowę nabrzeża i bulwarów Brdy na Bartodziejach na odcinku od ul. Żabiej do mostów Kazimierza Wielkiego. Wykonawcą będzie firma AARSLEFF. Koszt to 18,68 mln zł. W przypadku tego odcinka trwają prace projektowe. Inwestycja ma być zakończona pod koniec 2027 r.

eprasa.pl 3abe94452f

Do Warszawy polecimy także w piątek po południu

Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polsakpress.pl

Port Lotniczy Bydgoszcz poinformował, że od 26 czerwca z i do stolicy będzie dodatkowy rejs - w piątki po południu. To będzie siódmy lot na trasie Bydgoszcz - Warszawa.

Od 26 czerwca PLL LOT będą realizować dodatkowe popołudniowe połączenie do stolicy w każdy piątek w godzinach 14.55-15.45, z kolei lot powrotny z Warszawy zaplanowano w godzinach 13.25-14.15.

Z LOT-em w świat

„Nowe połączenie znacząco zwiększy możliwości transferowe pasażerów korzystających z Lotniska Bydgoszcz. Popołudniowa rotacja została zaplanowana tak, aby zapewnić wygodne przesiadki do wielu kierunków międzykontynentalnych obsługiwanych przez PLL LOT, w tym m.in. do Nowego Jorku (JFK i Newark), Los Angeles, Chicago czy Toronto. To szczególnie dobra wiadomość zarówno dla osób podróżujących prywatnie, jak i dla pasażerów biznesowych oraz Polonii odwiedzającej region kujawsko-pomorski. Coraz większe możliwości oferuje również europejska siatka połączeń dostępna przez warszawski hub LOT-u. Pasażerowie z Kujaw i Pomorza mogą wygodnie dotrzeć do najważniejszych centrów biznesowych Europy, takich jak Bruksela, Frankfurt, Amsterdam, Wiedeń, Zurych czy Genewa. Nie brakuje także popularnych kierunków wypoczynkowych i city breakowych - wśród nich znajdują się m.in. Paryż, Wenecja czy Billund" - informuje PLB.

Dodajmy, że to także okazja, aby w piątek po pracy wyskoczyć po prostu na weekend do stolicy.

Cały czas PLL LOT realizuje rejsy na trasie Bydgoszcz - Warszawa w systemie: wylot 6 dni w tygodniu (z wyjątkiem niedziel) z Bydgoszczy rano (5.35, na miejscu 6.30) i powrót wieczorem (wylot ze stolicy 22.55, przylot 23.45).

Nie tylko do Warszawy

Dużym powodzeniem cieszą się regularne połączenia z PLB linią Ryanair do Alicante w Hiszpanii (wtorki, wylot 11.00 i soboty, wylot 17.05) oraz na Wyspy Brytyjskie: Dublin (środa, sobota), Bristol (czwartek, niedziela), Birmingham (poniedziałek, wtorek, czwartek, sobota, niedziela), Londyn Luton (wtorek, czwartek, sobota) i Londyn Stansted (wtorek, czwartek, piątek, sobota, niedziela).

Niestety, z latania do Bydgoszczy wycofała się niemiecka Lufthansa. Czy na zawsze, czy tylko do jesieni, czas pokaże.

Sezon urlopowy w Bydgoszczy rozpoczął się 24 kwietnia lotem do tureckiej Antalyi.

Tegoroczna oferta wakacyjna, oprócz całorocznego wylotu do egipskiego Marsa Alam, to: Turcja, Antalya - w szczycie lata liczba rotacji wzrośnie do ośmiu tygodniowo; Grecja, Kreta-Heraklion - rejsy w środy i niedziele oraz Rodos - od 5 czerwca rejsy w piątki; Egipt, Marsa Alam - całoroczne, rejsy we wtorki i Sharm el Sheikh - rejsy w środy; Hiszpania, Majorka - od 21 czerwca rejsy w niedziele.

Przypomnijmy, że - niestety - z latania do Bydgoszczy wycofała się niemiecka Lufthansa. Czy na zawsze, czy tylko do jesieni, czas pokaże. ©℗

Radny, sołtys i społecznik pobici na imprezie Koła Gospodyń Wiejskich

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Policja zatrzymała podejrzanego o atak na osoby publiczne podczas imprezy w Łochowie. Poszkodowany jest sołtys, ale też radny z Białych Błot i szef koła gospodyń. Trwa postępowanie.

FOT. KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH ŁOCHOWO

Poszkodowany Sławomir Ruge, radny Białych Błot mówi, że całe zajście trwało sekundy. - Mam jedenaście szwów na żuchwie. Nie zamierzamy chować głowy w piasek, takie sprawy trzeba piętnować. Mieszkańcy już teraz zaczynają obawiać się o swoje bezpieczeństwo

- W minioną sobotę tuż przed godziną 23 dyżurny bydgoskiej komendy otrzymał zgłoszenie dotyczące zdarzenia w Łochowie. Ze zgłoszenia wynikało, że doszło tam do awantury w związku z ogniskiem - mówi nadkom. Lidia Kowalska z zespołu komunikacji społecznej Komendy Miejskiej Policji w Bydgoszczy.

Skierowani na miejsce policjanci ustalili, że zostali zaatakowani dwaj mieszkańcy Łochowa w wieku 53 i 57 lat, którzy nie zgodzili się na rozpalenie ogniska, a także 46-letni mieszkaniec Łochowic, który chciał im pomóc. Ostatecznie i on został zaatakowany, a do tego utracił telefon, dokumenty i pieniądze.

Zwrócili uwagę młodym. Źle się skończyło

Do sprawy policjanci zatrzymali dwie osoby. Trafiły one do pomieszczenia dla osób zatrzymanych.

Przeprowadzone przez policjantów czynności wykazały, że za przestępstwo rozboju na szkodę 46-latka oraz uszkodzeń ciała 53 i 57- latków odpowiada zatrzymany 18-latek. I to on usłyszał zarzuty - informuje policja.

W poniedziałek 1 czerwca prokurator zastosował wobec 18-latka policyjny dozór oraz zakaz zbliżania się do pokrzywdzonych i kontaktowania się z nimi. Druga z zatrzymanych osób - jak się dowiadujemy - ma status świadka w sprawie.

Do zdarzenia doszło 30 maja na imprezie „Szparagowe smaki Łochowa", organizowane przez łochowskie Koło Gospodyń Wiejskich. Festyn trwał na placu sołeckim.

„Dostałem cios w z góry w głowę"

Jednym z poszkodowanych w zdarzeniu jest Michał Kauczor, sołtys pobliskich Łochowic.

- Zostałem jako sołtys sąsiedniego sołectwa na tą imprezę zaproszony. Również im pomagałem tam rozstawiać namioty o godzinie czternastej, a byłem na ognisku czy tam na, no nie, na ognisku, nie przepraszam, po prostu na potańcówce. Przyjechałem chyba około godz. 20.30 - mówi Kauczor.

Stałem z dziesięć metrów od tego miejsca i nagle patrzę, łup! Jeden leży i jest kopany. Sekundy później drugi leży.

- Potańcówka i festyn miały się zakończyć o godz. 23, więc moi koledzy, Sławek, który jest wiceprzewodniczącym rady gminy i radnym też w Białych Błotach, razem z Sebastianem, prezesem Koła Gospodyń, podeszli do ludzi, którzy byli przy ognisku - mówi sołtys Łochowic.

Jak zaznacza, grupa młodych ludzi miała pozwolenie, by urządzić ognisko, ale chodziło o to, by zwrócić im uwagę, że impreza kończy się wkrótce.

- Stałem z dziesięć metrów od tego miejsca i nagle patrzę, łup! Jeden leży i jest kopany. Sekundy później drugi leży. No to biorę telefon i co robię? No, dzwonię na policję. A jeden z tych mężczyzn, który był przy ognisku, leci w moją stronę. Dostałem cios w głowę z góry. Całe szczęście miałem czapkę swoją sołecką z orzełkiem. Zostałem uderzony z góry i zabrał ten telefon. Jak się odwróciłem, to oni się już oddalali z tego miejsca.

Poszkodowany Sławomir Ruge, radny Białych Błot mówi, że całe zajście trwało sekundy. - Mam jedenaście szwów na żuchwie. Nie zamierzamy chować głowy w piasek, takie sprawy trzeba piętnować. Mieszkańcy już teraz zaczynają obawiać się o swoje bezpieczeństwo.

„To był bezmyślny akt chuligaństwa"

Komentarz w tej sprawie pojawił się na stronie Koła Gospodyń Wiejskich w Łochowie.

„Wydarzenia, do których doszło podczas tegorocznego festynu „Szparagowe Smaki Łochowa", budzą głębokie oburzenie, sprzeciw i zwykły ludzki niesmak. Impreza, która z założenia miała być świętem lokalnej tradycji, miejscem integracji rodzin oraz przestrzenią do wspólnej radości, została brutalnie zakłócona przez bezmyślny akt chuligaństwa. Grupa młodych mężczyzn, wyzbyta jakichkolwiek hamulców moralnych i szacunku dla drugiego człowieka, dopuściła się bandyckiego napadu na organizatorów wydarzenia, w tym na sołtysa Łochowic".©℗

REKLAMA 0011529027

eprasa.pl 3abe94452f

Trzydzieści lat temu ruszyła Myślęcińska Kolej Parkowa

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Stowarzyszenie Miłośników Kolei w Bydgoszczy zaprasza na drzwi otwarte Izby Tradycji Kolei, które zaplanowano w najbliższy weekend - 6 i 7 czerwca. Wydarzenie będzie miało w tym roku szczególny charakter, ponieważ organizatorzy skupiają się na 30. rocznicy powstania Myślęcińskiej Kolei Parkowej.

Drzwi otwarte zaplanowano w sobotę oraz niedzielę w godzinach od 11 do 18. Izba Tradycji Kolei SMKB mieści się w budynku przy Unii Lubelskiej 4D, niedaleko dworca kolejowego Bydgoszcz Główna.

W programie wydarzenia przewidziano m.in. wystawę archiwalnych zdjęć i nagrań kolejki na kasetach VHS, dioramy z modelami jej wagoników, a także modele do składania dla dzieci. Na miejscu będzie można zobaczyć także stare bilety i kolejowe pamiątki, makietę MK Bydgoszcz, dokumentację kolejki Cukrowni „Kruszwica" czy przejrzeć książki poświęcone tematyce wąskotorowej.

- Myślęcińska Kolej Parkowa była nieodłącznym elementem wypoczynku mieszkańców na łonie natury. Kursowanie rozpoczęła równo 30 lat temu, jednak o urodzinach nie ma mowy, gdyż zostało ono brutalnie przerwane przez podpalenie w 2011 roku. Pomimo upływu lat, Bydgoszczanie dalej pamiętają o małych pociągach w Myślęcinku i darzą je niesłabnącym sentymentem - tłumaczą organizatorzy.

Ich zdaniem prócz odnowionej lokomotywy i wiaty po stacji, kolejki nie upamiętniono w należyty sposób, więc warto przypominać jej historię. - Chcemy odkurzyć wspomnienia i przenieść się jeszcze raz, chociaż na chwilę, symbolicznie, do wagoników Kolejki Parkowej kursującej z pętli tramwajowej do Zacisza wzdłuż brzegów myślęcińskich stawów - wyjaśniają.

Myślęcińską Kolej Parkową uruchomiono w 1996 roku. We wrześniu 2011 roku w pożarze spłonęły dwie lokomotywy, wagoniki oraz pomieszczenie parowozowni. Dwa lata później zapadła decyzja o likwidacji kolei. Od początku 2023 r. w parku można oglądać odrestaurowaną lokomotywę, która znajduje się przy dawnej stacji Bydgoszcz Myślęcinek.

- Po zakończeniu działania kolejki nie podjęto właściwie żadnych działań, aby ją przywrócić. Chcemy pokazać, jaką atrakcję Bydgoszcz i Myślęcinek straciły. To wydarzenie jest pierwszym krokiem przywrócenia tematu do szerszej świadomości. Potem można myśleć o dalszych działaniach - mówi nam Patryk Domieracki, prezes Stowarzyszenia Miłośników Kolei w Bydgoszczy.

- Może warto poszukać sponsorów, którzy byliby zainteresowani powrotem. Może szansą byłby Bydgoski Budżet Obywatelski. To otwarty temat, ale na przyszłość - zaznacza. ©℗

„Bydgoszcz w kwiatach i zieleni" zaprasza miejskich ogrodników!

Marta Mikołajska
marta.mikolajska@polskapress.pl

Do końca sierpnia można przesyłać zgłoszenia do najstarszego „zielonego" konkursu, organizowanego przez Towarzystwo Miłośników Miasta Bydgoszczy. Jak co roku, mieszkańcy mają okazję powalczyć o nagrody za najpiękniejszy ogródek lub ukwiecony balkon.

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Rozpoczynamy kolejną edycję zielonego konkursu, organizowanego przez Towarzystwo Miłośników Miasta Bydgoszczy (na zdjęciu: pani Halina Sobolewska, jedna z laureatek ubiegłorocznej edycji).

Dorocznym zwyczajem rozpoczynamy zgłoszenia do „Bydgoszczy w kwiatach i zieleni". Konkurs początkami swego istnienia sięga 1835 roku. Już wtedy mieszkańcy miasta za darmo ukwiecali ogródki, odnawiali frontony domów i troszczyli się o właściwy stan sanitarny otoczenia, a Bydgoszcz wskazywano jako oazę zieleni zbudowaną rękami swoich obywateli.

W trosce o zielone serce miasta...

Konkurs „Bydgoszcz w kwiatach i zieleni" jest organizowany przez Towarzystwo Miłośników Miasta Bydgoszczy (od początku pod opieką Jerzego Derendy, wieloletniego prezesa TMMB; obecnie tradycję podtrzymuje nowy prezes Ireneusz Nitkiewicz) we współpracy ze spółdzielniami mieszkaniowymi i radami osiedli. Także w tym roku został objęty honorowym patronatem Prezydenta Bydgoszczy Rafała Bruskiego. Patronat medialny od wielu lat sprawuje redakcja „Expressu Bydgoskiego".

Konkurs kierowany jest do wszystkich mieszkańców zainteresowanych pięknem miasta - osób indywidualnych, a także instytucji, zakładów pracy, szkół, placówek szkolno-wychowawczych i innych, które włączą się w urządzanie skwerów, zieleńców, ogródków przydomowych czy ukwieconych balkonów. Każdego roku w konkursie bierze udział około 150-200 osób, a dla właścicieli najpiękniej ukwieconych balkonów i ogrodów przewidziane są nagrody.

Jak podkreślają organizatorzy, celem konkursu „Bydgoszcz w kwiatach i zieleni" jest zachęcanie mieszkańców Bydgoszczy oraz instytucji do upiększania swego najbliższego otoczenia przez tworzenie nowych skwerów, zieleńców, kwietników osiedlowych, ukwiecanie ogródków przydomowych, balkonów, okien, wystaw sklepowych, letnich kawiarenek oraz budzenie troski o estetyczny wygląd miasta.

Zgłoszenia można przesyłać do 31 sierpnia za pośrednictwem formularza elektronicznego (dostępnego na: www.tmmb.pl).

Do zgłoszenia należy dołączyć 3-5 zdjęć (w formacie .jpg), ukazujących aranżację widzianą z zewnątrz budynku, pokazującą zieleń w kontekście elewacji oraz wnętrze balkonu/ogrodu.

Nagrody w trzech kategoriach

Na pierwszych sześćdziesięcioro uczestników, którzy wyślą poprawne zgłoszenia, czekają ufundowane przez Miasto Bydgoszcz talony o wartości 50 zł, upoważniające do bezpłatnego odbioru sadzonek roślin ozdobnych. Talony będą wydawane w dn. 1-13 czerwca w siedzibie TMMB (ul. Jezuicka 4).

Konkurs potrwa od maja do października. Komisja oceni zgłoszenia do 14 września. Finałowa gala zaplanowana jest na ostatni kwartał br.

Nagrody będą przyznawane w trzech kategoriach: „najpiękniejszy balkon/okno", „najpiękniejszy przedogródek" oraz „najpiękniejsza aranżacja w placówkach oświatowych, punktach usługowych, budynkach użyteczności publicznej". Pod uwagę będą brane przede wszystkim: ogólne wrażenie ocenianego obiektu, układ kompozycyjny uwzględniający trafność doboru gatunków oraz odmian roślin i kwiatów.

Najlepsi z najlepszych zostaną uhonorowani dyplomami TMMB i nagrodami sponsorów, w tym m.in. narzędziami ogrodniczymi oraz sadzonkami kwiatów, drzewek i roślin ozdobnych. Swoich laureatów wybierze także nasza redakcja. Jak co roku, reportaże ukazujące piękno ogrodów i ukwieconych balkonów Bydgoszczan będą mogli Państwo przeczytać w „Expressie Bydgoskim". ©℗

Bydgoszcz City Life Festival. Na scenie m.in. Bedoes, Zalewski, Kaz Bałagane i Zalia

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Dziś zaczyna się Bydgoszcz City Life Festival. W dniach od 5 do 7 czerwca na scenie dominować będą przedstawiciele rapu, ale nie tylko...

Bydgoszcz City Life Festival organizuje Stowarzyszenie Piłkarskie Zawisza w 80. rocznicę założenia klubu. Poza koncertami organizatorzy zapowiadają m.in. rozbudowaną strefę food trucków, przestrzenie chilloutu, dodatkowe atrakcje i konkursy oraz klimat letniego festiwalowego miasteczka. Koncerty zaplanowano na bocznym boisku kompleksu Zawiszy przy ul. Gdańskiej 163.

- W Bydgoszczy pojawia się coraz więcej wydarzeń kulturalnych, jednak nie pamiętam, aby piłkarski klub sportowy zorganizował 3-dniowy muzyczny festiwal z takim rozmachem. Jestem pełna podziwu i dziękuje za organizację festiwalu, zwłaszcza że zrobiliście to w bardzo krótkim czasie. Bydgoszcz jest miastem otwartym na nowe pomysły i bardzo się cieszę, że powstaje wydarzenie inne niż te, które dotychczas gościły w naszym mieście - powiedziała na konferencji zapowiadającej wydarzenia Iwona Waszkiewicz, zastępczyni prezydenta Bydgoszczy.

Wyraziła nadzieję, że BCLF na stałe zagości w kalendarzu miejskich wydarzeń. W połowie maja była znana pełna lista gwiazd, które wystąpią w Bydgoszczy. W ostatnich dniach pojawiła się rozpiska godzinowa na dwa pierwsze dni festiwalu. W piątek (5 czerwca) na scenie pojawią się:

- 18:00 - Louis Villain
- 19:10 - VKIE
- 20:20 - Malik Montana
- 21:30 - Kaz Bałagane
- 22:40 - White 2115.

W sobotę imprezę otworzy Zalia. Artystka w tym roku znalazła się w składzie orkiestry Męskiego Grania. Niedawno otrzymała dwa Fryderyki - w kategorii Album Roku Popu za płytę „Serce" oraz w kategorii Singiel Roku Pop, jako współtwórczyni utworu „kyoto", nagranego wspólnie z Kubanem i Favstem. Kolejnymi artystami w sobotę będą Kali (19:20), MIÜ (20:40) oraz kuqe 2115 (22:00). Gwiazdą wieczoru jest bydgoski raper Bedoes, który rozpocznie koncert o 23:20.

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Krzysztof Zalewski wystąpi w Bydgoszczy w niedzielę 7 czerwca

- Chcemy pokazać, że Kompleks Sportowy Zawisza to nie tylko sport, ale także miejsce otwarte na wydarzenia kulturalne dla mieszkańców Bydgoszczy oraz całego regionu. Festiwal wpisuje się w obchody związane z 680-leciem miasta Bydgoszczy oraz 80-lecia klubu Zawisza. Idea festiwalu brzmi „Bydgoszcz City Life Festival: Twoje miasto, Twój rytm, Twoja historia". Szacujemy, że przez 3 dni festiwalu odwiedzi nas około 30 tysięcy uczestników - uważa Krzysztof Bess, prezes Stowarzyszenia Piłkarskiego Zawisza Bydgoszcz.

- Przez kilka lat w Bydgoszczy brakowało takich wydarzeń jak City Life Festival, dlatego bardzo się cieszę, że festiwal odbędzie się w naszym mieście. Tego typu inicjatywy cieszą się coraz większą popularnością i pokazują, jak bardzo są potrzebne młodym ludziom. W imieniu młodzieży serdecznie zapraszam na trzydniowy festiwal - stwierdził Kacper Nowak, zawodnik Zawiszy Bydgoszcz.

W niedzielę na scenie pojawi się 6 artystów. Na razie nie podano godzin koncertów. Swoje utwory zaprezentują Gibbs, Zalewski, Hubert., Opał, Kuban oraz Evelina Ross.

Sprzedaż wejściówek prowadzona jest na stronie tixyapp.com.

Wejściówki na jeden dzień kosztują 169,94 zł (ulgowe 149,99).

W wydarzeniu mogą wziąć udział osoby od 16 roku życia. W przypadku uczestników, którzy nie są jeszcze pełnoletni, wchodzą oni na wydarzenie z podpisanym oświadczeniem od opiekunów. Oprócz wrażeń muzycznych, planowane są strefy food trucków i chilloutu, a także konkursy i niespodzianki. ©℗

eprasa.pl 3abe94452f

Smog świetlny może zrujnować zdrowie. Naukowiec z UKW znalazł sposób, jak go badać

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Światło, którego jest za dużo i które zakłóca prawidłowe funkcjonowanie organizmów ludzi, zwierząt i roślin. Tym zagadnieniem, a dokładniej tym, w jaki sposób monitorować problem, zajął się Andrzej Szczepańczyk, naukowiec Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Opracował specjalny system, który może wkrótce znajdzie zastosowanie komercyjne.

Z mgr inż. Andrzejem Szczepańczykiem z Wydziału Mechatroniki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, laureatem naszego plebiscytu Osobowość Roku 2026 w kategorii Innowacji i Nowych Technologii rozmawiamy o smogu świetlnym.

O problemie smogu wiadomo od dziesięcioleci. O tym, że pyły zawieszone powodują problemy zdrowotne, są przyczyną przewlekłych chorób. Ale smog świetlny? Co to takiego?
Zjawisko jest bardzo powszechne, ale nie funkcjonuje jeszcze w świadomości ludzi tak bardzo. I uchodzi też za problem abstrakcyjny, bo co takiego złego może nam zrobić światło?

Właśnie, co takiego? Nie mówimy przecież o wiązce laserowej, tylko o częstotliwościach emitowanych przez lampy uliczne, oświetlenie w domu, prawda?
Często w rozmowach o smogu świetlnym podaję przykład słonecznika. Proszę zwrócić uwagę, jak on podąża nam za słońcem. A to przecież stosunkowo prosty organizm. Oczywiście upraszczam troszeczkę. Poprzez regulację dnia świetlnego, możemy na przykład wpływać na występowanie rui u klaczy. Możemy wpływać na to, jak kury się niosą tylko poprzez to, że odpowiednio gaszę i zapalam światło. A teraz spójrzmy, jak wygląda nasze otoczenie. Jeżeli mieszkamy w mieście, spójrzmy w niebo, nie zobaczymy zbyt wielu gwiazd, bo światło się rozprasza w atmosferze i zaburza nam widoczność nieba. Zróbmy to samo na wsi, a zaobserwujemy coś innego.

Przypuszczam, że to zjawisko niekorzystne nie tylko dla hodowców zwierząt i miłośników astronomii.
Oczywiście, my to odbieramy jako efekt wizualny, ale ten brak zaciemnienia u ludzi powoduje zaburzenia gospodarki hormonalnej. U kobiet, na przykład można zaobserwować zaburzenia cyklu miesięcznego. Brak zaciemnienia wpływa na wszystkie układy odpowiedzialne za gospodarkę hormonalną.

W jaki sposób pan bada smog świetlny?
Warto zaznaczyć, że zjawisko jest badane od niedawna. Głównie za pomocą satelit. Są dostępne takie mapy ciemnego nieba. Ale widzimy to wtedy w skali makro. Takie systemy zaczynają się już pojawiać, jeden z nich ma Uniwersytet Mikołaja Kopernika, to system stacjonarny, który ma przewagę nad mobilnymi tym, że pomiary są prowadzone cały czas.

Pan jednak prowadzi badania przy użyciu dronów.
To mobilne rozwiązanie to system, który mam zamocowany na bezzałogowcu. On jest o tyle dobry, że mogę go użyć w każdym miejscu - gdzie oczywiście prawo lotnicze mi pozwala wystartować - i zrobić pomiary w skali mikro. Mogę użyć go lokalnie, wystartować, zrobić pomiary, stwierdzić, gdzie zanieczyszczenie smogiem świetlnym jest duże, gdzie małe. Mogę też wrócić za tydzień, miesiąc, rok przyjechać i porównać, czy jest nastąpiła poprawa, czy pogorszenie.

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Andrzej Szczepańczyk za swoje nowatorskie rozwiązanie, za opracowanie „Systemu pomiaru smogu świetlnego z wykorzystaniem bezzałogowych statków powietrznych", został w XVII edycji konkursu „Liderzy Innowacji Pomorza i Kujaw" w 2025 roku laureatem nagrody specjalnej Rektora UKW prof. dr. hab. Bernarda Mendlika.

Mówimy o jednym, czy wielu bezzałogowcach?
Obecnie wystarczające nam są badania przeprowadzone na jednym bezzałogowcu. System łączy się bezprzewodowo ze stacją naziemną. Dane są zbierane w czasie rzeczywistym, od razu w czasie wykonywania nalotu mogę wstępnie ocenić sytuację. Jeżeli chodzi o zjawisko smogu świetlnego, ważne jest na przykład ukierunkowanie smugi światła z latarni ulicznych: czy snop światła skierowany jest w dół, czy jest ono szerzej emitowane. To istotne, bo część światła może uciekać w atmosferę; tak dzieje się w przypadku latarni z kloszami, które nie są zadaszone u góry. , jak są na przykład latarnie z groszami, takimi okrągłymi nie, nie zadaszone u góry. W efekcie mówimy nie tylko o samym rozpraszaniu się światła, ale przecież to też marnowanie energii, czyli pieniędzy.

Gdzie, na przykład w Bydgoszczy jest źle? Może Pan podać przykład konkretnego miejsca, w którym badania były prowadzone przez jakiś czas i można w związku z tym ocenić, jak zmienia się smog świetlny.
Do takich badań właśnie teraz się, teraz się przygotowujemy. Chodzi o to, żeby mieć taką jedną wybraną lokalizację wybraną. Chcemy przebadać ją w cyklu co najmniej rocznym. Warto zauważyć, że warunki w konkretnych miejscach zmieniają się i są zależne od wielu czynników, jak chociażby od wpływu samego księżyca, który raz jest w pełni, raz jest mały i to już wpływa na sam wynik pomiaru. System, który mam opatentowany, jest tak przygotowany, by w badaniach niwelować wpływ księżyca niwelować. Inne czynniki to na przykład występowanie mgły, opadów, te wszystkie warunki wpływają na wartości smogu świetlnego.

Opatentowany system to rozwiązanie bazujące na konkretnym oprogramowaniu, czy na hardware, na sprzęcie?
To jest kompleksowe rozwiązanie. Elektronika powstała specjalnie pod ten system, ale oczywiście potrzebne były procesowy konkretnych firm, bez tego nic się nie zrobi. Całość jest zasilana z akumulatorów, by można to podpiąć pod bezzałogowcem, ale nie ma też problemu, by zasilać urządzenie z zasilacza, kiedy ma pracować stacjonarnie. Mamy też osobny moduł do mierzenia zanieczyszczenia powietrza, lotnych związków organicznych, pyłów zawieszonych, tlenków. Jest też aplikacja, która na stacji naziemnej umożliwia mi podgląd w czasie w czasie rzeczywistym wszystkich parametrów. Mówiąc „w czasie rzeczywistym" mam na myśli nie takie inżynierskie podejście do czasu rzeczywistego, tylko fakt, że robię pomiar i widzę wyniki. Oczywiście, biorąc pod uwagę czas przesyłu danych między jednostką na dronie a stacją naziemną.

Jaka może być przyszłość tego systemu? Jest zainteresowanie jego komercyjnym wykorzystaniem?
Zainteresowaniem jest duże. Pojawiają się również pytania podmiotów komercyjnych o możliwość wykorzystania systemu do mierzenia prawidłowości oświetlenia. Odzywają się przedsiębiorstwa, które chciałyby zweryfikować, czy projektowane i budowane przez nie urządzenia odpowiadają normom.

Czyli mówimy o możliwości wykorzystania pana systemu do wewnętrznych audytów jeszcze na etapie wdrażania technicznych rozwiązań?
Tak. Dodam, że system jest tak pomyślany, by móc podmienić czujniki światła na dowolne inne mi mierzyć różne parametry, na przykład odchyły budynków.

Pana system ma zatem wielki potencjał.
Zwrócę jeszcze uwagę, że samo pojęcie smogu świetlnego wydaje się nieco abstrakcyjne. Ten problem jednak realnie wpływa na jakość naszego życia. Spójrzmy choćby na miejsca, w których śpimy, na nasze sypialnie. Jak tam wygląda? Są w nich źródła światła, jak diody stand-by od telewizorów, od systemów audio, czasem kiedy przyjdzie jakieś powiadomienie, zamiga ekran telefonu. I tak przez całą noc. Tu już nie chodzi tylko o emitowanie niebieskiego światła smartfonów, którego działania jesteśmy świadomi. Chodzi o sam brak zaciemnienia. Jeżeli dodatkowo ktoś mieszka, na przykład w bloku na wysokości pierwszego, drugiego piętra, czyli mniej więcej na wysokości latarni, to właściwie nigdy nie występuje prawidłowe zaciemnienie. Organizm nie ma możliwości się zregenerować tak, jak powinien.

* Andrzej Szczepańczyk za swoje nowatorskie rozwiązanie, za opracowanie „Systemu pomiaru smogu świetlnego z wykorzystaniem bezzałogowych statków powietrznych", został w XVII edycji konkursu „Liderzy Innowacji Pomorza i Kujaw" w 2025 roku laureatem nagrody specjalnej Rektora UKW prof. dr. hab. Bernarda Mendlika.©℗

Najlepsi szkolni matematycy nagrodzeni w Adrii. Czwórka Bydgoszczan w czołówce

Opr. Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polskapress.pl

W gościnnych progach Kinoteatru Adria uroczyście podsumowano wyniki 35. regionalnej edycji międzynarodowego konkursu „Kangur matematyczny".

W regionie bydgoskim organizacją zmagań zajmuje się Bydgoskie Stowarzyszenie Matematyczne „Kangur" we współpracy z Kujawsko-Pomorskim Centrum Edukacji Nauczycieli i Zespołem Szkół nr 8 w Bydgoszczy. Jesteśmy zresztą jednym z 4 regionów w Polsce, który bierze udział w konkursie od jego pierwszej edycji.

Prosto z Australii

Sam konkurs, jak nazwa wskazuje, wywodzi się z Australii, gdzie został zainaugurowany w latach 80. przez światowej sławy popularyzatora matematyki Petera O'Hallorana. W Europie został po raz pierwszy zorganizowany w 1990 r. we Francji. W 1992 r. konkurs został „przywieziony" do Torunia przez dwóch matematyków z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika - dr Pawła Jarka i dr Mirosława Usckiego.

- „Kangur Matematyczny" to największy międzynarodowy konkurs adresowany do uczniów wszystkich typów szkół. Głównym organizatorem jest Towarzystwo Upowszechniania Wiedzy i Nauk Matematycznych w Toruniu. Patronat sprawuje Wydział Matematyki i Informatyki UMK w Toruniu. W tym roku odbyła się 35. edycja, w której wzięło udział ponad 6,5 miliona osób ze 109 krajów reprezentujących wszystkie kontynenty. W Polsce liczba uczestników wyniosła prawie 320 tysięcy - informuje „Express Bydgoski" Barbara Zielińska, koordynator Regionalnego Komitetu Organizacyjnego Konkursu „Kangur".

Ponad 10 tys. uczniów

W regionie bydgoskim do udziału zgłosiło się 10.356 uczestników, w tym: żaczków (klasa 2 SP) - 2061, maluchów (3-4 SP) - 3416, beniaminów (5-6 SP) - 2357, kadetów (7-8 SP) - 1753, juniorów (klasy 1-2 szkół średnich) - 364, studentów (3-4) - 405. Reprezentowali oni 273 szkoły, w tym: 231 podstawowych oraz 42 ponadpodstawowych.

W konkursie przyznawane są: nagrody główne dla laureatów (0,1% uczestników), nagrody I stopnia za bardzo dobry wynik (1% uczestników) i nagrody II stopnia za wyróżnienie (10% uczestników).

W tegorocznej edycji konkursu w naszym regionie laureatami zostało pięciu uczniów. Aż czterech w kategorii maluch (klasy 3-4 SP), wszyscy ze szkół bydgoskich: 1. Leon Bajer (SP 30), 2. Karol Szczublewski, 3. Nikita Woronecki (obaj SP 12), 4. Ignacy Gajewski (SP 66). Z kolei w kategorii student (najstarsi uczniowie szkół średnich) wygrał Wojciech Antoniewicz (I LO Inowrocław).

Ponadto nagrody I stopnia za bardzo dobry wynik zdobyło 93 uczniów, a nagrody II stopnia, czyli wyróżnienia, 942. Gratulujemy!
©℗

eprasa.pl 3abe94452f

Wariant oszczędnościowy? Premium? Tyle kosztuje wychowanie dziecka do 18 lat!

Adam Willma
adam.willma@polskapress.pl

371 000 złotych - tyle kosztuje wychowanie jednego dziecka do 18. roku życia, zaś miesięczny wydatek na dziecko to 1716 złotych. Natomiast inwestycja w dwójkę pociech jest warta 621 000 złotych - wyliczyło Centrum im. Adama Smitha. Oczywiście, w grę wchodzą jeszcze warianty oszczędny i premium.

O tym, jak drogie są nasze drogie dzieci nie trzeba nikomu przypominać. Jednak najnowsze kwoty wydatków na wychowanie dziecka do 18 roku życia... dosłownie zwalają z nóg.

Jak co roku na Dzień Dziecka, Centrum im. Adama Smitha przygotowuje raport „Inwestycje w wychowanie dzieci". Oto najnowsze dane.

Tak w ostatnich latach rosły wydatki na wychowanie dzieci

Wartość przeciętna na poziomie minimum socjalnego kryje znaczące zróżnicowanie. Rzeczywisty zakres takiej inwestycji waha się od 200-250 tys. zł w scenariuszu oszczędnym (mała miejscowość, wyłącznie szkoła publiczna) do ponad 600 tys. zł w przypadku prywatnej edukacji.

W 2025 roku wartość inwestycji w wychowanie pierwszego dziecka do lat 18 wynosiło 358,4 tys. złotych (1659 zł miesięcznie), a dwójki dzieci 599,8 tys. złotych. W 2024 roku inwestycje w wychowanie dziecka wyniosły 346 tys. zł.

W zaledwie sześć lat nakłady na wychowanie dziecka wzrosły o ponad 120 tys. zł. Najgwałtowniejszy skok nastąpił w latach 2022-2023, kiedy inflacja CPI przekraczała 11,4-14,4 proc., a nakłady wychowania rosły w podobnym tempie. W roku 2024 i 2025 dynamika wzrostów znormalizowała się do około 3,35-3,6 proc. rocznie, co odpowiada ogólnej inflacji CPI.

Inflacja CPI za rok 2025 wyniosła średniorocznie 3,6 proc. (GUS, styczeń 2026). Aplikując ten współczynnik do wartości z 2025 szacunkowa inwestycja w wychowanie jednego dziecka w 2026 roku wynosi ok. 371 000 zł, a miesięcznie ok. 1716 zł.

Należy jednak uwzględnić istotne zastrzeżenie, że ceny usług edukacyjnych i opieki zdrowotnej drożeją szybciej niż ogólna inflacja. Ceny korepetycji wzrosły w 2025/2026 o 4-6 proc. rok do roku, a ceny usług medycznych pozostają powyżej średniej CPI. W związku z tym realna kwota dla rodzin inwestujących aktywnie w edukację może być bliższa 375-380 000 zł.

Podana kwota 371 000 zł to wartość przeciętna dla inwestycji odpowiadającej standardowi socjalnemu. Rzeczywiste nakłady inwestycyjne zależą od miejsca zamieszkania, wyborów edukacyjnych i dochodu rodziny.

Oszczędne wychowanie, podstawowe, aktywne i premium - koszty

W przypadku oszczędnego wychowania, czyli w małej miejscowości, tylko szkoła publiczna, brak korepetycji oraz zajęć dodatkowych to wydatek na jedno dziecko rzędu 200-250 tys. zł (926-1 157 zł miesięcznie);

- podstawowe (średnie miasto, szkoła publiczna i ograniczone zajęcia dodatkowe) - 371 000 zł, miesięcznie wyjdzie 1716;
- aktywne (duże miasto, korepetycje, sport, języki, prywatna opieka medyczna) - 400 do 500 000 złotych i 1852 - 2315 zł;
- premium (szkoła prywatna, intensywny tutoring, zagraniczne obozy) - 600 tysięcy lub więcej i 2 778 zł.

Wychowanie w mniejszych miejscowościach i na wsi jest tańsze od wychowania w dużych miastach. Jednak oszczędności te niweczy niska jakość i bezalternatywność usług edukacyjnych w małych ośrodkach, co zmusza świadomych rodziców do finansowania dodatkowych prywatnych zajęć również poza dużymi miastami.

Przyjrzyjmy się teraz wydatkom od niemowlęctwa do 18. roku życia.

Niemowlęctwo i wczesne dzieciństwo (0–3 lata)

Wyprawka (wózek, łóżeczko, fotelik, ubranka, akcesoria) to jednoazowy wydatek w kwocie 3 000-10 000 zł;

- pieluchy i kosmetyki w pierwszym roku miesięcznie 200-300 zł;
- mleko modyfikowane w wersji ekonomicznej (jeśli stosowane) miesięcznie 150-300 zł;
- opieka żłobkowa lub niania miesięcznie 1 500-3 000 zł1 w dużych miastach.

Szacowany średni koszt miesięczny (0-3 lat) 2 000-4 500 zł (z opieką).

Przedszkole i szkoła podstawowa (4–12 lat)

Nakłady opieki często maleją dzięki dostępności publicznych przedszkoli i szkół, lecz pojawiają się nowe wydatki związane z rozwojem i edukacją pozaszkolną.

Publiczne przedszkole kosztuje miesięcznie to od 0-800 zł. (opłaty za wyżywienie i godziny ponadlimitowe);

- prywatne przedszkole miesięcznie 1500-3500 zł;
- szkolna wyprawka (plecak, przybory, ubezpieczenie, wycieczki) rocznie 1 000-2 000 zł;

FOT. PIOTR BILSKI/POLSKA PRESS

W 2026 roku wartość inwestycji w wychowanie jednego dziecka w Polsce do uzyskania pełnoletności wynosi około 371 tys. zł. Przy dodatkowych inwestycjach w edukację kwota ta przekracza 400–500 tys. zł. Wsparcie rządu w postaci 800 plus, 300 plus i tzw. kosiniakowe pokrywają nominalnie ok. 46–48 proc. przeciętnych nakładów na wychowanie, ale jego realna siła nabywcza maleje

- zajęcia dodatkowe (sport, języki, muzyka) miesięcznie 400-1 200 zł.

Szacowany średni koszt miesięczny (4-12 lat) to 1200-2500 zł.

Nastolatek (13–18 lat)

W tym okresie następuje najszybszy wzrostu nakładów inwestycyjnych, które często zrównują się z kosztami utrzymania osoby dorosłej. W roku 2026 utrzymanie nastolatka może kosztować nawet 1800-2200 zł miesięcznie bez wydatków nadzwyczajnych.

Wyżywienie nastolatka w okresie dojrzewania kosztuje miesięcznie 600 -1 000 zł;

- odzież i obuwie markowe miesięcznie (presja rówieśnicza): 150 - 400 zł;
- elektronika m.in. smartfon, abonament telefoniczny laptop: 100 - 300 zł;
- korepetycje miesięcznie (do matury): 400 - 1 200 zł;

Średni koszt miesięczny (13-18 lat) - 1 800 - 2 200 zł.

Jednym z najważniejszych zjawisk strukturalnych zmieniających obraz kosztów wychowania dzieci w Polsce jest wzrost nakładów inwestycyjnych na dodatkową edukację i de facto zastępowanie publicznej w coraz większym zakresie prywatnymi usługami edukacyjnymi.

Ile na korepetycje?

Pogarszająca się jakość nauczania w szkołach publicznych skłania coraz więcej rodzin do poszukiwania prywatnych alternatyw. 80 procent rodziców finansuje zajęcia dodatkowe, a 944 zł to średnie miesięczne wydatki na ponadplanową edukację.

Są to m.in. korepetycje z:

- języka polskiego w cenie 72,48 zł za 60 minut;
- matematyki - 70,76 zł,
- języka angielskiego - 76 zł,
- fizyki - 88 zł,
- historii - 65,89 zł.

Szkoły prywatne - koszty w roku szkolnym 2025/2026

Standardowe czesne miesięcznie w prywatnych szkołach podstawowych i średnich sięga 1 200 - 2 500 zł;

- czesne miesięcznie w szkołach z maturą międzynarodową (IB): 4 000 - 10 000 zł;
- jednorazowe wpisowe: 1 000 - 3 000 zł;
- dodatkowe opłaty (podręczniki, wycieczki, ubezpieczenie) to 20 - 30 proc. ponad czesne.

Transfery z rządu w inwestycje dzieci w 2026 roku

Są to:

- 800 plus co miesiąc - daje to przez 18 lat 172 800 zł;
- 300 plus (Dobry Start) raz na rok - łącznie przez 12 lat szkoły 3600 zł;
- tzw. kosiniakowe dla nieuprawnionych do standardowego zasiłku macierzyńskiego, 1000 zł co miesiąc - 52 tygodnie (1 dziecko);
- urlop rodzicielski (ZUS) - do 81,5 proc. zarobków.

Średnie łączne wsparcie rządu wynosi 170 - 176 000 złotych.

Jak podsumowują autorzy raportu, inwestycje w dzieci dokonywane przez rodziców w istotnej części finansowane przez transfery publiczne, które mają charakter zwrotu płaconych przez tychże rodziców podatków. Niepokojące są tu dynamicznie rosnące wydatki na edukację pozapubliczną i prywatną ochronę zdrowia, które stają się wyzwaniem finansowym dla rodziców wobec niezadowalającej jakości usług publicznych. W tych kategoriach nakłady rosną szybciej niż ogólna inflacja CPI. ©℗

Rozpoczęła się szósta edycja plebiscytu na Bydgoskie Drzewo Roku

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Ruszyła szósta edycja plebiscytu na Bydgoskie Drzewo Roku. Stowarzyszenie Monitoring Obywatelski Drzew przyjmuje zgłoszenia kandydatów do końca lipca.

Celem inicjatywy jest popularyzowanie wiedzy o znaczeniu drzew w przestrzeni miejskiej oraz promowanie najcenniejszych okazów rosnących na terenie Bydgoszczy. Konkurs jest również zachętą do uważniejszego przyjrzenia się swojemu otoczeniu.

- To znakomita okazja, aby rozejrzeć się wokół i odkryć skarby, które uważamy za oczywiste - docenić je i poczuć jedyną w swoim rodzaju adrenalinę związaną z drzewną rywalizacją! - podkreśla Emilia Czekała, wiceprezeska stowarzyszenia MODrzew.

Zgłoszenia należy przesłać na adres zielonomi@modrzew.org.pl, podając w wiadomości gatunek i lokalizację drzewa (adres), opowiedzieć jego historię oraz załączyć zdjęcie. Każdy uczestnik może zgłosić tylko jeden okaz. W konkursie nie mogą brać udziału drzewa, które zwyciężyły w poprzednich latach. Plebiscyt objęty jest patronatem honorowym Prezydenta Miasta Bydgoszczy.

Zgłoszenia przyjmowane są do 31 lipca. Tak prezentuje się harmonogram plebiscytu:

- 01.08-31.08 - wybór finałowej dziesiątki przez komisję;
- do 31.08 - ogłoszenie zasad głosowania;
- 01.09-08.10 - głosowanie internetowe;
- 10.10.2025 - ogłoszenie wyników.

Konkurs organizowany jest od 2021 r. Pierwszym zwycięzcą była topola czarna odmiany włoskiej, rosnąca na osiedlu Błonie, która pokonała znajdujący się na początku ul. Fordońskiej perełkowiec japoński. Rok później zwyciężył kasztanowiec zwyczajny - pomnik przyrody sąsiadujący z dawną stacją kolejową Bydgoszcz Wschód. Ostatnie lata to dominacja dębu szypułkowego. Bydgoskim Drzewem Roku 2023 został okaz ze Zbocza Fordońskiego,

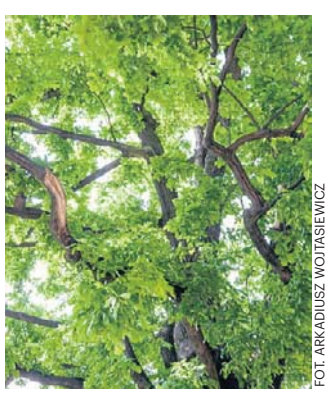
FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

W ostatnich latach głosowanie zdominowały dęby szypułkowe

znany pod nazwami „Wisielec", „Dąb Napoleona" i „Jeremi". Samotne drzewo, rosnące na pagórku niedaleko ul. Macieja Rataja, jest jednym z symboli Fordonu. W czerwcu 2025 r. odsłonięto tablicę pod Bydgoskim Drzewem Roku 2024, czyli dębem szypułkowym przy rondzie Grunwaldzkim.

Tradycyjnie, 10 października, ogłoszono ostatniego zwycięzcę. Tytuł BDR 2025 trafił do dębu, który rośnie na terenie kampusu Politechniki Bydgoskiej. Drzewo zebrało blisko 2000 głosów.©℗

eprasa.pl 3abe94452f

REKLAMA

0411510316

KUJAWY POMORZE

TU JEST SUPER, TU PATRZYMY W GWIAZDY!

Konkurs plastyczny dla dzieci

Znasz nazwy wszystkich gwiazdozbiorów? Bierzesz udział w różnych astronomicznych wydarzeniach organizowanych w naszym regionie? A może w przyszłości chcesz polecieć w Kosmos? W takim razie koniecznie spróbuj sił w kosmicznym konkursie plastycznym. Do wygrania **karty podarunkowe o łącznej wartości 5 tysięcy złotych!**

To już kolejna edycja konkursu promującego przełomowe odkrycia i astronomiczne tradycje naszego regionu. W poprzedniej otrzymaliśmy tyle wspaniałych zgłoszeń, że wspólnie z Urzędem Marszałkowskim Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu postanowiliśmy ogłosić kosmiczną dogrywkę.

Żeby wziąć udział w konkursie, wystarczy wysłać do nas pracę na wybrany temat. W pierwszym zachęcamy do stworzenia plakatu dla obserwatorium, planetarium albo astrobazy z naszego regionu. Warto wiedzieć, że w województwie kujawsko-pomorskim mamy aż czternaście astrobaz. Każda została wyposażona w zautomatyzowaną kopułę, kamerę do rejestracji obiektów astronomicznych oraz duży teleskop, który umożliwia obserwowanie odległych gwiazd i planet.

Z kolei do ich eksploracji potrzebne są kosmiczne rakiety oraz skafandry. Te używane współcześnie ważą ponad sto dwadzieścia kilogramów! Są szyte na miarę z wielu warstw specjalnych materiałów, które chronią przed ekstremalnymi temperaturami, promieniowaniem i ciśnieniem. Posiadają też reflektory, kamery, systemy komunikacyjne oraz plecaki z zapasem tlenu. Czego jeszcze potrzebują astronautki i astronauci podczas spacerów kosmicznych? Jak według Ciebie powinien wyglądać skafander dla odkrywców Kosmosu? Jesteśmy bardzo ciekawi Twoich pomysłów.

Wybrane prace nagrodzimy kartami do sieci sklepów Smyk o wartości: 1000 zł (pierwsze miejsce), 750 zł (drugie miejsce), 500 zł (trzecie miejsce) oraz 250 zł (wyróżnienie). Wyruszysz razem z nami w kosmiczną podróż?

Zapraszam miłośniczki i miłośników Kosmosu do udziału w konkursie plastycznym. Wierzę, że każdy z Was znajdzie dla siebie interesujący temat i na nowo odkryje astronomiczne atrakcje naszego regionu.
Na śmiałków czekają atrakcyjne nagrody. Powodzenia!

Piotr Całbecki
Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego

PODEJMIJ WYZWANIE I PRZYŚLIJ NAM PRACĘ NA WYBRANY TEMAT:

KOSMICZNE MIEJSCE NA ZIEMI

– stwórz plakat dla planetarium, obserwatorium lub astrobazy z naszego regionu

(technika dowolna, format maks. A3)

SUPERBOHATEROWIE W KOSMOSIE

– zaprojektuj strój dla astronautki lub astronauty

(technika dowolna, format maks. A3)

DO WYGRANIA: karty podarunkowe do sklepów sieci Smyk o wartości od 250 do 1000 złotych!

WAŻNE! W konkursie mogą wziąć udział dzieci **w wieku od 5 do 10 lat.**
Regulamin i formularz zgłoszenia pod adresem: **expressbydgoski.pl/tujestsuper2**

NA PRACE CZEKAMY
DO 9 SIERPNIA 2026 ROKU

ORGANIZATOR

Express Bydgoski · Gazeta Pomorska · Nowości Dziennik Toruński

PARTNER

Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego · Kujawy Pomorze · Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu · Kujawy Pomorze Regionem Mikołaja Kopernika

eprasa.pl 3abe94452f

300-600 złotych dopłaty do wypoczynku po szczycie sezonu. Kto i gdzie może pojechać?

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka@polskapress.pl

Bon turystyczny to jednorazowy kod elektroniczny o wartości od 300 - 600 zł na wyjazd do wybranych regionów Polski. Kto, kiedy i na jakich zasadach będzie mógł starać się o dopłatę do wypoczynku?

Do podziału jest 6 mln zł. Mowa o nowym programie dopłat „Czek Turystyczny".

Uruchomiło go Ministerstwo Sportu i Turystyki. Pieniądze będzie można dostać od września, ale wszystkie czeki muszą być zrealizowane do 30 listopada 2026 roku.

Jednorazowy czek. Dla kogo?

Przejdźmy zatem do szczegółów.

W pierwszej edycji programu dopłaty otrzymają turyści, m.in. z Kujawsko-Pomorskiego, ale odwiedzający następujące województwa przy wschodniej granicy: lubelskie, podkarpackie, podlaskie i warmińsko-mazurskie. Te regiony będą (na tym etapie) priorytetowe.

Jak powszechnie wiadomo, to lokalizacje, które od momentu wybuchu wojny na Ukrainie, odczuwają duży odpływ zainteresowanych. Wolą oni jechać gdzie indziej, daleko od działań wojennych. „Czek Turystyczny" ma więc pomóc lokalnym hotelarzom i prowadzącym pensjonaty odbudować ich bezpieczny wizerunek.

Ponadto jest to wsparcie do wypoczynku dla grup, które mogą, choć, oczywiście, nie muszą mieć ograniczone możliwości finansowe, żeby wyjechać na wakacje poza szczytem sezonu.

Dla kogo więc będą dopłaty od 300 do 600 złotych na wyjazd?

To realna - jednorazowa - dopłata 300-600 zł do wakacji dla seniorów 60+ i rodzin z Kartą Dużej Rodziny.

Ministerstwo Sportu i Turystyki podkreśla jednak, że do takich osób kieruje pilotażową edycję „Czeku Turystycznego", natomiast w przyszłości program może zostać rozszerzony o kolejne.

Dodajmy, że lista konkretnych hoteli i pensjonatów, które zgłoszą się do rządowego programu, pojawi się na jego stronie wraz z uruchomieniem systemu rezerwacji we wrześniu 2026 roku. Tutaj też będzie można wygenerować kod czeku.

Pobyt na co najmniej dwie doby

Warto podkreślić, że pieniądze nie trafią bezpośrednio do odbiorców, bo są przeznaczone właśnie tylko i wyłącznie na usługi hotelarskie w obiektach uczestniczących w programie.

Trzeba będzie w nich zarezerwować co najmniej dwie doby.

I tak np. , jeśli pobyt będzie kosztował 900 zł, a komuś zostanie przyznana dopłata w wysokości 400 zł, to sam dopłaci 500 zł różnicy.

Czeku nie będzie można wymienić na gotówkę ani wykorzystać w częściach.

FOT. PIXABAY.COM

Warto odwiedzić np. piękne i klimatyczne Podlasie, gdzie znajduje się aż 150 prawosławnych cerkwi, to największe zagęszczenie świątyń prawosławnych w Polsce

Choć dopłaty do wypoczynku będą dostępne we wrześniu, warto już teraz zaplanować taki wyjazd.

Przypomnijmy przy okazji, że to nie są pierwsze dopłaty do wypoczynku. Był już „Polski Bon Turystyczny". Został wprowadzony w 2020 roku, jako wsparcie dla rodzin oraz branży turystycznej, dotkniętej skutkami pandemii Covid-19. Świadczenie wynosiło 500 zł na każde dziecko i mogło być wykorzystane na noclegi oraz usługi turystyczne realizowane na terenie Polski. Bon był dostępny w formie elektronicznej i obsługiwany przez ZUS.

Program cieszył się dużym zainteresowaniem.

W ramach „PBT" zrealizowano miliony płatności w hotelach, pensjonatach oraz gospodarstwach agroturystycznych.

Program zakończył się w 2023 roku.

©℗

AUTOREKLAMA 0111521052

ENERGIA Z POLSKI LOCAL FIRST
Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego
Rzeszów 2026

Już 15 czerwca w Rzeszowie
Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego

Twoja firma może stać się dostawcą w przemyśle energetycznym i obronnym. Wielkie inwestycje czekają także na Ciebie.

TEMATY PANELI:
- Biliony do wydania – jak zatrzymać kapitał w Polsce?
- Finansowanie projektów strategicznych
- Transformacja energetyczna jako szansa dla polskich firm
- Polski przemysł zbrojeniowy – od podwykonawcy do integratora

Zapisz się już dziś! energiazpolski.pl
Udział bezpłatny. Liczba miejsc ograniczona.

ORGANIZATOR
POLSKA PRESS GRUPA
PATRONAT MEDIALNY
strefa BIZNESU.pl

PATRONAT HONOROWY
Ministerstwo Aktywów Państwowych
Wiceprezes Rady Ministrów Minister Obrony Narodowej
Władysław Kosiniak-Kamysz
Konrad Fijołek Prezydent Miasta Rzeszowa
WOJEWODA PODKARPACKI

eprasa.pl 3abe94452f

Wybrałem jednak teatr. Tak musiało być

Magda Jasińska
Zwierzenia przy muzyce

Kacper Kuszewski – aktor teatralny, filmowy, serialowy, prowadzący teleturniej „Tak to leciało!", ostatnio prowadzący również Galę Konkursu Artystycznych Form Radiowych Grand PiK.

Trochę jesteś człowiekiem stąd!
Urodziłem się w mieście, w którym nigdy nie mieszkałem, w Słupsku, bo mój tata pracował w teatrze w Koszalinie. Rodzice mieli znajomego lekarza w Słupsku, więc poród odbył się tam. Rok później się wyprowadziliśmy z tego Koszalina, pojechaliśmy do Płocka na dwa lata, a potem znowu przez rok mieszkaliśmy w Koszalinie i w wieku 4 lat znalazłem się w Gdyni. Mój tata został dyrektorem teatru dramatycznego i tam spędziłem dzieciństwo. Mogę powiedzieć, że najbardziej czuję się związany z Gdynią, ale od 14 roku życia od 8 klasy podstawówki, znalazłem się w Bydgoszczy. Zacząłem się uczyć w bydgoskiej szkole muzycznej i tutaj zdałem maturę, więc na ogół odpowiadam na to pytanie: „jestem trochę z Gdyni, trochę z Bydgoszczy".

Ale przyjechałeś tutaj, żeby uczyć się w szkole muzycznej?
Przyjechałem, bo wyrzucili mnie ze szkoły muzycznej w Gdańsku.

Co takiego?
Tak, zostałem wyrzucony i rzeczywiście to był taki rok w moim życiu, kiedy zagrałem pierwszą swoją rolę w prawdziwym dużym teatrze, w bardzo dużej i poważnej produkcji. Była to polska prapremiera światowej sławy musicalu Les Miserables, czyli Nędznicy w reżyserii Jerzego Gruzy. Zagrałem legendarnego, można nawet powiedzieć małego gawrosza. Bardzo fajna rola, powiedzmy drugo czy trzecioplanowa, bo miałem tam taką niewielką scenę, z rolą gdzie ginąłem bohatersko na barykadzie. Ten świat teatru tak mnie pochłonął, ci ludzie, których tam poznałem, że siedzenie przy fortepianie mnie nie interesowało. Naprawdę zupełnie straciłem do tego zainteresowanie ale starałem się, lecz komisja uznała, że nie zdałem egzaminu. Moi rodzice bardzo chcieli, żebym dalej uczył się w szkole muzycznej i próbowali przekonać nawet dyrektora szkoły w Gdańsku, żeby mnie przenieść na jakiś inny instrument. Jednak rada pedagogiczna stwierdziła: „nie, nie chcemy tego dziecka w naszej szkole". A tutaj szkoła przyjęła mnie ciepło i bardzo dobrze wspominam ten czas. Był jeden warunek, żebym mógł przejść do następnej klasy, to musiałem zmienić instrument. Tutaj uczyłem się gry na klarnecie i ta zamiana dobrze mi zrobiła. Tak myślę, bo rzeczywiście jakoś tak się uspokoiłem. Byłem wcześniej strasznie bezczelnym i rozwydrzonym dzieckiem. Dziś już wiem z czego to wynikało, mam diagnozę, mam to na papierze. Mam ADHD i myślę, że sytuacje, które miałem w szkole w tamtym okresie, właśnie z tego wynikały. Natomiast tutaj jakoś udało mi się uspokoić i nawet byłem przewodniczącym samorządu szkolnego, gospodarzem klasy, też byłem posłem mojej szkoły do Parlamentu Młodzieży Rzeczypospolitej, bo wtedy było coś takiego. Wchodziliśmy do Unii Europejskiej i dostałem chyba tutaj na koniec świadectwo z paskiem.
Profesor Aleksandra Kłaput – Wiśniewska uczyła Cię i dobrze Cię wspomina. – Tak, uczyła mnie historii muzyki i to był to mój ulubiony przedmiot. Zdawałem maturę na końcu szkoły muzycznej, średniej i można było wybrać sobie jeden z teoretycznych przedmiotów, a ja wybrałem ustną maturę z historii muzyki.Do dzisiaj ta miłość do muzyki i do historii muzyki jest we mnie.

FOT. IRENEUSZ SANGER

„Zwierzenia przy muzyce" Kacpra Kuszewskiego na antenie Radia PiK w piątek o godzinie 20.05

I stanąłeś przed wyborem?
Tak, wspaniale pamiętam. Zastanawiałem się co wybrać. Wybrałem jednak teatr. Tak musiało być w moim przypadku, bo to wcale nie jest takie oczywiste, że dzieci aktorów zostają na pewno aktorami, czy chcą nimi być. Często jest dokładnie wprost przeciwnie. Mam starszą siostrę, która jest skrzypaczką i jej absolutnie nie ciągnęło na scenę, do zostania aktorką. Ja uwielbiałem od dziecka bawić się w teatr, spędziłem dzieciństwo za kulisami teatru, oglądałem wielokrotnie te wszystkie spektakle, również te dla dorosłych. Znałem je na pamięć. Pierwszy swój spektakl wyreżyserowałem w trzeciej klasie podstawówki, z koleżankami z klasy. Była to Pchła Szachrajka. Zaprezentowaliśmy ten spektakl w szkole. Sukces był taki, że potem jeszcze kilka razy zagraliśmy go dla młodszych dzieci w przedszkolach. Jeszcze muszę dodać, że pierwszy raz na scenie, w spektaklu dla dorosłych, w profesjonalnym teatrze zagrałem w wieku lat sześciu, ale nie była to duża rola. Byłem jednym z chłopców w chórze chłopięcym, w spektaklu „Historia o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim" i tak myślę, że wtedy gdzieś coś bardzo głęboko we mnie zapadło, bo ja do dzisiaj pamiętam ten moment, kiedy już po wszystkich próbach przyszedł wieczór trzeciej próby generalnej, takiej kiedy przychodzi publiczność i ja stałem za kulisami. Wchodziliśmy pamiętam bardzo dokładnie ten moment, te odczucia, to wrażenie i te emocje jakie czułem kiedy stałem za kulisami. Słyszeliśmy szmer publiczności zza kurtyny, po czym rozległ się gong, przygasło światło, ten szmer ucichł, rozsunęła się kurtyna i ja z tej mojej kulisy, byłem tym, który pierwszy wchodził w ten magiczny krąg sceny. Ten świat tam na scenie, ja go poczułem, że to jest jakieś miejsce dla mnie. (...) Zakochałem się w teatrze i w byciu na scenie w teatrze, bardzo. (...)

Strajk generalny w Dino to kwestia kilku dni

Paweł Antuchowski
pawel.antuchowski@polskapress.pl

Tylko dni dzielą nas od możliwego paraliżu jednej z największych sieci handlowych w Polsce. MRPiPS potwierdziło, że strajk w Dino można ogłosić bez przeprowadzania referendum.

To już pewne - zaledwie dni dzielą nas od historycznego strajku generalnego w sieci sklepów Dino. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej (MRPiPS) potwierdziło, że związkowcy mogą ogłosić bezterminowy strajk generalny w Dino bez przeprowadzania referendum strajkowego.

- Strajk może być zorganizowany bez zachowania zasad określonych w ustawie (dotyczących organizacji referendum strajkowego - przyp. red.), jeżeli bezprawne działanie pracodawcy uniemożliwiło przeprowadzenie rokowań lub mediacji, a także w wypadku, gdy pracodawca rozwiązał stosunek pracy z prowadzącym spór działaczem związkowym. W tej sytuacji została wyczerpana możliwość rozwiązania sporu zbiorowego w drodze rokowań i mediacji - wskazuje MRPiPS.

Ostateczny upadek jakichkolwiek prób porozumienia się pracowników z szefostwem sieci Dino nastąpił już pod koniec kwietnia tego roku. Wtedy to żaden z przedstawicieli firmy nie przybył na spotkanie w ramach mediacji, które zostały zorganizowane przez ministerstwo w Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog".

- Mediacje zakończyły się sporządzeniem protokołu rozbieżności przez związek zawodowy przy udziale mediatora, bez udziału pracodawcy. Na tej podstawie spór zbiorowy przeszedł do etapu strajku - dodaje ministerstwo.

Do ministerstwa dotarły także sygnały dotyczące zwolnienia dyscyplinarnego Katarzyny Kiwierskiej, działaczki związkowej, posiadającej ochronę związkową i będącą stroną trwającego sporu zbiorowego. Dodatkowo kontrolerzy Państwowej Inspekcji Pracy naliczyli ponad 1300 naruszeń prawa pracy w działalności sieci, a związki zawodowe informowały o jawnym zastraszaniu pracowników, którzy chcieli wziąć udział w niedawnym strajku ostrzegawczym.

W tej sytuacji ogłoszenie bezterminowego strajku generalnego w sieci sklepów Dino stało się kwestią dni. Ostateczne decyzje w tej sprawie związkowcy podejmą do końca tygodnia, jednak już teraz wiadomo, że strajk zostanie ogłoszony jeszcze w czerwcu. Niezależnie od strajku planowana jest akcja protestacyjna przed centrami dystrybucyjnymi sieci, które mają wstrzymać dostawy do sklepów.

- Cały czas czekamy na to, aż druga strona się odezwie. Nam nie zależy na strajku, tylko na dialogu. A jego brak popycha nas do działań ostatecznych. Może kiedy już ogłosimy strajk generalny i wskażemy konkretną datę, wtedy może w końcu pracodawca usiądzie z nami przy stole - wyraził nadzieję Wojciech Jendrusiak z OPZZ Konfederacja Pracy w Handlu.

Podkreślił, że strajk nie jest komfortowy ani dla firmy, ani dla pracowników. Zwłaszcza, że pracownicy i związkowcy nie chcą szkodzić firmie, a wręcz przeciwnie - chcą żeby nadal rozwijała się tak samo jak do tej pory. Tylko, że z poszanowaniem praw pracowniczych.

Nie jest tajemnicą, że w czasie strajku jego uczestnicy nie otrzymują wynagrodzenia, stąd związkowcy nie wykluczają powołania funduszu strajkowego. Według Jendrusiaka rozproszenie sieci nie stanowi większego problemu, ponieważ Konfederacja Pracy jest częścią dużej organizacji związkowej. To pozwoli na dotarcie do większości z ponad 3 tys. sklepów sieci. ©℗

REKLAMA 0011533748

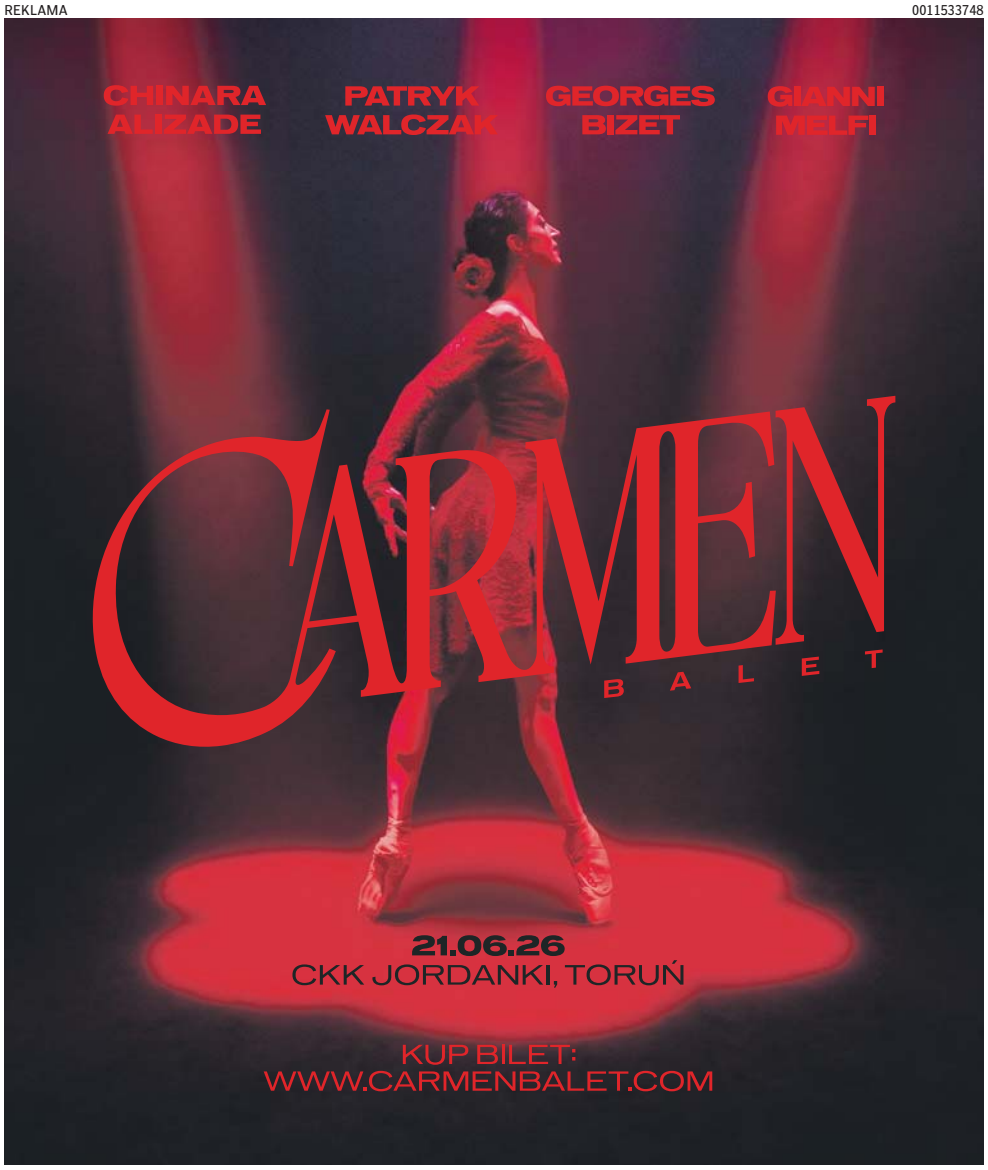

eprasa.pl 3abe94452f

FOTO*komentarz tygodnia*

FOT. PAP/EPA/MAXYM MARUSENKO

1 CZERWCA, UKRAINA

Rosji coraz trudniej o sukcesy wojskowe na linii frontu, więc sięga po typową dla siebie brutalność wobec cywilów. Tylko 1 czerwca w bombardowaniach Ukrainy zginęło 13 osób (cztery w samym Kijowie), ponad 100 zostało rannych. Rosjanie użyli kombinacji ataków dronowych (650 różnego rodzaju dronów) i rakietowych (70 pocisków). Ale obok kolejnych aktów terroru widać coraz większą słabość Rosjan na polu walki. Linia frontu – mimo zapowiadanej na wiosnę ofensywy – stoi właściwie w miejscu. A wojska ukraińskie za pomocą dronów coraz skuteczniej uderzają w zaplecze rosyjskiej armii

FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

1 CZERWCA, POLSKA. **Między innymi w ten sposób dzieci świętowały tegoroczny Dzień Dziecka – bo też bez współczesnych cyfrowych wynalazków najmłodsi często nie wyobrażają sobie życia. Ale rząd uznał, że szkoły powinny być od elektroniki wolne. Od 1 września wejdzie zakaz korzystania ze smartfonów**

FOT. PAP/SZYMON ŁABIŃSKI

1 CZERWCA, PŁOCK. **Potężny pożar doszczętnie zniszczył ogromną (8 tys. mkw.) halę. Ogień gasiło aż 120 strażaków. Na szczęście obyło się bez ofiar, ale z dymem uleciało wiele miejsc pracy w centrum Płocka**

FOT. PAP/PIOTR NOWAK

31 MAJA, WARSZAWA. **Estończyk Jaan Roose przeszedł po 500-metrowej linie rozciągniętej między Pałacem Kultury i wieżowcem Varso. Prawdziwy spacer w chmurach – bo na wysokości 180 m.**

Express BYDGOSKI
www.express.bydgoski.pl

Redaktor naczelna **Alicja Polewska**
Prezes Makroregionu **Marek Ciesielski**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Agnieszka Perlińska**
Dyrektor marketingu oddziału **Katarzyna Jabłońska**

Redakcja, ul. Zamoyskiego 2, 85-063 Bydgoszcz
tel. 523263100
redakcja@express.bydgoski.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.expressbydgoski.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 3abe94452f

PULS
#219

Generacja zrób to sam.

BT

eprasa.pl 3abe94452f

Express Bydgoski
Piątek, 5.06.2026

W dzieciństwie nosili klucz na szyi i nauczyli się, że najlepiej liczyć na siebie. Przetrwali stan wojenny, hiperinflację, transformację, trzy bańki spekulacyjne i rewolucję technologiczną. Dzisiaj to oni wciąż napędzają światową gospodarkę, chociaż dla tego świata stali się „niewidzialni"

Dorota Kowalska

FOT. GETTY IMAGES

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu, sprawia, że Iksy często zostają w pracy po godzinach, są przemęczeni

POKOLENIE X. TWARDZIELE, O KTÓRYCH TROCHĘ ZAPOMNIAŁ ŚWIAT

Słuchajcie, mam taką teorię - gdyby jutro na dobre wyłączyli internet, prąd i zamknęli wszystkie sklepy, najlepiej z tą apokalipsą poradziłoby sobie pokolenie X. No bo kto inny? Zetki bez technologii mogłyby być bardzo zagubione. Większość milenialsów też miałaby problem ze zbudowaniem szałasu bez instrukcji na YouTubie. Boomersi skrzyknęliby się w grupę i dzielnie znosili trudne warunki. Ale prawdziwymi mistrzami przetrwania i jedyną szansą ludzkości na odbudowę cywilizacji byłoby pokolenie X. Oni są jak MacGyver. Ze spinacza i gumy do żucia zbudują wynalazki ratujące życie" - zaczyna swój felieton Anna Szlęzak, psychoterapeutka. I dodaje, że „pokolenie X to ludzie, którzy przetrwali stan wojenny, hiperinflację, trzy bańki spekulacyjne i przejście z faksu na Slacka. To psychologiczny ultramaraton, który od czterdziestu lat nie pozwala im zwolnić, odpocząć i poczuć się w pełni bezpiecznie".

Pokolenie X to ludzie urodzeni w latach 1965-1980. Rozbieżność niby duża, bo jedni to już dziadkowie, inni wciąż wychowują własne dzieci, ale pewne cechy mają wspólne. Twardzi musieli być od dzieciństwa.

Z kluczem na szyi

Wojtek, rocznik 71., informatyk. Dorastał na Śląsku, rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości. Jakie ma pierwsze skojarzenie z dzieciństwa? Klucz na szyi i młodszy brat uwieszony u nogi.

- W sumie to miałem fajne dzieciństwo! - tak zaczyna.

Rodzicie pracowali na poranne zmiany, od godz.7.00 do 15.00, ale jakąś godzinę zajmował im powrót do domu. Rano mama zaprowadzała Adama, młodszego brata, do przedszkola, on do szkoły maszerował sam. Z kluczem na szyi, jak większość kolegów i koleżanek z klasy. W szkole jadł obiady, drugie śniadanie przynosił ze sobą.

- Wracałem do domu i czekałem na brata, przyprowadzała go zaprzyjaźniona sąsiadka, która chodziła do przedszkola po swoją córkę. Nie pracowała, mąż był górnikiem, więc mogła sobie na to pozwolić. Po przyjściu Adama robiłem nam kanapki, potem odrabiałem lekcje, a brat się bawił - wspomina.

Dość szybko pojął, ale i Adam też, że im sprawniej działają, tym więcej czasu spędzą z kolegami. Nauczył się kroić chleb, kłaść na niego co tam było w lodówce. Odrabiał lekcje starannie, ale co chwila zerkał na zegarek. Adam wiedział, że nie ma co marudzić i przeszkadzać, bo wtedy będzie siedział w domu, więc jak to mówi Wojtek, „młody współpracował".

- Rodzice z pracy zawsze wracali zmęczeni. Pytali, jak tam w szkole, czy odrobiłem lekcje, czy nie jesteśmy głodni, Adama, co było na obiad w przedszkolu - wspomina.

Odpowiedzi szły z automatu: „W szkole dobrze", „Tak, odrobiłem lekcje", „Nie, nie jesteśmy głodni. Zrobiłem kanapki". Adam potakiwał i dodawał, że obiad w przedszkolu był smaczny, z nikim się nie pobił i pani go pochwaliła. Po tym błyskawicznym zdaniu relacji z dnia następowało rytualne: „To możemy iść na dwór?".

- I mama zazwyczaj kiwała potakująco głową. Dzisiaj myślę, że była w tym potakiwaniu także ulga, rodzice mogli wreszcie odpocząć - śmieje się Wojtek.

Na podwórku koledzy czekali na nich już od godziny 15. Była gra w piłkę na pobliskim boisku, czyli wykoszonej polanie, wrotki, które on dostał na gwiazdkę jako pierwszy na osiedlu, był trzepak, zabawy w chowanego. Adam był z nim albo ze swoimi kolegami. Wszyscy trzymali się razem. Do domu musieli wrócić do godziny 19.

- Wiedziałem, że muszę radzić sobie sam. Nie było telefonów, nie było Google'a. Jak coś się stało, mogłem co najwyżej pobiec do sąsiadki. Nie widziałem w tym żadnego heroizmu, wszyscy moi koledzy tak funkcjonowali - wzrusza ramionami Wojtek.

Rodzice, owszem, byli obok, troszczyli się, kochali, ale nie było wylewności, okazywania uczuć, przytulania. Uczyli go samodzielności, a właściwie samodzielności uczyło go życie. Tata pokazywał mu, jak dbać o wrotki, jak nasmarować łańcuch w rowerze, nawet dziurę w piłce sami zakleili łatą. Długo nią już nie pograł, ale starczyło na jakiś czas.

Jako dorosły mężczyzna trzy razy wyremontował mieszkanie, naprawia w domu wszystkie sprzęty, do fachowców dzwoni tylko wtedy, kiedy wie, że z problemem sobie nie poradzi. Inni jego znajomi też tak mają.

- Mówiąc szczerze, z rozrzewnieniem wspominam tamte czasy. Było trudniej, biedniej, ale dorastaliśmy razem, w grupie. Nie było komputerów, musieliśmy sami wymyślać zabawy, organizować sobie czas - mówi.

Tak, czuje się przez to twardszy, odporniejszy, bardziej zaradny, chociaż pewnie z dzisiejszej perspektywy ktoś powiedziałby, że był dzieckiem niezaopiekowanym. Nie odbiera tak tego. Takie były czasy, tak funkcjonowała większość dzieciaków w jego dzielnicy. No chyba że ktoś miał blisko dziadków, ale zazwyczaj jeździło się do nich na wakacje. Rodzice kolegów, tak jak jego, przyjechali na Śląsk, nie mieli tu rodziny. Musieli sobie radzić bez jej wsparcia, ich dzieci - czyli oni - także. Więc zawsze było przedszkole, potem szkoła i najlepiej studia. Rodzice cały czas im powtarzali, że mają się uczyć, bo jak się już wykształcą, czeka na nich praca, a jak będą pracować, z czasem kupią pierwsze mieszkanie, samochód, pojadą na wakacje.

- W czasach mojego dzieciństwa świat wydawał się uporządkowany. Wszyscy mieli po tyle samo, raczej mało niż dużo, ścieżka życiowa też wydała się jasno określona - opowiada Wojtek. Skończył szkołę, potem studia, i ani jednego dnia nie przepracował w wyuczonym zawodzie.

Nowe czasy, nowe wyzwania

„Pokolenie X nie miało łatwo w życiu, i to nie tylko ze względu na wymagające dzieciństwo. Świat na wejściu obiecał względną stabilność i przewidywalność tylko po to, żeby potem ci ludzie musieli patrzeć, jak co kilkanaście lat kompletnie staje na głowie. Od dziecka słyszeli, że jeśli będą ciężko pracować i trzymać się zasad, to wszystko się ułoży. A potem zasady zmieniały się na ich oczach praktycznie co chwilę" - mówi Anna Szlęzak. I dodaje, że „kiedy Iksy wchodziły na rynek pracy, w Polsce skończył się komunizm i rozpoczął trudny okres transformacji. Z jednej strony oznaczało to nowe możliwości, z drugiej niepewność zatrudnienia, drastyczne reformy i ogromne bezrobocie. Na oczach Iksów walił się stary porządek i w niemałym chaosie rodził się nowy".

No tak, dość szybko okazało się, że trzeba się przebranżowić albo w ogóle szukać pracy w zupełnie innym niż wyuczonym zawodzie. Do tego, kiedy już wydało się, że Iksy opanowały rzeczywistość, pojawiły się komputery, internet

eprasa.pl 3abe94452f

- i znowu musieli się w tym wszystkim odnaleźć.

Anna, rocznik 67. Skończyła studia, ale jakoś nie wyobrażała sobie pracy w szkole, a mogła w niej uczyć języka polskiego. Dużo dzieci, hałas, pensja taka sobie. Chciała pisać. To był świetny czas dla dziennikarstwa, otwierały się nowe redakcje: szukano młodych, zdolnych, pełnych pasji. Poszła do jednej z nich. Redaktor naczelny kazał jej napisać dwa teksty, to zobaczą, czy się nadaje.

- Napisałam, przyniosłam. Pozwolono mi zostać miesiąc na okresie próbnym. Po tym czasie dostałam umowę; na początku płacono mi za ilość napisanych artykułów, ale pisałam ich tak dużo, że w pewnym momencie szefostwo doszło chyba do wniosku, że taniej będzie, jak dadzą mi umowę o pracę - wybucha śmiechem.

Bo pracowała, wszyscy tak pracowali, jak opętana. Od rana do późnej nocy. Spotkali się w redakcji około godz. 8.00, szef rozdzielał tematy, wcześniej poranny dyżurant obdzwaniał policję, straż pożarną, urzędy, żeby zorientować się, co się dzieje w regionie. Nie było internetu, nie było całodobowej telewizji. Każdy temat trzeba było wyszarpać, wychodzić. Po kolegium jechali w teren. Potem wracali do redakcji, pisali tekst i gadali godzinami przy kawie.

Wychodzili z redakcji około 22.00. Szaleństwo! Nie dlatego, że musieli. Chcieli. Szybko wciągnęła ją ta robota: wyjazdy, rozmowy z ludźmi i tekst podpisany jej nazwiskiem. Miała poczucie misji? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, po prostu lubiłam to, co robię. I miałam wrażenie, że to coś ważnego. Wtedy gazety sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy, ludzie nas czytali, pisali do nas - tak odpowiada. - To był dziwny czas, trudny, ale też dający wiele możliwości. Z mojej klasy z liceum wszyscy poszli na studia. Potem w większości próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości, bo wchodziliśmy na rynek pracy w czasach transformacji - opowiada.

Spogląda na klasowe zdjęcie z liceum. Ewa skończyła romanistkę, pojechała do Paryża, zrobiła tam studia podyplomowe, wróciła do Polski i natychmiast dostała pracę we francuskim koncernie, który wchodził właśnie na rynek Europy Środkowej i Wschodniej. Ona też pracowała od rana do późnej nocy.

Marek - mieli w liceum rozszerzony język francuski, od szkoły podstawowej uczyli się języka rosyjskiego; też załapał się w jakiejś zachodniej korporacji. Ela, jak tylko było można, wyjechała do Anglii. Monika uczy w szkole, Aśka kilka lat po studiach otworzyła własny biznes. Każdy jakoś sobie poradził.

Kuba - pokazuje na zdjęciu chłopaka z bujną czupryną - w pewnym momencie się przebranżowił. Zawsze był dobry z przedmiotów ścisłych. Zaczynał jako nauczyciel matematyki, dzisiaj prowadzi firmę informatyczną. Tak, musieli się cały czas uczyć, dostosowywać do zmian, a świat pędził w zastraszającym tempie.

- Kiedy zaczynałam, pracowaliśmy na starych Macintoshach, a kierowca woził co wieczór do drukarni makiety stron - wybucha śmiechem. - Dzisiaj wszystko jest zautomatyzowane, większość dziennikarzy pracuje z domów i łączy się z redakcją na Teamsach - dodaje.

Brakuje jej tamtych redakcji? Tamtej atmosfery? Na pewno tak.

Nastawieni na pracę

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu - transformację, prawdziwy skok technologiczny - sprawia, że Iksy często zostają w pracy po godzinach, wielu z nich to pracoholicy; potwierdzają to zresztą badania. Blisko co trzeci badany Polak deklaruje, że pracuje więcej niż 40 godzin tygodniowo - wynika z raportu „Polki i przedsiębiorczość 2024: Dynamika czasu pracy". Wśród przedsiębiorczyń ten odsetek wynosi z kolei aż 42 proc. Najwięcej pracują osoby z pokolenia X - aż 43 proc. z nich ponad 40 godzin tygodniowo.

Przedstawiciele pokolenia X często spędzają w jednej firmie wiele lat i mocno się z nią identyfikują. Uważają też, że samo miejsce pracy czy zawód, który wykonują, jeśli te cieszą się wystarczającym szacunkiem, są już swego rodzaju nagrodą, dla której można czasami pocierpieć: zostać dłużej w pracy, przemilczeć brak podwyżki czy premii, machnąć ręką na fanaberie szefa. Iksy są odpowiedzialne, efektywne i lojalne wobec pracodawcy.

Cenią sobie stabilizację, ważna jest również dla nich godziwa pensja. Utrzymują rodziny, często pomagają też rodzicom albo dorosłym już dzieciom. Także z tego powodu cenią sobie przewidywalność. Dla nich zmiana pracy to ostateczność - kojarzy im się wyłącznie ze stresem, brakiem stabilności. Więc, mówiąc szczerze, harują jak woły, żeby było „po staremu", żeby nic się nie zmieniło.

„Być może trochę licząc na to, że uchroni ich to przed kolejną katastrofą albo przynajmniej pozwoli odłożyć wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przetrwać kolejny kryzys. Życie nauczyło ich, że zawsze muszą być przygotowani na najgorsze i że nieważne, jak bardzo dążą do stabilności, świat i tak pewnie znowu zrobi im jakiegoś bolesnego psikusa, nawet kiedy mają nadzieję na coś dobrego. No i tak przygotowują się na wszystko, co może pójść nie tak" - mówi w swoim felietonie Anna Szlęzak.

I często idzie nie tak. Pokolenie X według danych GUS stanowi dziś 36,5 procent wszystkich pracujących w Polsce. To oni zarządzają zespołami i utrzymują ciągłość biznesową, często uchodzą za ekspertów w swoich dziedzinach. Mimo to w wielu firmach osoby między 45. a 59. rokiem życia są „niewidzialne", Iksy rzadziej chociażby uczestniczą w szkoleniach niż przedstawiciele innych pokoleń. Firmy wychodzą z założenia, że pracownik w tym wieku „już zrobił swoje", więc przestają w niego inwestować.

Dane Eurostatu są jednoznaczne: Polska szybciej niż średnia unijna traci dojrzałych pracowników. Nie dlatego, że ci chcą odchodzić, ale dlatego, że systemowo są wypychani z rynku pracy.

Powód? Wszechobecne stereotypy na temat Iksów. Chociażby ten, że to pokolenie analogowe. To prawda, ale szybko uczy się cyfrowych rozwiązań.

Dane OECD wskazują, że luka kompetencyjna między nimi a przedstawicielami młodszych generacji jest coraz mniejsza. I wcale nie jest tak, że Iksy nie lubią zmian. Nowego boją się wszyscy albo prawie wszyscy. Są za to przyzwyczajeni do tego, że w życiu trzeba sobie radzić, sporo przeżyli, więc szybko adoptują się do nowych sytuacji.

Pokolenie X wie, jak działa Facebook, ogląda YouTube'a, jest na WhatsAppie, ale korzysta z nich i możliwości, jakie niesie rozwój nowych technologii, kiedy tego potrzebuje. Robi zakupy przez internet, płaci przez niego rachunki, ale nie daje się wciągnąć przez wirtualny świat.

I wcale nie jest tak, że przedstawicie pokolenia X nie potrafią pracować w zespołach, bo to kolejny mit na ich temat; ich niezależność nie wynika z braku ducha współpracy. Badania Deloitte nad współpracą międzypokoleniową pokazują, że różnorodność doświadczeń sprzyja efektywności zespołów, a pokolenie X często naturalnie pełni rolę pomostu między stylami pracy młodszych i starszych pracowników.

Przedstawicielom pokolenia X zarzuca się także wypalenie zawodowe. Tyle tylko, że cierpią na nie również przedstawiciele dużo młodszych pokoleń.

Niewidzialni dla świata

Nie tylko w pracy Iksy stają się „niewidzialne". Przedstawiciele generacji X, a więc współcześni czterdziestolatkowie i pięćdziesięciolatkowie, to najbogatsza grupa klientów. Firmy skupiają się jednak głównie na generacji Z. Zdaniem analityków z agencji mediowej Wavemaker wszystko za sprawą błędnego postrzegania Iksów. Analitycy postanowili przyjrzeć się problemowi: przeprowadzili własne ankiety i wywiady, przeanalizowali istniejące badania. Łącznie przebadano prawie 200 tysięcy przedstawicieli pokolenia X z całego świata. Swoje spostrzeżenia eksperci opublikowali w raporcie: „Finding the Gen X Factor. Confronting marketing mishaps and bias to over-45s in social".

Do jakich doszli wniosków? Osoby należące do generacji X reprezentują 31 procent globalnej populacji. Jeżeli jednak chodzi o badania rynkowe, grupa ta jest mocno niedoreprezentowana i w raportach stanowi jedynie cztery procent respondentów. Firmy z różnych branż z jakiegoś powodu straciły zainteresowanie pokoleniem X. Dlaczego? Zdaniem autorów raportu, twórcy marek i reklamodawcy nie doceniają kompetencji Iksów w kwestii użycia takich nowszych platform społecznościowych, jak TikTok czy Snapchat, uważają, że ci nie korzystają z mediów społecznościowych tak samo jak młodsze pokolenia. Nic bardziej mylnego! Okazuje się, że aż 92 procent przedstawicieli generacji X korzysta z social mediów każdego dnia. Co ważne, korzysta z nich bardziej świadomie niż pokolenie Z.

Iksy reprezentują prawie jedną trzecią użytkowników TikToka, są też najszybciej rosnącą grupą osób korzystających z tej platformy. Tymczasem, jak wynika z analiz ekspertów z Wavemakera, zaledwie pięć procent marek tworzy swoje kampanie reklamowe z udziałem influencerów, skierowanych do klientów z tego pokolenia. Z ankiet i wywiadów, które przeprowadzono z osobami należącymi do pokolenia X, wynika, że jedynie 13 procent z nich ma poczucie, że są adresatami reklam w mediach społecznościowych.

W kanapce

Ci twardziele, o których trochę zapomniał świat, nigdy nie mieli w życiu lekko i wygląda na to, że to się nie zmieni.

„Z jednej strony albo właśnie wychowują dzieci, albo nadal pomagają swoim niby dorosłym, ale wciąż nieustabilizowanym pociechom z pokolenia milenialsów czy zetek. A z drugiej strony muszą się już opiekować swoimi nieuchronnie starzejącymi się rodzicami. Wciśnięci jak ser w kanapce między dwa inne pokolenia, które potrzebują ich wsparcia. Iksy dają z siebie wszystko, ale są też coraz bardziej przeciążone. A jeśli dodać do tego ich charakterystyczną postawę Zosi Samosi, nieumiejętność przyjmowania wsparcia, to ich sytuacja robi się naprawdę poważna" - mówi psychoterapeutka Anna Szlęzak. I dodaje, „że Iksy są trochę jak ten pies z mema siedzący w płonącym pokoju i powtarzający, że wszystko jest w porządku".

Agnieszka, rocznik 76. Trzy lata temu kupili z dziećmi dom. Rodzina to ich córka Gosia, jej mąż i dwoje małych wnuków. Zajmują górne piętro, oni mieszkają na parterze.

- Wciąż pracuję zawodowo, mąż też. Kiedy wracamy do domu, wnuki już na nas czekają. Widzą nasz samochód przez okno i momentalnie są na dole - opowiada. Pewnie, że się cieszy. Za Anielę i Antosia dałaby się pokroić. Ale, umówmy się, czasami czuje się zmęczona.

- Zostajemy często z wnukami, jak młodzi wychodzą. Bierzemy je ze sobą na wakacje. Są jeszcze małe, trzeba się naprawdę sprężyć, żeby za nimi nadążyć - przyznaje. Czasami mówi: dość. Wyjeżdżają z mężem na weekend albo po prostu udają, że ich nie ma.

- Oprócz pracy, własnego domu, domu córki mam też tatę na głowie - mówi.

Tata mieszka sam 20 kilometrów od nich. Jeździ do niego raz w tygodniu, najczęściej w soboty rano. Sprząta mu mieszkanie i gotuje na cały tydzień.

- On sam co najwyżej zrobi herbatę, usmaży jajecznicę, przygotuje sobie kanapkę. Zawsze to mama gotowała i sprzątała, więc kiedy odeszła, nagle okazało się, że muszę ją zastąpić - wzdycha. Proponowała tacie zatrudnienie jakieś kobiety do pomocy. Nie zgodził się. „Sam sobie poradzę" - usłyszała. Wiadomo, że sobie nie poradzi.

Musi też ojca wozić na wizyty do lekarzy, sprawdzać, czy przyjmuje lekarstwa, czy zrobił wszystkie opłaty. Jednak nie skarży się.

Magda, koleżanka, jeździ do rodziców co dwa tygodnie, 130 kilometrów w jedną stronę. Żyją oboje, ale są już dobrze po osiemdziesiątce. Nagotuje, opierze, posprząta i wraca. Waldek wziął matkę do siebie - ma duży dom, wygospodarował dla niej pokój. Podobnie zrobiła Marta ze swoim tatą.

„The Economist" pisze tak: „Mają na głowie coraz starszych rodziców i własne dzieci. Nie zrobili zawrotnej kariery. Często nie dorobili się nawet własnego domu, nie wspominając o pokaźnym majątku. Są coraz starsi, zaczynają podupadać na zdrowiu, a wiele wskazuje na to, że poczują początek upadku systemu emerytalnego na własnej skórze. Oto pokolenie X - najbardziej zapomnianych i rozczarowanych życiowo osób. Ostatnie badanie przeprowadzone przez Ipsos w 30 krajach pokazuje, że 31 proc. pokolenia X twierdzi, że jest „niezbyt szczęśliwe" lub „w ogóle nie jest szczęśliwe", co stanowi najwyższy odsetek spośród wszystkich pokoleń. David Blanchflower z Dartmouth College odkrył, że wszelkiego rodzaju negatywne emocje - od nieszczęścia, przez niepokój, po rozpacz - osiągają szczyt w wieku około 50 lat.

Iksy mają dość. Żyją trochę w rozkroku między pokoleniem swoich rodziców i dzieci. Zmęczeni, przeciążeni, często wypaleni. I świadomi, że właściwie nie mają wyjścia. Nie proszą o pomoc, bo życie ich nauczyło, że najlepiej liczyć na siebie.

Z drugiej strony, coraz częściej - o czym pisze „The Ekonomist" - zastanawiają się, czy było warto tak ciężko pracować, tak bardzo się poświęcać, tak przeć do przodu. Bo co właściwie dzisiaj z tego mają? Ale nawet jeśli czasami przyjdzie im do głowy taka myśl, szybko machają ręką i biegną dalej: bo urodziny wnuka, bo lekarz mamy, bo roczne sprawozdanie w pracy. Nie ma się co mazgaić - trzeba się wziąć w garść, bo „jak nie my, to kto?".

Anna Szlęzak mówi tak: „Prawdziwe wzięcie się w garść to odwaga, żeby w końcu przestać być MacGyverem dla całego świata i stać się nim dla samego siebie. To moment, w którym patrzysz w lustro i przyznajesz: »Tak, ten silnik w mojej głowie zgrzyta, ale nie muszę już dłużej udawać, że wszystko jest w porządku tylko dlatego, że inni na mnie polegają«. Potraficie reanimować martwy akumulator na mrozie, ogarnąć Excela i zarządzać chaosem w domu, jakbyście byli dowódcami jednostki specjalnej. Macie tę legendarną sprawczość niemal wdrukowaną w swoje DNA, więc może czas w końcu przekierować ją także na siebie".

IKSY MAJĄ DOŚĆ. ŻYJĄ TROCHĘ W ROZKROKU MIĘDZY POKOLENIEM SWOICH RODZICÓW I DZIECI. ZMĘCZENI, PRZECIĄŻENI, CZĘSTO WYPALENI

eprasa.pl 3abe94452f

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Tak wyglądała 22 maja Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu. Na zdjęciach: symulacja posiedzenia aresztowego przygotowana przez studentów, liczna publiczność (a wśród niej też wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha)

SĄDY OTWARTE NA ŚWIAT RAZ W ROKU. A NA CO DZIEŃ?

Raz w roku odbywa się Noc Otwartych Sądów. Wtedy, od święta, polskie sądy autentycznie otwierają się na świat - zapraszają na zwiedzanie zakamarków, rozmaite symulacje rozpraw i wtajemniczają w swoje procedury. A jaka jest codzienność? Proza życia tak sympatyczna już nie jest...

Małgorzata Oberlan

Tuż przed Dniem Wymiaru Sprawiedliwości, 22 maja, polskie sądy chętne otwierają swoje budynki dla lokalnych społeczności. W tym roku w tej bezsprzecznie cennej akcji wzięła udział w Polsce już setka sądów - także w Kujawsko-Pomorskiem.

Cel jest jeden - pokazać starszym i młodszym sądownictwo od środka. Sądy zapraszając serdecznie zarówno do poznawania budynków z ich ciekawą zazwyczaj historią (wiele z nich to zabytki), jak i funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Po raz kolejny w tym roku udało się to zrobić w sposób atrakcyjny, przyciągając choćby na symulujące rozpraw i procesów - dostosowane do wieku gości - setki osób w kraju.

22 maja w sądach każdy witany jest serdecznie, panuje pełna otwartość, gościnność. Zaplanowane symulacje rozpraw startują punktualnie i toczą się sprawnie. Można zadawać pytania pracownikom sądownictwa i liczyć na fachowe i życzliwe odpowiedzi.

A jaka jest sądowa proza życia z punktu widzenia zwykłego obywatela? Niestety, ale zdecydowanie już nie taka sympatyczna...

Przychodzi obserwator do sądu i co widzi?

Fundacja Court Watch Polska rodem z Toruniu od kilkunastu już lat nieprzerwanie prowadzi Obywatelski Monitoring Sądów. To już grube tysiące obserwacji i relacji. W rolę obserwatorów najczęściej wchodzą studenci - zawsze profesjonalnie przeszkoleni i przygotowani. Monitoring patrzy na rzeczy najprostsze, zdawałoby się, ale niezwykle ważne z punktu widzenia zwykłego człowieka. Czy rozprawy zaczynają się punktualnie? Czy są jawne dla publiczności? Czy sędziowie są uprzejmi i pomocni? Czy osoby z niepełnosprawnościami mają w sądzie problemy? Czy wyrok ogłaszany jest terminowe, a orzeczenie jest dla zwykłego człowieka zrozumiałe? To tylko przykłady obszarów, które obserwatorzy w sądach w różnych regionach Polski monitorują od lat, a potem raportują Fundacji w ustandaryzowanych formularzach.

I choć z roku na rok przybywa pozytywnych obserwacji (naprawdę!), to pozostają wciąż widoczne grzechy. Ot, choćby punktualność - to pięta achillesowa Temidy. Jak wynika z ostatniego okresu monitorowania (od 1 czerwca 2025 r. do 1 czerwca br.) tylko 50 proc. rozpraw sądowych zaczyna się punktualnie. Wyjaśnienia lub przeprosiny za opóźnienie? Padają zaledwie w 25 proc. przypadków.

Terminowe ogłoszenie wyroku, zawsze tak wyczekiwanego przez zwykłego człowieka? W 13 proc. moment ten jestodraczany. Lepiej jednak jest już obecnie z jego przekazem. W 98 proc. przypadków (880 obserwacji) wyjaśnienie orzeczenia było przekonujące, a w 97 proc. - jego uzasadnienie zrozumiałe dla wszystkich (868 obserwacji).

Nieuprzejmość i arogancja sędziego?

Noc Otwartych Sądów oznacza gościnność i serdeczność dla gości. Ale codzienność na salach sądowych jest zdecydowanie trudniejsza. Przez kilkanaście lat prowadzenia Obywatelskiego Monitoringu Sądów obserwatorzy raportowali takie przypadki wielokrotnie.

„Postawa sędziego nie wzbudzała zaufania, zwracał się on do stron w sposób nieuprzejmy. Co prawda pozwolił on stronom na wypowiedzenie swoich stanowisk, jednak wypowiadane przez niego wtrącenia były niekulturalne i miejscami lekceważące. (...) Postawa sędziego sprawiła, że po zakończeniu rozprawy byłam oburzona postępowaniem sędziego. Jego lekceważący oraz arogancki stosunek do uczestników rozprawy był nie na miejscu. Powinien on zachować neutralność i zachowywać się w sposób kulturalny oraz godny poszanowania". (Obserwacja w SO Płock, Wydział V Karny, 12.08.2022).

„Sędzia dowiedziawszy się o mojej obecności, przerwała rozprawę, robiąc kilkuminutową przerwę. Mecenas (...) odmówiła udziału mojej osoby w rozprawie, naciskając sędzię na odrzucenie mojego udziału w sprawie. Po przerwie, sędzia powołując się na m.in. 90 kpk, dwukrotnie krzycząc na mnie, wyprosiła mnie z sali. Podczas moich dotychczasowym obserwacji nie spotkałam się z takim potraktowaniem. Jestem zażenowana całą sytuacją, a podkreślę, że byłam tam w roli osoby zaufania publicznego, nie w roli którejś ze stron postępowania - przy takiej sędzi i „górującej" mecenas współczuję oskarżonemu, który pozostał na sali sam, bez wsparcia. Fundacja jest wsparciem, którego odmówiono oskarżonemu na starcie" (SR Zielona Góra, Wydział II Karny, 5.07.2023).

„Początkowo sąd, w mojej subiektywnej ocenie dość agresywnie i często przerywał oskarżonej w jej wyjaśnieniach. Wyraźnie okazywał zniecierpliwienie, podnosił zauważalnie głos, łapał się za głowę, przewracał oczami w odpowiedzi na wyjaśnienia oskarżonej. Kilka cytatów: „to niech pani skleci takie zdanie, żeby dało się to zapisać", „co pan [...] zeznał, to sąd ma w aktach, pani mówi, jak było", „ale co!?! (...) bo pani nawet nie kończy zdania!", „z czego!?!", „ja pani zadaję pytanie, pani mówi zupełnie o czym innym". Wszystko to w połączeniu z, w mojej wyłącznie ocenie, dość lekceważącą gestykulacją. Sąd nie był zbyt wyrozumiały dla zdenerwowanej oskarżonej. W końcu oskarżona się rozpłakała... Od tamtego momentu sąd zupełnie zmienił swoje podejście. Był cierpliwy, nie podnosił już głosu. Uprzejmie prosił o wyjaśnienie, gdy oskarżona odpowiadała w sposób nieuporządkowany. Szkoda, że oskarżona musiała się rozpłakać, żeby zrobiło się na tyle, na ile to możliwe, przyjemniej" (SO Warszawa, Wydział XII Karny, 14.04.2023).

eprasa.pl 3abe94452f

To tylko trzy przykłady i to z jednego raportu (obserwacje z okresu 2022-2023 r.) - podobnych było przez lata, niestety, o wiele więcej. Uczciwie jednak trzeba podkreślić, że raporty Obywatelskiego Monitoringu Sądów zawierają też liczne pozytywne obserwacje dotyczące sędziów: życzliwych, kulturalnych, wyrozumiałych, a co najważniejsze - profesjonalnych.

Mimo wszystko w cytowanym tutaj raporcie jego autorzy odnotować musieli, że: „Sporo relacji obserwatorów odnosi się do braku odpowiedniego przygotowania sędziów, na co wskazuje pospieszne przeglądanie akt dopiero na sali sądowej, zadawanie pytań wskazujących na niewystarczające rozeznanie w prowadzonej sprawie czy odraczanie jej do czasu zapoznania się z kluczowymi informacjami, co w ocenie publiczności może być poczytywane jako brak profesjonalizmu i szacunku dla stron, które musiały danego dnia stawić się w sądzie. Rzecz jasna, niekiedy opinia wolontariuszy może wynikać z subiektywnych odczuć, niemniej z pewnością obniża ich zaufanie do sądów. Sarkastyczne uwagi, podnoszenie głosu czy nieodpowiedni ton, jakim sąd zwraca się do zebranych, świadczą natomiast o niskiej kulturze osobistej lub rażącej nieumiejętności zapanowania nad emocjami i zasługują na potępienie”.

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu -

Połowa Polaków nie ufa sądom. I chodzi nie tylko o politykę

Zaufanie przeciętnego Polaka do wymiaru sprawiedliwości spadło do poziomu alarmującego. Trudno, żeby było inaczej, skoro pewne jego zmory ciągną się od lat - choćby przewlekłość postępowań - a kolejne ekipy rządzące zamiast skutecznie reformować system, pogłębiają tylko chaos.

Tak to odbiera przeciętny Kowalski czy Nowak, dla którego polityczne boje w sądownictwie już dawno stały się niezrozumiale. Napięcia, podchody i jawne bitwy o kształt jego poszczególnych izb oraz status sędziów (neo- i „prawdziwych”) niespecjalnie go interesują. W sądzie chce zazwyczaj, by jego życiowa sprawa (rozwód, kredyt frankowy, podział majątku etc.) potoczyła się sprawnie.

36,1 proc. - tyle zaledwie rodaków jesienią ub. roku zadeklarowało zaufanie do sądów (sondaż IBRiS dla Rzeczpospolitej). I był to rekordowo niski odsetek. Respondentów „zdecydowanie ufających” było tylko nieco ponad 2 procent.

- W ubiegłym roku odpowiedziało w ten sposób 5,3 proc. respondentów, nie wspominając już o tym, że w 2016 r. Temidzie zdecydowanie ufało 12,9 proc. Polaków. Jednocześnie w ciągu ostatniego roku aż o 10,1 pkt proc. wzrósł odsetek osób, które sądom zdecydowanie nie ufają (z 13 proc. do 23,1 proc.) - podkreślili autorzy raportu. Eksperci natomiast od razu na tę „czerwoną kartkę dla sądownictwa” zareagowali komentarzami o tym, że na odczucia badanych mógł mieć wpływ fakt, że wymiar sprawiedliwości znajduje się w centrum politycznego sporu. Zapewne tak było i jest, ale czy faktycznie to całkowicie tłumaczy tak dramatyczny spadek zaufania do Temidy?

Stosunek Polaków do sądownictwa regularnie bada też CBOS. Z sondażu ostatniego (raport z 2 kwietnia br.) wynika, że w porównaniu z wcześniejszym badaniem pracowni - z września ub. r. - wzrósł odsetek osób, które pozytywnie oceniają działalność sądów. Leciutko chociaż zatem powiało optymizmem...

Funkcjonowanie sądów dobrze oceniło 30 proc. respondentów CBOS, co stanowi wzrost o 5 pkt proc. względem wrześniowego badania. Złe zdanie na temat ich działania miało 47 proc. badanych (spadek o 1 pkt proc), zaś odpowiedzi „trudno powiedzieć” udzieliło 24 proc. ankietowanych.

Media i Temida. Sądy rejonowe rzeczników prasowych nie mają...

Jawność i otwartość działań sądów na co dzień mają też okazję testować dziennikarze i wszyscy zainteresowani mediaworkerzy. Łatwiej im pozyskiwać i przekazywać opinii publicznej informacje z sądów okręgowych niż rejonowych, a tymczasem to tych drugich jest więcej i są one bliższe lokalnym społecznościom.

Dlaczego tak jest? Tylko sądy okręgowe mają rzeczników prasowych (czasem także z asystentami). W sądach rejonowych takich stanowisk i etatów nie ma. Zadania rzeczników w całym kraju powierzono w „rejonach” prezesom tychże sądów; ewentualnie wyznaczonym przez nich wiceprezesom.

Co to oznacza w praktyce? To, że po najprostszą informację typu „kiedy wyznaczono rozpoczęcie procesu pana X.” można w przypadku sądu okręgowego zwrócić się telefonicznie lub mailowo do rzecznika i najczęściej szybko ją uzyskać. Ta sama krótka informacja z sądu rejonowego może iść do dziennikarza przez kilka-kilkanaście dni. Bywa, że gdy wreszcie nadejdzie, staje się już nieprzydatna (proces ruszył).

Na przykładzie Torunia i jego regulaminu udostępniania mediom informacji wygląda to tak. Za każdym razem wnioskując o informację dziennikarz pisze maila, załączając skan legitymacji prasowej. Potem czeka na odpowiedź. Jeśli przyjdzie niewyczerpująca, prośbę o doprecyzowanie pisze mailem (załączając znów skan legitymacji). Potem czeka. I tak dalej. Podobnie sytuacja wygląda w wielu innych miejscowościach. A samo wejście na rozprawę? W „okręgu” dziennikarz zazwyczaj nie musi się anonsować. Ochronie pokazuje legitymację i informuje, jaka rozprawa go do sądu przywiodła. Potem na sali sędzia decyduje czy zezwala na rejestracje obrazu, dźwięku etc. A w „rejonie”? Procedury konkretne. „Jeśli dziennikarz chce złożyć wniosek o rejestrację przebiegu rozprawy przed terminem rozprawy, winien go złożyć na piśmie wraz z kopią ważnej legitymacji dziennikarskiej lub zaświadczeniem wystawionym przez redakcję, potwierdzającym, że dana osoba zajmuje się przygotowywaniem materiałów prasowych. Wniosek winien zawierać uzasadnienie. W uzasadnieniu należy umotywować wniosek. Ponadto, należy wskazać sposób rejestracji i przedmiot rejestracji. Wniosek taki winien wpłynąć do sądu najpóźniej z chwilą sprawdzenia obecności, po wywołaniu rozprawy, co wynika z art. 381 kpk. Adresatem wniosku jest sąd w znaczeniu składu orzekającego, który orzeka w danej sprawie. Decyzja sądu w formie postanowienia nie jest zaskarżalna” - głosi regulamin wspominanego już SR Toruń.©℗

OBYWATELSKI MONITORING SĄDÓW

W ciągu kilkunastu lat działania Fundacji Court Watch Polska już kilka tysięcy wolontariuszy wzięło udział w charakterze niezależnej publiczności w ponad 40 000 rozpraw sądowych - w różnych rejonach kraju. Court Watch Polska rekrutuje i szkoli osoby, które chciałyby prowadzić obserwacje rozpraw w sposób systematyczny. Uczestnicy takich programów są wyposażeni w formularze, dzięki którym mogą przekazywać swoje obserwacje do celów analitycznych oraz zgłaszać uwagi dotyczące pracy obserwowanego sądu.
Fundacja udostępnia narzędzia do tego, aby wykonując samemu niewielki odcinek pracy, dokładać swoją cegiełkę do ogólnopolskiego programu badania praktyki sądowej. Dzięki rozwojowi własnego systemu informatycznego zbiera dane od wolontariuszy z całej Polski za pośrednictwem Internetu. Obserwacje są wykorzystywane do przygotowywania sprawozdań i analiz, które są następnie udostępniane sądom oraz opinii publicznej.
(Więcej na: www.courtwach.pl i profilu facebookowym pod nazwą fundacji).

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

W oczekiwaniu na posiedzenie aresztowe - symulacja

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Biuro Obsługi Interesantów przeniesione w czasie do PRL-u

eprasa.pl 3abe94452f

Express Bydgoski
Piątek, 5.06.2026

KOMU BIJE DZWON W RUDZKIM MOŚCIE

Parafia musi zapłacić 30 tys.zł. Za zakłócanie spokoju dźwiękiem dzwonów kościelnych. Wyrok jest nieprawomocny, ale w małej miejscowości pod Tucholą już budzi skrajne emocje

Maciej Czerniak

Osiedle domów jest senne. Ciche podjazdy, pas szeregowców z jednej strony kościoła. Z drugiej większe, nieco willowe budynki, z perfekcyjnie utrzymaną przydomową zielenią. Ogródki osiadłe, okrzepłe, rozwinięte w sposób właściwy osiedlu, które istnieje już kilkanaście lat. Może dłużej. Żadne tam łanowe, półdzikie parcele, rozedrgane odgłosami betoniarek. Tu już „zamieszkanie" wydarzyło się.

Ludzie jeszcze w pracy. W końcu to przedpołudnie w środku tygodnia. W domu, w którym miałem nadzieję zastać mojego rozmówcę, szczeka pies. Podchodzę raz i drugi. W końcu decyduję, że zacznę od księdza. Mieszka niemal po sąsiedzku. Na tyłach kapliczki, poprzedniczki świątyni, która 12 lat temu wyrosła między ulicami Wydmową i Obrońców Polskości.

„Szczęść Boże i dzień dobry". Mówię przez zamknięte drzwi, pytam, czy zastałem ks. proboszcza Wiesława Herolda. Słyszę, że tak, ale pada prośba, by spotkać się później i „wtedy porozmawiamy". Ksiądz musi coś załatwić w mieście.

W Sądzie Rejonowym w Tucholi akta sprawy, jaką wytoczył parafii Opatrzności Bożej w Rudzkim Moście jeden z mieszkańców, zajmują tylko dwa tomy. W końcu sprawa to dość nieskomplikowana, choć obie strony sporu angażuje już od 10 lat. Epilog dzwonnej epopei nastąpił 22 maja. Zapadł wyrok. Sąd nakazał parafii ograniczenie „immisji dźwiękowych" (imisja to rzeczywista ilość zanieczyszczeń (pyłów, gazów, hałasu czy promieniowania), która dociera do określonego miejsca i oddziałuje na ludzi, zwierzęta lub rośliny - przy. red.) poprzez „użytkowanie w związku z wszystkimi uroczystościami religijnymi, w tym mszami, pogrzebami, procesjami, wyłącznie najmniejszego dzwonu, maksymalnie dwa razy dziennie w dni powszednie oraz trzy razy dziennie w niedziele i święta na okres nie dłuższy niż 3 minuty". Mało tego, dzwon i tak nie może rozbrzmieć, choćby nawet w tej sprawie nikt nie wnosił o apelację. Dlaczego? Sąd zdecydował, że najpierw trzeba zainstalować na dzwonnicy „właściwie działający mechanizm", ograniczający czas dzwonienia do 2 minut. Dodatkowo parafia ma zapłacić skarżącemu ją mieszkańcowi Rudzkiego Mostu 30 000 zł zadośćuczynienia.

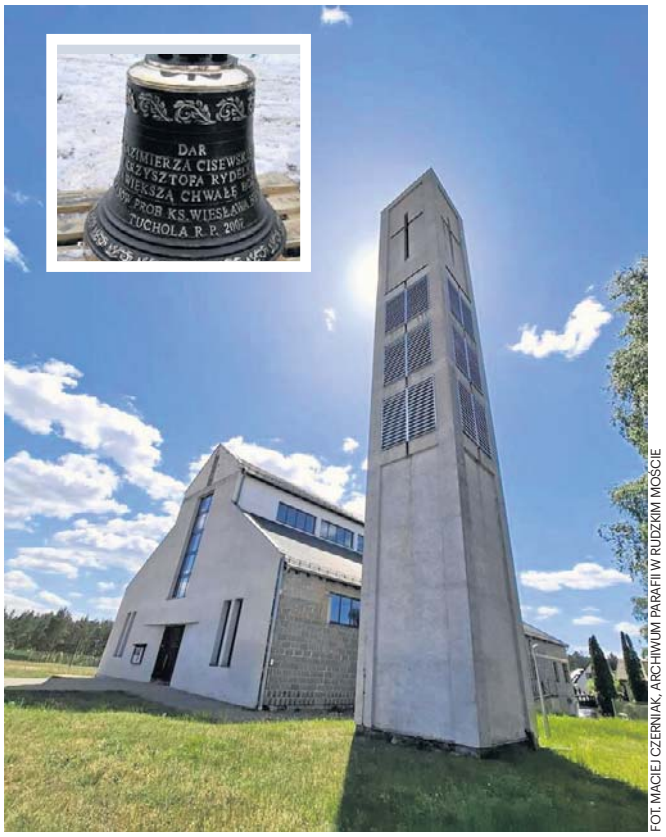

FOT. MACIEJ CZERNIAK, ARCHIWUM PARAFII W RUDZKIM MOŚCIE

Założenie na wieży rolet, za którymi skryły się dzwony, nie załagodziło sporu

Zestaw lux w tonacji Maryjnej

Ta historia zaczyna się w 2010 roku, kiedy parafia kupuje dzwony za pieniądze podarowane 3 lata wcześniej przez dwóch parafian. O sprawie szeroko i wielokrotnie informował „Tygodnik Tucholski". Z informacji wynika, że darczyńcy to „znani mieszkańcy Tucholi". Każdy z nich przekazał na ten cel po 50 000 zł. Jednym z ofiarujących był Kazimierz Cisewski, przewodniczący rady parafialnej, drugim - przedsiębiorca Krzysztof Rydelek.

Dzwony zamówiono w renomowanym zakładzie, w Lud wisarni Felczyńskich-Taciszów, przedsiębiorstwie odlewnictwa i konserwacji działającym od 1808 r. Parafia kupiła tam zestaw lux grający w „tonacji Maryjnej Fis A H". Spiżowe dzwony ważą ponad 800, ponad 500 i ponad 350 kg.

W dokumencie ludwisarni, w specyfikacji dzwonów napisano formułkę: „Żywych zwołuje, zmarłych opłakuje, bohaterów sławi, wszystkim przypomina obowiązek względem Boga". Rozbrzmiały dopiero w 2015 r., kiedy ukończono budowę wieży dzwonnej. Zamiast jednak nieść w świat niebiańską harmonię, podzieliły mieszkańców. Pojawiły się opinie, że dzwonią po prostu za głośno. To, że hałas był zbyt duży, potwierdziło m.in. badanie zlecone przez starostę w Tucholi. Wykonawcą tego zlecenia była firma Akutix z Poz nania, a badanie wykazało przekroczenie dopuszczalnej głośności dzwonów o 17,9 db.

W 2016 r. w sprawę zaangażował się jeden z mieszkańców Rudzkiego Mostu, Waldemar Piotrowski. W czerwcu tego samego roku w Starostwie Powiatowym w Tucholi podpisano porozumienie między Piotrowskim a ks. Heroldem. Postanowienie było kompromisowe - na dzwonnicy miały zostać zainstalowane żaluzje, a potem duży dzwon miał być uruchamiany tylko przy wyjątkowych okazjach, podczas Świąt Wielkanocnych i na Boże Narodzenie. Porozumienie zakładało również, że parafia przeprowadzi na swój koszt pomiar hałasu, dzwony mały i średni będą używane przed każdym nabożeństwem, a średni na Anioł Pański, ale nie dłużej niż na 2 minuty.

Na tym koniec? Bynajmniej. Ostatecznie żaluzje zamontowano, ale bez odbioru budowlanego wieży. Nadzór stwierdził, że kwestie dotyczące poziomu emitowanego dźwięku nie leżą w gestii inspektorów.

- Problem w tym, że kiedy pojawiły się te rolety, to dźwięk zamiast ulec wygłuszeniu, został skierowany ukośnie w dół, prosto na domy, które znajdują się po sąsiedzku, przy kościele - mówi jedna z mieszkanek. Nie chce zdradzać swojego nazwiska. - Tu za blisko jest i zbyt wielu można by się narazić. My tu przecież mieszkamy - przyznaje.

Poza tym dzwony nie biły - jak zakładało porozumienie - tylko przez 2 minuty. Dlaczego? Ks. Wiesław Herold zarzeka się, że próbował tak ustawić mechanizm, by dźwięk rozchodził się tylko w tym, konkretnie określonym czasie. - Kiedy ustawi się dzwony na 2 minuty, to tolerancja wynosi jedną minutę mniej lub więcej - tłumaczy duchowny. - Próbowałem skonfigurować mechanizm, ale nastąpiła awaria. Przepalił się elektromagnes. Naprawa była kosztowna.

- Hałas faktycznie był nie do wytrzymania, głowę rozsadzało - mówi jeden z mieszkańców. - A najśmieszniejsze, że petycję o to, żeby dzwony zostały, podpisywali m.in. ludzie mieszkający z dala. Słyszałem od znajomych, którzy mieszkają 3 kilometry od nas, że im to nie przeszkadza. No jasne, jak się mieszka daleko...

Urzędowa kakofonia

Od porozumienia w 2016 r. zatem niewiele się zmieniło; na dzwonnicy pojawiły się żaluzje, ale hałas nie zniknął. Dopiero w 2023 r. sprawa została skierowana na inne tory. Ponownie, po staraniach Waldemara Piotrowskiego, starosta zlecił badanie głośności dzwonów. Tym razem wybrana została bydgoska firma Ekosonic. Wynik różnił się od pierwszego, ale również wykazano przekroczenie dopuszczalnej normy dźwięku. O 14,6 db. Do starosty wpłynęło pismo, w którym domagano się tego, by urząd wydał decyzję o dopuszczalnym poziomie hałasu dzwonów kościelnych. Starostwo jednak odmówiło wszczęcia postępowania w tej sprawie. Kolejny etap historii to odwołanie skierowane do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, które z kolei uchyliło decyzję starosty i skierowało sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Piotrowski nie składał broni, zwrócił się również do policji i do Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska w Bydgoszczy. Tucholska komenda w maju 2024 r. umorzyła postępowanie. Decyzja „o niewniesieniu" sprawy do sądu zawierała stwierdzenie, że: „czyn nie zawiera znamion wykroczenia z artykułu 5 par. 1 pkt 2" Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia.

Z kolei kontrola przeprowadzona przez bydgoskich inspektorów ochrony środowiska wykazała przekroczenia dopuszczalnego poziomy hałasu. Ostatecznie pozew do sądu złożył sam Piotrowski. Sąd Rejonowy w 2024 r. zdecydował, że konieczne będzie „zabezpieczenie roszczeń" powoda. Do czasu rozstrzygnięcia zakazał używania dzwonów w kościele w Rudzkim Moście.

Z jednej strony Watykan, z drugiej „obóz harcerski"

Proces trwał zatem w ciszy. Na jednej z rozpraw, podczas której sędzia Marcin Dobies odbierał wyjaśnienia od świadków, głos zabrał również ksiądz Herold. „Dzwony nie są hałasem" - zaznaczał, powołując się również na wolności konstytucyjne. „Ja mam nakaz od Kościoła do dzwonienia na pogrzeb według prawa kanonicznego, mnie grozi wyrzucenie z parafii".

Z kolei jedna z mieszkanek zeznająca na sali rozpraw nie gryzła się w język opisując wrażenia estetyczne, jakich doświadczała słuchając dzwonów w parafii Opatrzności Bożej. „Najważniejsze, że te dzwony były bardzo uciążliwe - mówiła świadek. „Ten ich dźwięk jest piskliwy, jak łyżką o garnek na obozie harcerskim. Wszędzie dzwony biją głęboko, a te w Rudzkim Moście biją przeraźliwie" - zaznaczała, wspominając, że dźwięk dzwonów z wieży kapliczki (poprzedniczki obecnego kościoła), był cichszy.

Piotrowski pisał do Diecezji Pelplińskiej, a nawet do Watykanu. Stolica Apostolska jednak uznała, że nie ma podstaw, by zakazać używać dzwonów w kościele pod Tucholą. W dokumentacji procesowej znajduje się takie stwierdzenie powoda, odnoszące się do odpowiedzi z Watykanu: „Otrzymałem informację, że używanie dzwonów kościelnych jest kultem religijnym i nie mają w swojej kompetencji nakazu zaprzestania ich używania".

Krótko po tym, kiedy sąd zakazał uruchamiania dzwonów do czasu rozstrzygnięcia, parafia, jako głos diecezjalny, zajęła stanowisko wydając oświadczenie: „Po zwołaniu nadzwyczajnego spotkania Rady Duszpasterskiej, Rady Ekonomicznej oraz przedstawicieli grup duszpasterskich przy parafii Opatrzności Bożej postanowiłem, jako proboszcz, poprzeć sprzeciw przeciwko powyższej decyzji, która została wydana na podstawie jednej osoby niepraktykującej przy naszej parafii". Pod dokumentem złożyło podpisy ponad 90 parafian.

Ksiądz wrócił na plebanię i zgodnie z zapowiedzią, rozmawiamy w zaciszu biura parafialnego.

Interwencję do Stolicy Apostolskiej ks. Herold określa jako niedorzeczną, ale ostatniego wyroku nie chce komentować. Formalnie szczegółów uzasadnienia sądu nie zna, bo wciąż czeka na pismo w tej sprawie. Kiedy jednak wypłynęła informacja o orzeczeniu, zamówił w „Tygodniku Tucholskim" ogłoszenie, zachęcając wiernych do udziału w manifestacji. W odpowiedzi na pikietę przed Sądem Rejonowym w Tucholi przyszło kilkadziesiąt osób. Były transparenty: „Dzwon to nie hałas, to znak wspólnoty" i „Nie róbcie z kościoła trybu cichego".

- Ja mam płacić? Nie rozumiem tego. Dzwony to nieodłączny element kościoła - mówi ks. Herold. - Naprawdę chciałem dotrzymać warunków porozumienia z 2016 r., ale były problemy techniczne - podkreśla, że ma poczucie niesprawiedliwości.

Waldemar Piotrowski, którego zastaję popołudniem w domu, nie gryzie się w język. Mówi, że całej sprawy by nie było, gdyby proboszcz wykazał wolę współpracy wcześniej. - Nie działałem sam. Za mną byli ludzie, którzy zgłaszali mi uciążliwość dzwonów.

Piotrowski kandydował w 2018 r. w wyborach samorządowych, ubiegał się o mandat radnego, ale ostatecznie nie uzyskał stanowiska. - Prowadziłem wtedy kampanię, spotykałem się z mieszkańcami. Obiecałem im, że sprawę dzwonów doprowadzę do końca, niezależnie od wyniku wyborów.

Jeżeli wyrok się utrzyma, zasądzone na jego rzecz pieniądze chce przekazać organizacji pomagającej dzieciom z wadą słuchu.

©℗

eprasa.pl 3abe94452f

SĘDZIA MOŻE SIĘ POMYLIĆ – JAK KAŻDY CZŁOWIEK...

Może jest w cieniu Szymona Marciniaka, może nie jest tak rozpoznawalny, choć jako adwokat jest postrachem chuliganów i może to nie na nim ciąży największa presja. To jednak on jedzie, jako jedyny z Poznania, na piłkarski mundial. – To nagroda za lata biegania po boiskach niższych klas – mówi Adam Kupsik

Radosław Patroniak

Przystojny, niespełna 40-letni facet przebiera się na boisku Młodzieżowego Ośrodka Sportowego przy ul. Gdańskiej w Poznaniu w strój sędziowski. Robi to szybko, ale z gracją i pewnością siebie, jak przystało na sędziego asystenta, który za kilkanaście dni wybiegnie na boisko podczas najważniejszego turnieju piłkarskiego na świecie, czyli mundialu w USA, Kanadzie i Meksyku. W zespole słynnego Szymona Marciniaka jest od trzech lat jego prawą ręką, tak samo jak drugi asystent Tomasz Listkiewicz i sędzia techniczny Tomasz Kwiatkowski.

Szybko złapaliśmy flow

- Osiem lat temu pojechałem jako sędzia techniczny na mecz Ligi Europy BATE Borysów - Arsenal Londyn. Dwa lata później zadebiutowałem już jako sędzia asystent w Lidze Mistrzów, w zespole Pawła Raczkowskiego, podczas meczu na Anfield Road w Liverpoolu. Z kolei trzy lata temu dołączyłem do ekipy Szymona Marciniaka. Najpierw były mecze ligowe, a później przyszły największe spotkania na świecie. Bardzo szybko stworzyliśmy zgrany zespół. To ważne, bo czasami spędzamy ze sobą nawet dwa miesiące, praktycznie 24 godziny na dobę. Trudno byłoby dobrze funkcjonować w takim zespole, gdybyśmy nie nadawali na tych samych falach. Dzisiaj często rozumiemy się już bez słów. Pod tym względem u nas obowiązują bardzo podobne zasady jak w drużynie piłkarskiej - tłumaczy Adam Kupsik, rodowity poznaniak i szef kancelarii adwokackiej w rodzinnym mieście.

Wszystko zaczęło się w Poznaniaku... i Wielkopolskim ZPN

Jak wielu młodych chłopaków marzył o wielkiej karierze piłkarskiej. Całą młodość i początek dorosłego życia spędził w drużynie Poznaniaka.

- Po maturze zacząłem studiować prawo i zobaczyłem ogłoszenie, że Wydział Dyscypliny Wielkopolskiego ZPN szuka stażystów. Ostatecznie jednak tam nie trafiłem, bo już po pierwszej wizycie w siedzibie związku stwierdziłem, że zapiszę się na kurs sędziowski. Chciałem po prostu spróbować czegoś nowego. Krok po kroku awansowałem do wyższych lig - najpierw jako arbiter główny do IV ligi, a później jako sędzia asystent do II ligi. Potem dostałem powołanie od PZPN na kurs CORE. Zbierałem dobre recenzje jako asystent i wtedy uznałem, że właśnie w tym kierunku chcę się rozwijać. W 2014 roku zadebiutowałem w ekstraklasie podczas meczu Zawisza Bydgoszcz - Górnik Zabrze. Czego ja się wtedy nasłuchałem od ówczesnego właściciela Zawiszy Radosława Osucha... Do dziś to pamiętam, ale może dobrze się stało, bo takie sytuacje hartują charakter - wspomina Adam Kupsik.Teraz również zawodowo spotyka się z podobnymi sprawami - reprezentując sędziów i działaczy sportowych w postępowaniach dotyczących znieważenia czy naruszenia nietykalności cielesnej.

- Niech pan napisze, że ten mój wyjazd na mundial to taka nagroda za te wszystkie lata wyjazdów na boiska niższych klas: do Niepruszewa, Czerniejewa, Borui Kościelnej i wielu innych miejsc. Dziś wspominam to z dużym sentymentem, choć nie zawsze były to łatwe momenty. Mundial za oceanem będzie dla mnie pewnym podsumowaniem tej drogi. Piłka nożna to moja wielka pasja z dozą adrenaliny – mówi 39-latek.

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Adam Kupsik mocno trzyma chorągiewkę asystenta, tak jak przystało na sędziego, który nigdy nie traci pewności siebie

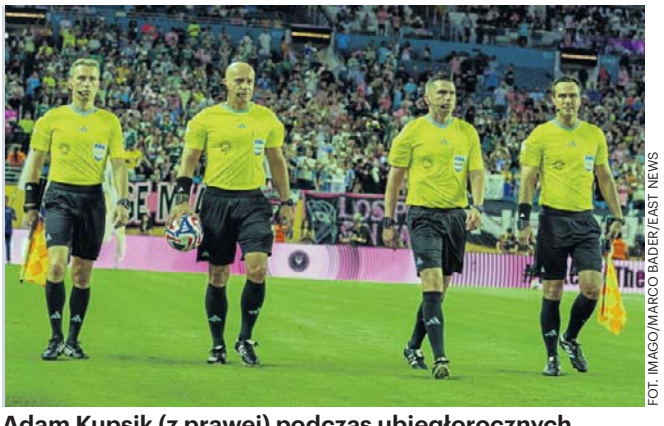

FOT. IMAGO/MARCO BADER/EAST NEWS

Adam Kupsik (z prawej) podczas ubiegłorocznych Klubowych MŚ przed meczem Inter Miami – Palmeiras

Symulacja prawdziwych meczów pod okiem Pierluigiego Colliny

Na piłkarskie mistrzostwa świata polski zespół sędziowski nie jedzie w nieznane. Rok temu, w tym samym składzie, arbitrzy prowadzili już mecze podczas Klubowych Mistrzostw Świata.

- Lecimy dwa tygodnie przed rozpoczęciem turnieju do hotelu w Miami, gdzie również przed rokiem mieściła się baza sędziowska. Przed południem odbywają się szkolenia prowadzone przez szefa sędziów FIFA Pierluigiego Collinę. Ich celem jest ujednolicenie interpretacji przepisów przez arbitrów z różnych kontynentów.

Po południu przychodzi czas na zajęcia praktyczne z udziałem specjalnie wyselekcjonowanych drużyn. W ciągu kilkunastu minut potrafią oni stworzyć tyle trudnych i nieoczywistych sytuacji boiskowych, że później podczas normalnego meczu człowiek ma wrażenie, że wszystko dzieje się wolniej. Faulują, prowokują, przepychają i robią najmniej oczekiwane rzeczy - opowiada Adam Kupsik.

VAR, testy i ciągłe bycie w rozjazdach

W obecnych czasach decyzje sędziów piłkarskich są nierozerwalnie związane z technologią VAR. Nic dziwnego, że lider zespołu Adama Kupsika, czyli Szymon Marciniak, powiedział kiedyś, że sędzia jest trochę jak saper, bo praktycznie nie ma miejsca na pomyłkę.

- VAR musi być przede wszystkim wykorzystywany właściwie i rozsądnie. FIFA oraz IFAB cały czas rozwijają ten system. Podczas mundialu VAR będzie mógł interweniować również w sytuacjach ewidentnie błędnie pokazanej drugiej żółtej kartki, która w konsekwencji prowadzi do czerwonej kartki - podkreśla Adam Kupsik.

Zapytaliśmy go również o to, czy współcześni arbitrzy nie funkcjonują pod dodatkową presją związaną z nieustanną oceną w mediach i internecie.

- Na boisku pracują trzy pary oczu, a każdy mecz ekstraklasy transmitowany jest z wykorzystaniem około 25 kamer. Podczas mistrzostw świata będzie ich aż 64, trudno więc dziwić się, że decyzje sędziowskie są później szeroko komentowane. Kibice lubią kontrowersje i dyskusje wokół nich - to część piłki nożnej. Dla nas najważniejsza pozostaje jednak ocena obserwatora i analiza konkretnych sytuacji meczowych. Nikt z nas nie jest nieomylny. Istotne jest to, aby ewentualne błędy przeanalizować i wyciągać z nich wnioski na przyszłość. Szymon Marciniak wielokrotnie powtarzał młodszym sędziom, żeby nie bali się korzystać z monitora VAR, jeśli sytuacja tego wymaga - mówi poznański arbiter.

Rozmawialiśmy z nim również o sędziowskich testach kondycyjnych, nawiązując do opinii Jarosława Przybyła, który stwierdził, że arbitrzy momentami muszą być lepiej przygotowani fizycznie niż niektórzy piłkarze.

- Coś w tym jest, ale osobiście nie uważam, żeby te wymagania były przesadzone. W PZPN mamy trenera przygotowania fizycznego i jeśli ktoś sumiennie realizuje plan treningowy, to zdanie czterech testów w ciągu roku nie stanowi większego problemu. Oczywiście patrzę na to z perspektywy niespełna 40-latka. Pewnie za kilka lat spojrzę na to trochę inaczej, ale z wiekiem trzeba też umieć zaakceptować, że przychodzi moment oddania miejsca młodszym - przyznaje nasz eksportowy sędzia.

Na koniec zapytaliśmy go też o to, dlaczego Wielkopolska wciąż ma tak niewielu arbitrów na najwyższym poziomie.

- Nie ma jednej prostej odpowiedzi. Na pewno mamy utalentowanych sędziów, choć być może czasami problemem jest selekcja. Trzeba też pamiętać, że ten zawód wiąże się z ogromnymi wyrzeczeniami i ciągłą obecnością poza domem. Bez wyrozumiałej żony i wsparcia najbliższych trudno w ogóle marzyć o wyjściu na murawę największych stadionów i prowadzeniu meczów oglądanych przez miliony kibiców - kończy z uśmiechem Adam Kupsik.

eprasa.pl 3abe94452f

Express Bydgoski
Piątek, 5.06.2026

PROF. RYSZARD TADEUSIEWICZ: NIE BOJĘ SIĘ BUNTU MASZYN

– Boję się ludzi, którzy użyją sztucznej inteligencji do tego, żeby sterować innymi ludźmi. Pytając o cokolwiek sztuczną inteligencję, odsłaniamy własne lęki, potrzeby, zainteresowania i sposób myślenia. To jest intelektualne obnażanie się – mówi prof. Ryszard Tadeusiewicz i ostrzega, że z takich danych można zbudować bardzo dokładny portret człowieka

Anita Czupryn

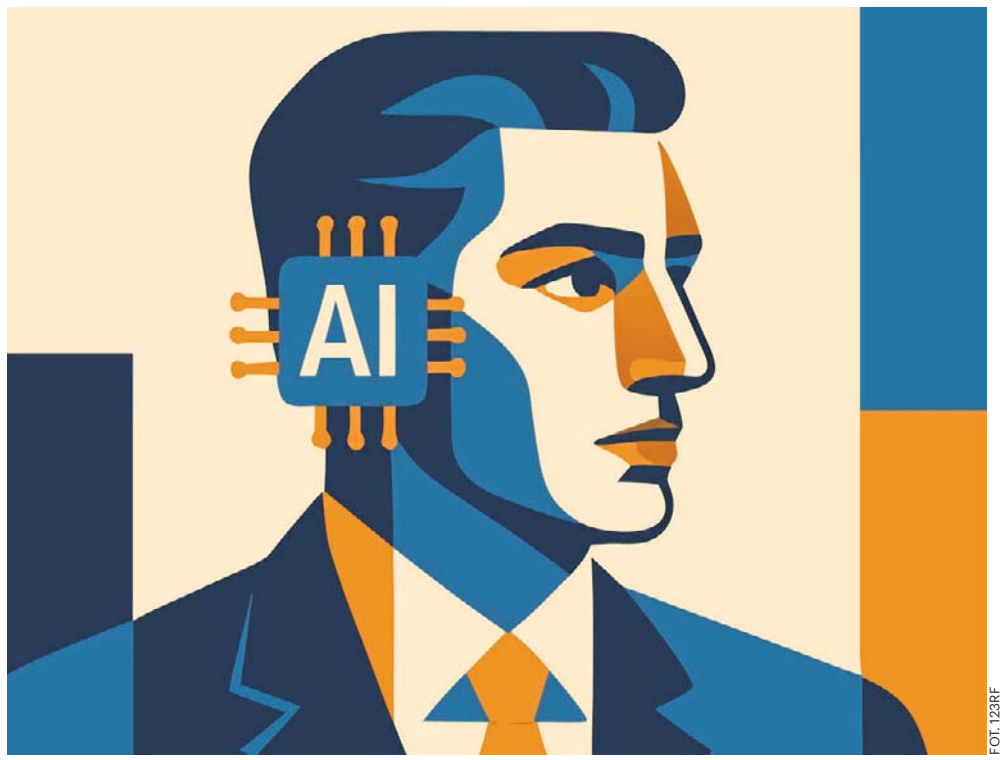

FOT. 123RF

Prof. Tadeusiewicz: Sztuczna inteligencja potrafi sprawiać pozory inteligencji tak skutecznie, że człowiek zaczyna jej wierzyć bardziej niż powinien

AI naprawdę jest inteligentna?
Tak naprawdę to nie. Rzeczywiście jest to narzędzie, które całym swoim działaniem i zachowaniem wykazuje pozory czy też przejawy działania inteligentnego. Ale faktycznie są to jednak algorytmy. I nawet jeżeli mamy do czynienia z dużym modelem językowym, takim jak ChatGPT, to nie jest mądrość. To jest umiejętność żonglowania fragmentami wiedzy. Najpierw były to same słowa albo fragmenty zdań. W tej chwili w podobny sposób montuje się także obrazy czy inne formy przekazu. Ale to nadal jest pewnego rodzaju mechanizm, automat losujący oparty na maszynowo ustalanych prawdopodobieństwach.

W swojej książce „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT" pisze Pan, że człowiek od starożytności człowiek marzył o maszynie, która by za niego myślała. Dlaczego?
Myślę, że to jest naturalne. Rozwój cywilizacji przebiegał przecież w taki sposób, że rozmaite rzeczy, które wcześniej musieliśmy robić sami, staraliśmy się przekazywać urządzeniom. Zamiast rzucać włócznią, zbudowano katapultę. Zamiast wykonywać jakąś czynność własnymi rękami, człowiek próbował wymyślić narzędzie, które zrobi to za niego. To naturalna kolej rzeczy. Skoro więc wiele czynności, które wykonujemy, próbowaliśmy przekazać maszynom, to także czynność myślenia prowokowała do tego, byśmy spróbowali oddać ją w czyjeś ręce – jeśli oczywiście można mówić o rękach w przypadku sztucznej inteligencji. Chodziło o to, by część wysiłku zdjąć z siebie i przekazać czemuś innemu – komputerowi.

Czego w takim razie uczy nas historia Szachowego Turka, którą przytacza Pan w swojej książce? Dlaczego tak łatwo dajemy oczarować się iluzji?
Jest cały szereg informacji na temat tego oszustwa, które polegało na sprawieniu wrażenia, że maszyna jest w stanie rywalizować z człowiekiem w szachy, czyli w czymś, co niewątpliwie wymaga intelektu. To był numer popisowy Wolfganga von Kempelena, który chciał się przypodobać na dworze cesarskim. Nie chodziło wyłącznie o abstrakcyjne zainteresowanie techniką czy myśleniem maszynowym. Chodziło o to, by wzmocnić jego pozycję jako konstruktora, jako twórcy. On zresztą konstruował również inne, i to bardzo pożyteczne rzeczy. Szachowy Turek był taką pokazówką: „Proszę, zobaczcie, jaką niezwykłą rzecz wymyśliłem, a teraz martwcie się, jak zrozumieć, co ta maszyna robi". Oczywiście, jak wiemy, w środku był ukryty szachista, który rozgrywał partię.

Czy z Chatem GPT nie jest trochę tak jak z Szachowym Turkiem? Widzimy efekt: maszyna z nami rozmawia, coś dla nas robi, ale tak naprawdę nie rozumiemy, co tam w środku się dzieje.
Tak, rzeczywiście duży model językowy, na którym oparty jest ChatGPT i inne metody generatywne, to element bardzo pogłębionej, przez głębokie uczenie, zabawy z prawdopodobieństwem. De facto na podstawie bardzo dużego zbioru danych tworzy się rozkłady prawdopodobieństwa. Robią to sieci neuronowe, a potem na podstawie tych prawdopodobieństw żongluje się gotowymi elementami. To są przecież wszystko zapożyczenia z danych, które były podstawą procesu uczenia. Żadnych własnych „przemyśleń" komputera. Nie ma semantyki, jest probabilistyka. Ale na tej podstawie tworzy się coś, co ma pozory inteligentnej odpowiedzi. Ale ci, którzy korzystali z takich narzędzi, wiedzą, jak łatwo tę wypowiedź przekształcić przez zadanie innego pytania. W związku z tym ChatGPT to nie jest wyrocznia delficka, której zadawano pytanie i otrzymywano jedną odpowiedź. Tutaj można zadać to samo pytanie wielokrotnie i dostać wiele różnych odpowiedzi. A to w procesie podejmowania decyzji niekoniecznie musi pomagać.

Co więc musi się wydarzyć, żebyśmy uznali maszynę za inteligentną? Kiedyś myślano, że wystarczy rozmowa. Rozwiązanie zadania matematycznego? Wciąż wraca też pytanie, czy sztuczna inteligencja zdałaby test Turinga, ale też czy ten test naprawdę coś rozstrzyga?
Debata o tym, czy test Turinga coś rozstrzyga, trwa od ponad pół wieku. Alan Turing zaproponował pewien sposób sprawdzenia, przez naśladownictwo myślącego człowieka, czy maszyna rzeczywiście myśli. Zaproponował coś, co istotnie można przeprowadzić. Przypomnijmy: arbiter prowadzi dialog na dowolny temat z nieznanym rozmówcą. Jeśli po krótkiej rozmowie (około kwadransa) arbiter stwierdzi, że rozmawiał z myślącym człowiekiem, a w istocie odpowiedzi udzielał komputer, to trzeba przyznać, że maszyna wygrała test. I rzeczywiście, były systemy, które mniej więcej pół wieku po sformułowaniu tej koncepcji wygrały test Turinga. To znaczy zdołały tak skutecznie oszukać jurorów, że byli oni przekonani, iż rozmawiają z mądrym, inteligentnym, bystrym człowiekiem. A to był komputer. W tym sensie element rozstrzygnięcia przez mądrą rozmowę został spełniony. Obecnie także ChatGPT w pewnym sensie zdaje test Turinga, bo każdy, kto się do tego narzędzia odwołuje, sądzi, że gdzieś w komputerze, w czeluściach internetu, znalazło ono dla niego odpowiedź, rozwiązanie problemu, radę czy sugestię. To są jednak rzeczy bardziej fideistyczne. Ludzie bardziej wierzą niż wiedzą. Trzeba powiedzieć jedno: wszystkie te rozwiązania mają w sobie coś z Turka von Kempelena. Bazują na tym, że my chętnie godzimy się przyjąć iluzję, która czasem z rzeczywistością niewiele ma wspólnego.

A dlaczego tak chętnie przystajemy na tę iluzję?
Dlatego że, niestety, jedną z cech człowieka jest wygodnictwo. Podejrzewam, że większość osób, z którymi mam na co dzień kontakt, miałaby dziś trudności z wykonaniem prostych działań arytmetycznych z pamięci. Od tego jest przecież kalkulator. Kilka kliknięć i mamy wynik. Przypominam sobie, że kiedy byłem uczniem szkoły średniej i chodziłem do sklepu, co należało do moich obowiązków, bo matka chorowała, to wkładałem do koszyka różne produkty, odczytywałem ceny i w momencie gdy podchodziłem do kasy, miałem już w pamięci informację, ile zapłacę. Dokładnie to wiedziałem.

Potrafił Pan to obliczyć w pamięci?
Tak. Natomiast dzisiaj już tego nie robimy. Nawet jeżeli mamy do wykonania proste działanie, każdy sięgnie po kalkulatorek albo telefon: puk, puk, puk – i ma wynik. To jest jeden z bardzo wielu przykładów tego, jak się uzależniamy. Weźmy inną rzecz. Kiedyś, kiedy potrzebowałem jakiejś szczegółowej informacji, to najpierw się zastanawiałem, czy ja to pamiętam, czy ja to wiem. Jeśli nie wiedziałem, szedłem do półki z książkami, wyjmowałem właściwą książkę, odnajdywałem odpowiednią stronę, czytałem i się dowiadywałem. A dzisiaj co się robi? Wystukuje się hasło w wyszukiwarce internetowej, czy to Google czy inne narzędzie wyszukiwania, i dostaje się odpowiedź. Wygodnictwo, kolejne wygodnictwo. Wobec tego te dziwne elementy sztucznej inteligencji niestety wyzwalają w nas uzależnienie wynikające z naszego lenistwa.

Tylko pytanie, czy sztuczna inteligencja rozumie to, co mówi...
Nie, nie rozumie. Rozumienie oznaczałoby pewną tożsamość, osobowość czy też jestestwo. Natomiast sztuczna inteligencja może jakimiś matematycznymi sposobami zmierzyć stopień trafności odpowiedzi, którą wygenerowała, i wysłała do użytkownika. To oczywiście jest ważne i przydatne. Ale elementu, który potocznie rozumiemy jako rozumienie, tam w ogóle nie ma. Rozumienie zakłada, że istnieje podmiot. A sztuczna inteligencja, we wszystkich swoich przejawach, we wszystkich programach, które istnieją i zapewne będą istniały, nie ma tej osobowości, tej tożsamości, tego poczucia, że jest ona – i cała reszta świata. Ona tego nie postrzega i nie potrzebuje. Ona ma być sprawna, a nie na przykład zachwycać się swoimi osiągnięciami. Komputer może wygrać w różne gry. Najpierw były szachy, wiadomo: Deep Blue pokonał Garry'ego Kasparowa i zapanował wielki entuzjazm, bo komputer pokonał mistrza świata. Potem była gra w go, bardziej zaawansowana, w której jednak mistrz świata, Lee Sedol, został pokonany przez program Deep Mind. I można by tak dalej wyliczać. Okazuje się

eprasa.pl 3abe94452f

nawet, że komputery wyposażone w sztuczną inteligencję potrafią grać w grę oszustwa, czyli w pokera, i potrafią blefować. Oszukiwać też umieją lepiej niż ludzie! Ale do czego zmierzam? Otóż do tego, że te programy, te narzędzia sztucznej inteligencji coś osiągają, nawet pokonują człowieka – ale się nie cieszą. Nie ma w nich entuzjazmu. One po prostu przechodzą w stan spoczynku, zrobiwszy swoje. A „swoje" oznacza w tym przypadku wygranie, pokonanie mistrza świata w takiej czy innej grze.

I co dalej?
Człowiek, gdyby osiągnął coś takiego, odczuwałby szczęście. A sztuczna inteligencja, kiedy coś takiego osiąga, po prostu się wyłącza. Bo swoje zrobiła. Więc co miałaby robić dalej? Nie ma tam elementu emocji, osobowości, dumy, zadowolenia czy smutku. To wszystko jest w tym kontekście całkowicie abstrakcyjne. To są mechanizmy działające skutecznie, ale niekoniecznie podobnie do ludzi.

Chociaż mówi się, że AI bywa bardzo empatyczna.
Tak, ale ona po prostu została tak zaprogramowana. Ona tę empatię udaje. Równie dobrze można by zbudować agresywnego wroga w postaci sztucznej inteligencji, który obrzucałby rozmówcę inwektywami i robiłby to bardzo trafnie.

Tak już się przecież wydarzyło na platformie X, kiedy Chatbot Grok zaczął obrażać użytkowników. Ale chciałam zapytać o coś innego. AI nie rozumie, co mówi, ale też zmyśla, konfabuluje, czy też halucynuje. Na dodatek robi to bardzo przekonująco. Dlaczego?
Dlatego że, mówiąc najkrócej, tak została zbudowana. Rzecz polega na tym, że urządzenia typu ChatGPT i podobne mają ogromny zasób informacji, które pochodzą od ludzi. To przecież z analizy ogromnych zbiorów tekstów, ogromnych zasobów informacyjnych zbudowany jest pewien układ klocków, z takich kawałeczków. Potem działają reguły, same w sobie dość proste, które pozwalają tak poukładać te klocki, żeby wyjść naprzeciw prawdopodobnemu, przewidywanemu, antycypowanemu oczekiwaniu użytkownika, który zwrócił się do sztucznej inteligencji o jakąś odpowiedź, opinię, radę czy sugestię. To wszystko dzieje się według określonych zasad. To działa trochę tak jak prawo grawitacji: jeśli coś upuścimy, poleci w dół. Jeśli wrzucimy temat do systemu sztucznej inteligencji, przejdzie on przez poszczególne etapy: przejrzy zasoby wiedzy, zastosuje reguły zestawiania tych klocków wiedzy i uzyska wynik końcowy. Natomiast charakterystyczne jest to, że zadając to samo pytanie dwa razy, może z jakąś drobną korektą, ale nadal pytanie na ten sam temat i prowadzące do tej samej konkluzji, można dostać zupełnie różne odpowiedzi.

To kiedy możemy sztucznej inteligencji ufać, a kiedy powinniśmy natychmiast sprawdzać jej odpowiedzi?
Odpowiedź jest taka, że sprawdzać powinniśmy zawsze. Bardzo wygodne jest to, że mamy takiego komputerowego, informatycznego partnera. Bardzo wygodnie jest zapytać. Natomiast to nie zwalnia nas z myślenia. Jeżeli ktoś bezkrytycznie opiera się na tym, co wyświetliła mu taka czy inna aplikacja sztucznej inteligencji, popełnia poważny błąd. Trzeba oczywiście korzystać z tej możliwości, trzeba ją ewentualnie rozważyć, ale nie wolno czuć się zwolnionym z myślenia. To szczególnie dotyczy sytuacji, w których odpowiedź przekłada się na działania praktyczne. Zajmuję się inżynierią biomedyczną i podczas spotkań z lekarzami zawsze podkreślam, że oczywiście istnieją różne systemy doradcze, różne systemy informacyjne, także te oparte na sztucznej inteligencji, i należy z nich korzystać. Natomiast kiedy już dostanie się wynik, nie trzeba go natychmiast używać. Trzeba się nad nim naprawdę bardzo dokładnie zastanowić.

To, Panie profesorze, czego Pan nigdy nie wpisuje do narzędzi AI?
Mówiąc szczerze, bardzo rzadko z nich korzystam. Jeśli już, to raczej z ciekawości, badawczej ciekawości. Natomiast jeżeli nęka mnie jakiś problem, naukowy albo nawet prywatny, osobisty, to nie sięgam po sztuczną inteligencję. Mając świadomość ograniczeń mojej własnej inteligencji, wolę jednak posłużyć się tym, co sam wymyślę, nawet jeżeli popełnię błąd, niż zdawać się na maszynę, która całkowicie beznamiętnie może mnie wepchnąć w poważne kłopoty.

Moje pytanie dotyczyło też tego, czego nie powinniśmy wpisywać, kiedy oczekujemy pomocy od narzędzi AI. Mówi się na przykład o danych wrażliwych. Jakie jest Pana stanowisko?
Oj tak, kwestia danych wrażliwych jest tutaj bardzo ważna. I w ogóle kwestia tego, co się wpisuje. Problem polega na tym, że w internecie nic nie ginie. Człowiek, który wielokrotnie odwołuje się do sztucznej inteligencji i zadaje jej pytania, bardzo się przez te pytania obnaża. Wiedząc, o co pyta, czego się dopomina, do czego dąży, można stworzyć jego bardzo dokładny obraz. I mogą się znaleźć ludzie, a także instytucje, które z tego skorzystają. Zresztą już korzystają. Informacje na temat różnego rodzaju preferencji, poczynając od handlowych, a kończąc na politycznych, buduje się między innymi na podstawie tego, o co dany człowiek pytał. Nie trzeba nawet sięgać do sztucznej inteligencji. Wystarczy mieć odpowiednią statystykę tego, czego ktoś szuka w Google. I już powstaje pewnego rodzaju fotografia osobowości. A taka fotografia może posłużyć do osiągania różnych celów, choćby związanych z polityką, wyborami, różnymi rozstrzygnięciami społecznymi. Każdemu można wtedy podsunąć takie argumenty, które do niego przemówią najbardziej. A o tym, które argumenty będą przemawiające, dowiedzą się algorytmy, jeśli wystarczająco dokładnie opracują analitycznie i statystycznie to, o co człowiek pytał, czego szukał, na czym się zatrzymywał, jakie strony go interesowały. To jest takie intelektualne obnażanie się, które w tej chwili ma już charakter powszechny.

Jakie mogą być negatywne skutki tego obnażania się?
Obawiam się, że one już są. Podczas różnego rodzaju wyborów, nawet wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, można wykorzystywać informacje zgromadzone w szeroko rozumianych systemach internetowych, zaczynając od Google, przez TikToka i inne tego typu narzędzia. Można to zgromadzić w całkiem zgrabny pakiet, a metody automatycznej klasyfikacji i kategoryzacji pozwalają przypisać ludziom określone identyfikatory. Ten jest konserwatywny, tamten ofensywny, a ten z kolei zachowawczy. To jest oddawanie swojej osobowości pod młyn urządzeń, które co prawda nam służą, ale nie za darmo. Jest takie znane powiedzenie: jeśli korzystasz z Google i czegoś tam szukasz, to nie sądź, że jesteś rybą. Jesteś przynętą. Owszem, dostaniesz wartościowe odpowiedzi, ale przy okazji wyspowiadałeś się z tego, kim jesteś.

W szkole powinno się walczyć z ChatGPT czy uczyć uczniów, jak mądrze z niego korzystać? A jeśli mądrze, to jak?
Zdecydowanie ta druga możliwość jest właściwa. Zakazany owoc będzie jeszcze bardziej kusił, więc metodą zakazów i nakazów niczego się nie wskóra. Stworzy się tylko swego rodzaju podziemie intelektualne, pewien obszar, nad którym nie będziemy panować i którego nie będziemy kontrolować. Natomiast ja moich studentów, a także moje wnuczki, które są w szkole podstawowej, staram się nauczyć jednego: owszem, korzystaj, ale myśl. To, co wyjdzie ci na ekraniku, najczęściej w telefonie, jest czymś, co warto wziąć pod uwagę. Ale tylko wziąć pod uwagę. Kiedy chodzimy, też mamy szeroko otwarte oczy, chociaż czasem ulegamy złudzeniom optycznym albo widzimy coś nie tak, jak to wygląda naprawdę. Wystarczy, że jadąc samochodem, mam światło z przeciwka i mogę czegoś nie zauważyć. Ale to nie znaczy, że trzeba zamknąć oczy. Nawet wiedząc, że te oczy mogą kłamać. To znaczy, że trzeba być krytycznym wobec tego, co dostarczają nam nasze zmysły – ale z nich intensywnie korzystać. Tak samo trzeba być krytycznym wobec tego, co serwuje nam sztuczna inteligencja, a także różne serwisy społecznościowe i narzędzia informatyczne. To jest pewien system. Tylko cała rzecz polega na tym, żeby te narzędzia były w naszych rękach, a nie my w ich rękach. To jest kwestia tego, kto tu naprawdę jest początkiem, końcem i elementem decydującym. Zasięgnąć informacji warto. Natomiast sposób jej wykorzystania zależy już od naszej decyzji, naszej mądrości i krytycznego podejścia. Najgorsze jest to, że wszystkie te systemy są bardzo podatne na różnego rodzaju manipulacje. W związku z tym istnieje obawa, że opierając się na tym, co, w cudzysłowie, „powiedział mi komputer" albo „doradził mi komputer", tak naprawdę mamy do czynienia z tubą, która przenosi czyjeś informacje, czyjeś preferencje, czyjeś wybory. Nie obawiam się więc samej sztucznej inteligencji. Obawiam się ludzi, którzy wykorzystują ją do tego, żeby sterować innymi ludźmi.

Istnieje pogląd, że sztuczna inteligencja cały czas się uczy i dzięki temu, że dostaje mnóstwo nowych informacji, jest coraz lepsza. Dokąd nas to zaprowadzi?
Wie pani, doskonalenie się zawsze jest czymś dobrym. Najbardziej krytyczny moment pojawia się wtedy, kiedy już powstaje nowa jakość, a my jeszcze nie nauczyliśmy się mądrze z niej korzystać. Kiedy powstawały pierwsze samochody, było bardzo dużo wypadków. Głównie dlatego, że mieliśmy już możliwość szybkiego i sprawnego przemieszczania się, ale jeszcze nie mieliśmy wyrobionych nawyków, które gwarantowałyby, że możemy to robić bezpiecznie. Z AI jest podobnie. Już mamy coś nowego, ale jeszcze nie do końca wiemy, jak tego używać, czego się wystrzegać i czemu przeciwdziałać. Jestem jednak generalnie zdania, że to zmierza ku dobremu. Tylko to dobro nie polega wyłącznie na tym, żeby algorytmy były coraz lepsze. Chodzi także o to, żeby ludzie mieli coraz bardziej racjonalny i niebezkrytyczny stosunek do tego, co wyskakuje im z różnych aplikacji GPT, GPS czy jakichkolwiek innych.

Co Pan myśli o polskiej sztucznej inteligencji, czyli o Bieliku?
Oczywiście zapoznałem się z tym rozwiązaniem. Wydaje się, że jest profesjonalne i dobre. Zrobili je ludzie, którzy znają się na rzeczy, i jestem pełen uznania oraz szacunku dla tych, którzy za nim stoją. To są naprawdę mądrzy i dobrzy profesjonaliści. Natomiast wiedza i mądrość nie mają narodowości. Trzeba korzystać z tego, co nasze własne uwarunkowania gospodarcze, polityczne czy nawet psychologiczne determinują, ale nie można się w tym zamykać. Świat jest dzisiaj otwarty. W każdej chwili mogę nawiązać kontakt z moimi uczniami, którzy pracują akurat w Australii i tam robią kariery. Świat jest mały. Przynajmniej w sensie intelektualnym przemierzanie go jest dziś bardzo łatwe. To, że coś powstaje w Polsce i jest robione pod kątem potrzeb oraz uwarunkowań polskich użytkowników, również emocjonalnych, jest bardzo pozytywne. Szkoda byłoby, gdyby wszystko dyktowali nam Amerykanie albo ktokolwiek inny. Ale z drugiej strony nie przeceniałbym tego. Mądrość jest jedna. Nie ma narodowości, ma tylko legitymację inteligencji.

Na koniec zapytam o największe zagrożenie związane z AI. Boimy się buntu maszyn. A co, Pana zdaniem, jest największym zagrożeniem sztucznej inteligencji?
To, że dostanie się w ręce ludzi, którzy wykorzystają ją przeciwko innym ludziom. Absolutnie nie wierzę w żadne bunty maszyn ani w zagrożenie polegające na tym, że sztuczna inteligencja wreszcie dojdzie do wniosku, że te biologiczne twory, które wędrują po świecie, są jej tak naprawdę niepotrzebne, bo ona jest mądrzejsza. Że te prototypy czy wzorce białkowe można by w ogóle zniszczyć. Bo po co człowiek, skoro tak wspaniała jest sztuczna inteligencja? Tego się nie boję. To jest wizja, którą na swój użytek mogą budować twórcy science fiction i filmów grozy. Można się bać dinozaurów, jak w „Jurassic Park". Można się bać rekina. Można się bać sztucznej inteligencji. Ale to są rzeczy wydumane, wymyślone. Natomiast uważam, że niebezpieczne jest coś innego: tego narzędzia można użyć zarówno dla dobra ludzi, społeczności czy jakiejś dziedziny, jak i przeciwko nim. Jak mówiłem, zajmuję się inżynierią biomedyczną, więc próbuję zaprzęgać sztuczną inteligencję do procesów związanych z tym, żeby skuteczniej chronić zdrowie ludzi i skuteczniej usuwać skutki różnych chorób. To jest cel pozytywny. Ale niestety faktem, a nie przypuszczeniem jest to, że są ludzie, którzy będą chcieli wykorzystać AI do celów niekoniecznie pozytywnych, a nawet bardzo złych. Daleko nie trzeba szukać. Weźmy wojnę. Na wojnie sztuczna inteligencja może zwiększyć skuteczność działania. Ale zwiększenie skuteczności oznacza wymordowanie większej liczby przeciwników. Tego właśnie się boję: sztucznej inteligencji bardzo profesjonalnie i skutecznie stosowanej przez ludzi, którzy wobec innych ludzi mają złe, a nawet zbrodnicze zamiary. To nie jest abstrakcja. Może być tak, że ci, którzy dążą do różnego rodzaju siłowych rozwiązań, dzięki sztucznej inteligencji albo posługując się sztuczną inteligencją, będą osiągać swoje cele skuteczniej. A ta większa skuteczność oznacza tylko jedno: przeciwników pokonanych przy użyciu sztucznej inteligencji jak topora będzie po prostu więcej. Źli ludzie, kierując się złymi intencjami, mogą dobrą sztuczną inteligencję uczynić zbrodniczą. I oby do tego nie doszło!©℗

KSIĄŻKA

Ryszard Tadeusiewicz, „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT", wydawnictwo RM

eprasa.pl 3abe94452f

Express Bydgoski
Piątek, 5.06.2026

ALEKSANDRA HARASIUK: NIECH BURSZTYN ZOSTANIE ZACZAROWANY

– Niech bursztyn ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata – mówi Aleksandra Harasiuk

Anita Czupryn

Mam takie małe marzenie i myślę, że nie tylko ja: pojechać na urlop nad Bałtyk i znaleźć piękny, wielki bursztyn. Jakie są na to szanse latem?
Jako że z bursztynem wiąże się nauka i wiedza, to trzeba wiedzieć, jakie warunki sprzyjają temu, by znaleźć bursztyn na bałtyckim wybrzeżu, nie tylko w Polsce, ale też na Litwie, Łotwie, w Rosji czy w Skandynawii. Najlepsza jest pogoda sztormowa. Najczęściej to, co znajduje się w morzu w postaci żywicy, czyli bursztynu, wyrzucane jest na brzeg w okresie luty-marzec albo październik-listopad. Wtedy mamy największe zmiany prądów w Bałtyku. Podczas sztormów natura porusza tym, co zalega jeszcze na dnie morza. Latem oczywiście też można bursztyn znaleźć, ale trzeba wiedzieć, gdzie i jak go szukać. Można też skorzystać z pomocy tak zwanych poławiaczy bursztynu i wędrować ich śladem. Dzisiaj najbardziej znanym miejscem jest Mierzeja Wiślana. Są tam trzy miejscowości uznawane za centrum połowów bursztynu. Ale żeby znaleźć naprawdę dużą bryłę, to oprócz posiadania wiedzy trzeba się jeszcze urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

Czy bursztyn jest surowcem niewyczerpywalnym? Ile go właściwie jest? Znajduje się tylko w morzu?
Bursztyn, czyli kopalna żywica, występuje w różnych zakątkach świata, ale pochodzi z różnych epok kształtowania się kontynentów i lądolodów. Nasz bursztyn bałtycki związany jest z formowaniem się kontynentu europejskiego i Skandynawii, z tak zwanych wysp Fennoskandii. To czasy eocenu. Tak określamy pochodzenie bursztynu bałtyckiego, jako czas w historii geologicznego tworzenia się naszej części świata. Jeśli chodzi o bursztyn bałtycki na terenie Polski, mamy dwa zasadnicze regiony złóż, które Państwowy Instytut Geologiczny pokazuje w bilansie złóż kopalin. Ostatni dostępny bilans, sporządzony na 31 grudnia 2024 roku, wskazuje województwo lubelskie i pomorskie. Lubelskie oceniane jest na 3690 ton (zasoby przemysłowe wynoszą 2059 ton). 11 złóż lubelskich to 3648 ton i położone są na głębokości 20-30 metrów. Pomorskie oceniono na 41 ton na głębokości 60-130 metrów. Obecnie eksploatowane są złoża w województwie lubelskim: Górka Lubartowska, Leszkowice i Niedźwiada III. W ubiegłym roku, zgodnie z raportem, wydobyto ponad 9 ton bursztynu. Każde wydobycie jest zgłaszane do oficjalnych służb, stąd znamy te liczby.

Ile ważyła największa znaleziona bryła bursztynu?
Jeśli mówimy o bursztynie bałtyckim, największa znana bryła waży 9,75 kilograma. Została znaleziona w 1860 roku w Rarwinie koło Kamienia Pomorskiego. Dziś znajduje się w Museum für Naturkunde w Berlinie.

A najpiękniejszy artefakt z bursztynu, którym możemy się chwalić w Polsce?
Jeżeli mówimy o kolekcjach bursztynu w Polsce, bardzo ważne jest Muzeum Zamkowe w Malborku. Tam znajdują się jedne z najcenniejszych obiektów bursztynowych w Polsce. Muzeum Bursztynu w Gdańsku to #mustvisit. Ale tuż za granicą Polski, w Ribnitz-Damgarten, znajduje się Deutsches Bernsteinmuseum, czyli Niemieckie Muzeum Bursztynu. Są tam niezwykle cenne rzeczy z bursztynu związane z dawnym, przedwojennym Gdańskiem, który był wtedy miastem silnie związanym z kulturą niemieckojęzyczną. Oni mają obiekty, których my prawdopodobnie nigdy już w Polsce nie będziemy mieli.

Dlaczego bursztyn bałtycki jest tak wyjątkowy na tle innych żywic kopalnych świata?
Z jednego powodu: zawiera kwas bursztynowy na poziomie 5-8 procent. Przypisuje mu się właściwości korzystne dla zdrowia człowieka. Z bursztynem wiążą się legendy i wierzenia ludowe, które mają ponad 3000 lat. Kiedy patrzymy na jego właściwości mineralogiczne, nie z perspektywy lekarzy czy farmakologów, ale historii i medycyny tradycyjnej, to widzimy przede wszystkim legendy, przekazy i wierzenia. Mówiono, że bursztyn i kwas bursztynowy znajdujący się na zewnętrznej warstwie bryłki, którą potem noszono jako biżuterię, amulet czy talizman, mają dobry wpływ na człowieka. Ale trzeba jasno powiedzieć: to nie jest wiedza medyczna w ścisłym sensie.

Czy bursztyn może być polskim diamentem?
Bursztyn bałtycki jest naszym skarbem narodowym, dobrem narodowym i dziedzictwem kulturowym. Ale zawsze bardzo mocno podkreślamy, także PR-owo, że nie ma czegoś takiego jak „bursztyn polski". Jest bursztyn bałtycki, który występuje na wspomnianych terenach. Dla nas jest dobrem i dziedzictwem kulturowym, ponieważ od ponad 3000 lat na ziemiach, które dziś znajdują się na mapie Polski, był przetwarzany i używany jako amulet, talizman, przedmiot dekoracyjny czy element kultu. Pod Nowym Dworem Gdańskim znaleziono figurki z bursztynu, które miały ponad 3000 lat. Od setek lat eksportowaliśmy wyroby z bursztynu jako przedmioty rzemiosła i podarunki dyplomatyczne. Jedna z badaczek napisała na KUL-u wspaniałą pracę doktorską o tym, jak od XVII wieku z naszych terenów trafiały w świat bursztynowe szkatuły, kufle, różańce i inne przedmioty jako podarunki dyplomatyczne. Różańce upowszechniali między innymi Krzyżacy z Malborka, którzy monopolizowali wydobycie i handel bursztynem od X wieku. Na ziemiach polskich przez wieki zajmowano się przetwórstwem tego surowca. Mamy na to dowody, mamy wspaniałe okazy w wielu muzeach w Polsce. Dlatego uważam, że powinniśmy mówić o bursztynie jako o naszym dobru narodowym i zapleczu kulturowym. To fascynujące dziedzictwo, które wreszcie warto podnieść do takiej rangi, jak twórczość Chopina czy dorobek Marii Skłodowskiej-Curie.

Diament mierzy się w karatach. A czym mierzy się bursztyn? Wagą, pięknem, kolorem, historią, pochodzeniem?
To dziś jedna z najważniejszych kwestii, którymi zajmuje się Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników z siedzibą w Gdańsku. Bursztyn jako żywica od lat był modyfikowany. Jeśli chodzi o skład chemiczny, w 60-80 procentach składa się z węgla, potem z tlenu i wodoru, a także niewielkiej ilości siarki. Po wrzuceniu do ognia płonie, stąd niemiecka nazwa Bernstein. Jest jednak kruchy: w skali Mohsa jego twardość wynosi około 2-2,5. Dlatego nie przetrwał tak jak diament, najtwardszy minerał świata, który ma twardość 10. Po diamencie można przejechać czołgiem i nic mu się nie stanie. Bursztyn łatwo się kruszy, stąd tak mało przetrwało zabytków i artefaktów wykonanych z bursztynu.

O co więc dziś toczy się walka na rynku bursztynu?
O uporządkowanie zasad oceny. Diament ma swoje 4C, czyli kryteria wartości. To bardzo ważne, bo pozwala ograniczać chaos na rynku kamieni jubilerskich. W przypadku bursztynu czegoś tak jednoznacznego nie mamy. W 1996 roku, czyli ponad 30 lat temu, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników. Jedną z jego założycielek była profesor Barbara Kosmowska-Ceranowicz, która od lat 70. zajmowała się bursztynem bałtyckim. W stowarzyszeniu spotkali się naukowcy z różnych dziedzin: chemicy, fizycy, paleontolodzy, historycy sztuki. Musieli wspólnie zastanowić się, jak klasyfikować kamienie jubilerskie z bursztynu. Taka klasyfikacja powstała i wiele osób na świecie – jak muzealnicy, kolekcjonerzy czy gemmolodzy – ją stosują. Ale nie możemy jej nikomu narzucić, bo Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników jest organizacją pozarządową. To nie jest prawo obowiązujące cały świat. Dziś ta klasyfikacja obejmuje cztery podstawowe kategorie. Pierwsza to bursztyn naturalny. Niewygrzewany, niepoddany żadnej obróbce technologicznej zmieniającej barwę czy właściwości. Może być wypolerowany, może zostać użyty do naszyjnika albo korali, ale nie został technologicznie zmodyfikowany przez człowieka. I to jest najcenniejszy okaz. Druga kategoria to bursztyn modyfikowany, czyli kamień, którego wygląd, tekstura bądź trwałość zostały zmienione w wyniku ingerencji człowieka, np. przez obróbkę termiczną. Może wówczas zmieniać kolor i barwę. Sprzedawane są bursztyny barwione na czerwono czy jaskrawozielono, ale to nie są barwy naturalne. Trzecia forma to bursztyn rekonstruowany (prasowany). Jest poddawany nie tylko obróbce termicznej, ale też łączeniu kilku naturalnych bryłek pod wpływem podwyższonej temperatury i ciśnienia, tak aby powstał materiał, który można pociąć i wykorzystać w biżuterii. Czwarta kategoria to bursztyn łączony, tak zwany duplret/tryplet, gdzie kilka rodzajów materiału może zostać zestawionych w jednej bryłce czy w jednym wyrobie. Jest też międzynarodowa organizacja, która w publikacjach dla kamieni jubilerskich traktuje bursztyn bałtycki jako część organicznych materiałów gemmologicznych, podobnie jak koral czy jadeit. I tam pojawia się bardzo ważne ostrzeżenie: jeżeli bursztyn został zmodyfikowany, nie można opisywać go jako naturalnego. Problem polega na tym, że nie wszyscy się do tego stosują. W laboratoriach gemmologicznych u naszych sąsiadów, na Łotwie czy w Rosji, często pisze się, że bursztyn jest naturalny, a dopiero obok dodaje słowo „modyfikowany", tak aby uzyskać wyższą cenę. To, co robią nieuczciwi producenci, przemytnicy i handlarze, to już osobna historia. A właściwie cała epopeja.

Jak często bursztyn się podrabia? I co może zrobić przeciętny człowiek, żeby nie dać się oszukać?
Po pierwsze, niestety, każdy może zostać oszukany. Dlaczego? Bo imitacje bursztynu bywają czasami nie do odróżnienia gołym okiem. Druga sprawa jest taka, że tych imitacji jest bardzo dużo. Od XIX wieku robiono różnego rodzaju materiały, które miały udawać bursztyn. Jednym z najbardziej znanych jest bakelit. To nic innego jak tworzywo sztuczne. Wszedł do masowej produkcji wtedy, kiedy chciano uzyskać materiał w kolorze bursztynu, który będzie podobnie wyglądał. Produkowano go między innymi w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W XX wieku było bardzo dużo takich podmian. W biżuterii vintage można znaleźć mnóstwo przykładów. Bursztynnicy zawsze się ekscytują, kiedy w filmie czy serialu pojawia się duża zawieszka przypominająca bursztyn. Tak było choćby przy jednej z nowszych produkcji związanych z „Seksem w wielkim mieście". Jedna z aktorek miała dużą zawieszkę i wszyscy uznali, że to bursztyn. Tymczasem był to bakelit. Podobnie Iris Apfel miała wiele dużych naszyjników. Nosiła bursztyn, faktycznie go lubiła i miksowała z innymi rzeczami, ale część jej biżuterii była również bakelitowa.

Jak najprościej sprawdzić, czy coś jest prawdziwym bursztynem?
Najuczciwsza odpowiedź brzmi: sprzedawca nie jest w stanie dać państwu stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy i laboratoria. W Polsce takim miejscem jest laboratorium bursztynu Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników w Gdańsku, nadzorowane przez naukowców. To bardzo ważne, bo istnieją też laborato-

eprasa.pl 3abe94452f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Harasiuk, była dyrektorka Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników, konsultantka biznesowa

ria, które nie są prowadzone w taki sposób, a badania wykonują samozwańczy rzeczoznawcy, którzy mogą potwierdzić właściwie wszystko. Każdy może więc wysłać wyrób albo pojechać do Gdańska i sprawdzić, czy ma do czynienia z bursztynem naturalnym, bursztynem modyfikowanym czy imitacją. Oczywiście można też wiele wyczytać z koloru i wyglądu. Stowarzyszenie Bursztynników opublikowało na ten temat sporo artykułów: o tym, czy zielony bursztyn jest naturalny, czym jest bursztyn koniakowy z charakterystycznymi pęknięciami w środku, który wielu osobom wydaje się naturalny. Literatura jest bardzo bogata. Mam duży szacunek do sprzedawców, ale to nie są osoby, które powinny być źródłem stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy gemmologiczni. Wielu sprzedawców chce doradzić jak najlepiej, ale wiedza na temat bursztynu w różnych miejscach bywa bardzo różna. Czasem niestety wprowadza kupujących w błąd.

Chciałabym zapytać także o ciemną stronę bursztynu: przemyt, nielegalne wydobycie, szarą strefę. Jak to wygląda?

To nie jest szara strefa. To jest czarna strefa, czyli przestępstwo. Przemyt jest przestępstwem. Nielegalne wydobycie jest przestępstwem. Wprowadzanie na rynek imitacji bursztynu jako prawdziwego bursztynu również jest oszustwem. Zdarza się na przykład, że producent kupuje worek surowca, a ktoś celowo dorzuca do niego imitacje. To także jest przestępstwo. Trzeba spojrzeć na prawo, które obowiązuje w Polsce. Z kwestiami wydobywczymi ma do czynienia między innymi Ministerstwo Klimatu i Środowiska, te przepisy nie regulują jednak wszystkiego w sposób idealny. Jeśli ktoś ma własną działkę i zaczyna tam kopać bursztyn na swój użytek, powinien mieć zgodę odpowiedniego urzędu na prace wydobywcze. Czy wszyscy ludzie w Polsce to robią? Nie wiem. Czy zawsze jest to traktowane jako przestępstwo? To też nie jest takie proste. Przestępstwem było natomiast to, co działo się w szalonych latach 90., w pierwszej fali bardzo agresywnego kapitalizmu. Wtedy wiele grup przestępczych, korzystając z braku regulacji i chaosu prawnego, rozkopywało lasy, plaże i różnego rodzaju działki bez żadnych pozwoleń. Zostawiano po sobie zniszczone tereny, które stawały się zagrożeniem dla ludzi, zwierząt, roślin i drzew. To były działania przestępcze. Wydaje mi się, choć nie jestem policjantką ani osobą pracującą w służbach, które to śledzą, że w Polsce na taką skalę właściwie już się tego nie robi. Mamy większą świadomość i wiemy, że grożą za to kary. Natomiast do Polski bursztyn nadal się przemyca. Sprawdzałam informacje z bilansu złóż kopalin w Polsce, publikowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny. Są tam również dane służb celno-skarbowych. W latach 2015-2023 udaremniono w Polsce przemyt 18 ton bursztynu.

Stara się Pani o to, aby w Polsce powstał Instytut Bursztynu. Po co nam taki instytut?

Jestem jednoosobową lobbystką tego tematu. Spotkałam się już z kilkoma ministrami i przedstawicielami ministerstw, bo, jak wspomniałam, bursztyn to nauka, kultura, gospodarka i dyplomacja. W Polsce bursztynem zajmuje się na co dzień dziewięć ministerstw i dwie kancelarie. Kancelarie dlatego, że przekazują bursztyn jako prezent dyplomatyczny. Dobrze byłoby więc, żeby wiedziały, jakiej jakości bursztyn przekazują. Muzea zajmują się bursztynem, bo kupują obiekty do swoich kolekcji. Ostatnia duża transakcja to 650 tysięcy euro za obiekt zakupiony przez Muzeum Bursztynu w Gdańsku, które jest instytucją samorządową miasta Gdańska. Instytut Bursztynu byłby dla mnie miejscem, które zrzeszałoby naukowców z całego świata zajmujących się bursztynem bałtyckim. To oni mogliby ustalić coś na kształt diamentowych 4C, czyli wspólną klasyfikację jakości bursztynu, którą stosowałyby różne kraje. Muszą to zrobić naukowcy, bo w bursztynie ocena wartości działa inaczej niż w diamentach. W diamentach inkluzje przeszkadzają, są traktowane jako nieczystość. Diament powinien być czysty. W bursztynie jest odwrotnie: inkluzja może podnosić wartość bryłki. Jeżeli w bursztynie znajdziemy bardzo rzadki okaz fauny albo flory, jego wartość rośnie. Przykładem jest jaszczurka zatopiona w bursztynie – niezwykle rzadka i cenna inkluzja. W bursztynie najczęściej zachowują się owady, pajęczaki czy fragmenty roślin, a drobne gady należą do prawdziwych unikatów. Taki instytut mógłby więc uporządkować chaos w ocenie bursztynu. Po drugie, archiwizowałby wiedzę, która jest dziś rozproszona między wieloma dziedzinami nauki. Po trzecie, dzieliłby się tą wiedzą ze światem. A świat tej wiedzy potrzebuje. Bardzo aktywne są dziś rynki azjatyckie, szczególnie Chiny, oraz rynki arabskie. W handlu bursztynem i obiektami z bursztynu obraca się tam ogromnymi pieniędzmi. Ale często brakuje instytucji, do której można się zwrócić po rzetelną, państwową, naukową ekspertyzę.

Chodzi więc nie tylko o promocję bursztynu, ale też o bezpieczeństwo rynku?

Tak jest. Mamy dziś bardzo palący problem: nie ma prawnego uregulowania czynności zawodowej rzeczoznawcy jubilerskiego, nie tylko od bursztynu, ale w ogóle od biżuterii, zegarków, diamentów czy kamieni szlachetnych. Cały luksusowy rynek w Polsce funkcjonuje w dużej mierze dzięki rzeczoznawcom, którzy są samozwańczy. Teoretycznie dziś mogę się obudzić i powiedzieć: jestem rzeczoznawcą bursztynu. Mogę pójść do galerii sztuki albo muzeum i zaproponować, że będę pomagała wyceniać obiekty. Nie ma regulacji, a to może rodzić ogromne konsekwencje. Zwłaszcza gdy mówimy o rzeczach bardzo drogich, kupowanych za publiczne pieniądze. Kolejna sprawa to konserwacja. Nie mamy wyspecjalizowanego ośrodka konserwacji artefaktów bursztynowych. Rosjanie mają to bardzo dobrze opanowane. Tymczasem bursztyn, przez swoje właściwości fizyczne i kruchość, a także przez niewłaściwe warunki ekspozycji, może ulegać zniszczeniu. Jeśli muzeum kupuje obiekt za ogromne pieniądze, musimy mieć zaplecze chemiczne i konserwatorskie, które pozwoli go zabezpieczyć. Konserwujemy przecież wszystkie inne zabytki. Bursztyn także tego wymaga, dlatego Instytut Bursztynu nie byłby tylko miejscem promocji. Byłby centrum nauki, klasyfikacji, ochrony rynku, ekspertyz, konserwacji i archiwizacji wiedzy. Potrzebujemy takiego zaplecza, jeśli naprawdę chcemy traktować bursztyn jako nasze dziedzictwo.

Czytałam, że nasz bursztyn cieszy się ogromnym powodzeniem w krajach arabskich. Dlaczego?

To są historie znane od tysięcy lat. Bursztyn trafiał na tamte rynki już bardzo dawno temu. Peter Frankopan pisał o tym w „Jedwabnych szlakach", także w kontekście dawnych szlaków niewolniczych. Według tych opisów bursztyn był przewożony razem ze Słowianami, którzy trafiali na tamte rynki jako niewolnicy. Był zupełnie inny niż znane im materiały wykorzystywane do zdobnictwa. A człowiek od tysięcy lat fascynował się tym, co świeci, co jest piękne, niezwykłe, inne. Bursztyn ma też tę właściwość, że kiedy bierze się bryłkę do ręki, ona jest ciepła. Zachowuje się inaczej niż zwykłe minerały. To działało na wyobraźnię. Kiedy pojawiły się religie i modlitwa, bursztyn zaczął funkcjonować również jako materiał do przedmiotów religijnych. I dlatego dzisiaj jednym z najcenniejszych akcesoriów dla mężczyzn w krajach Bliskiego Wschodu są muzułmańskie różańce, czyli prayer beads. W krajach arabskich, zwłaszcza w sześciu państwach Rady Współpracy Zatoki Perskiej, mężczyźni potrafią wydawać na nie ogromne pieniądze. Bursztyn z Polski jest tam traktowany jako synonim superluksusowego materiału. Nawet mniejsi kolekcjonerzy potrafią mieć po kilkaset takich różańców. Na bazarach, gdy wisi różaniec z bursztynu i jest przy nim informacja „made in Poland", jego cena jest wyższa. Ich podejście do bursztynu to w ogromnej mierze właśnie zakup prayer beads, czyli kulek do modlitwy. W islamie odmawia się 99 imion Allaha i trzeba je sobie odliczać. Chrześcijaństwo później zaadaptowało podobną formę do własnych różańców. U nas różańce chrześcijańskie są dziś używane coraz rzadziej, natomiast w krajach arabskich te bursztynowe kulki nadal funkcjonują bardzo mocno. Rozmawiam z młodszymi kolekcjonerami i widzę, że dla nich coraz częściej jest to także atrybut luksusu. Przeciętny bogaty Arab ma bardzo dobry zegarek, bardzo dobry samochód, czyli kluczyki do niego, i właśnie bursztynowy różaniec. To są trzy rzeczy, bez których nie wychodzi z domu.

Ma Pani pomysł, żeby odczarować bursztyn z wizerunku staromodnej zawieszki? Jak pokazywać go jako nowoczesny design, coś wartościowego i jednocześnie opowieść o Polsce?

Ale ja nie chcę odczarowywać bursztynu – niech on zostanie zaczarowany. Niech ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata. Niezależnie od tego, czy mówimy o surowej bryłce, czy o obrobionym bursztynie. Jeśli chodzi o biżuterię, czyli już konkretne wyroby z bursztynu, wszystko zależy od świadomości, ale też od odpowiedzialności producentów. Mamy wielu twórców, którzy robią fantastyczny, nowoczesny design. Taki, w którym gdyby w miejsce bursztynu włożyć szafir, nadal byłaby to piękna biżuteria. Ale są też przedsiębiorcy, którzy traktują bursztyn jak tani surowiec i oprawiają go w tani design. Bez dobrego wzornictwa, bez myślenia o tym, czym dzisiaj może zachwycić współczesnego miłośnika biżuterii. Dlatego potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, świadomość klientów: co kupują i dlaczego kupują bursztyn. Po drugie, odpowiedzialność projektantów i producentów, żeby pokazywać bursztyn w sposób nowoczesny, ciekawy, atrakcyjny. Takie działania podejmowaliśmy w Stowarzyszeniu. Jeździliśmy po świecie i pokazywaliśmy wybrany design oraz twórców, którzy naprawdę robią fantastyczne rzeczy. Staraliśmy się też lokować bursztyn w filmach i serialach dzięki współpracy z kostiumografami. Bursztyn pojawił się między innymi w filmie „Miłość na pierwszą stronę" Marii Sadowskiej czy w serialu Polsatu „Bracia", którego część zdjęć realizowano w Gdańsku i Trójmieście. Chodzi o to, żeby dzisiejszy klient zobaczył, że bursztyn nie musi być wielką, ciężką zawieszką znaną z dawnych lat – może być elementem bardzo dobrej, współczesnej biżuterii.

eprasa.pl 3abe94452f

Express Bydgoski
Piątek, 5.06.2026

W niewielkim Głębinowie pod Nysą dzieje się coś, co sprawia, że raz w miesiącu spokojna śląska wieś zmienia się w oblegane miejsce, do którego zdążają pielgrzymi z bliska i z daleka. Już kilka godzin przed nabożeństwem samochody ustawiają się w długich rzędach. Ludzie idą pieszo poboczem drogi, wielu trzyma w dłoniach czerwone róże

Milena Zatylna

FENOMEN TEGO MIEJSCA RODZI SIĘ Z LUDZKIEGO CIERPIENIA

Jedni przyjeżdżają w ciszy, inni płaczą jeszcze przed wejściem do kościoła. Wśród pielgrzymów są młode małżeństwa, starsze kobiety, rodzice ciężko chorych dzieci, ludzie po rozwodach, po stratach, po życiowych katastrofach.

Przyjeżdżają tutaj z tym, czego już nie potrafią udźwignąć sami.

I właśnie w Głębinowie - w małym kościółku, który przed laty miał zostać zburzony przy budowie Jeziora Nyskiego - szukają ratunku.

Bo Święta Rita, patronka spraw trudnych i beznadziejnych, sprawiła, że ta niewielka miejscowość stała się jednym z najważniejszych miejsc jej kultu w Polsce - obok Kościoła św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Krakowie i sanktuarium w Nowym Sączu.

Jeszcze kilkanaście lat temu niewiele osób słyszało o Głębinowie. To zmieniło się pięć lat temu. 22 maja 2021 r. decyzją opolskiego biskupa, w Głębinowie ustanowione zostało diecezjalne sanktuarium św. Rity.

Dziś każdego 22. dnia miesiąca wokół sanktuarium trudno znaleźć miejsce do zaparkowania. Kościół pęka w szwach, a plac przy świątyni jest wypełniony po brzegi. Pątnicy trzymają w rękach róże - czerwone, białe, herbaciane, które są symbolem Świętej Rity. Zapach tysięcy kwiatów roznosi się wokół.

- Fenomen tego miejsca rodzi się z ludzkiego cierpienia, z tajemnic bolesnych naszego życia - mówi ksiądz Przemysław Seń, kustosz sanktuarium. - Ludzie przychodzą tutaj z historiami, których często nie mają już siły nikomu opowiadać. Choroby, rozpadające się małżeństwa, uzależnienia, samotność, dramaty rodzinne. To wszystko powierzają w modlitwach.

FOT. MILENA ZATYLNA

Przyjeżdżają tutaj z tym, czego już nie potrafią udźwignąć sami

Duchowny przyznaje, że najbardziej poruszające są chwile po nabożeństwach.

- Problem często nie znika od razu, ale widać zmianę na ludzkich twarzach. Wchodzą smutni, przygnieceni, a wychodzą z nadzieją. Jakby ktoś zabrał z ich serca część ciężaru.

Ta nadzieja ma twarz świętej, która sama doświadczyła niemal wszystkiego, co może złamać człowieka.

Kim była święta od spraw beznadziejnych?

Święta Rita urodziła się pod koniec XIV wieku we włoskiej Roccaporenie. Już jako dziewczynka marzyła o życiu zakonnym, ale rodzice zdecydowali inaczej - wydali ją za mąż. Jej mąż był człowiekiem gwałtownym i porywczym, uwikłanym w konflikty i przemoc. Rita przez lata doświadczała cierpienia, jednak nie odpowiadała na nie nienawiścią. Modliła się o przemianę małżonka. I doczekała jej. Tuż przed śmiercią jej mąż pojednał się z Bogiem.

Później Rita przeżyła kolejną tragedię - śmierć swoich synów. Wówczas postanowiła poświęcić swoje życie Bogu, wstąpiła do klasztoru augustianek w Cascii.

Była cichą i pokorną mniszką. Dnie spędzała na modlitwie i pokucie.

Według przekazów otrzymała stygmat rany na czole, jakby ciernia z korony Chrystusa. Zmarła 22 maja 1450 r. - Kilka miesięcy przed śmiercią Rita wyraziła pragnienie, żeby zobaczyć w ogrodzie żywą różę - opowiada ks. Przemysław. - Okazało się, że wszystkie róże przed klasztorem zakwitły, choć wokół leżał śnieg. Dlatego właśnie róże są nieodłącznym znakiem tej świętej.

Po śmierci zaczęto przypisywać jej liczne cuda.

Do dziś wierni na całym świecie modlą się do niej wtedy, gdy po ludzku nie widzą już wyjścia.

- Rita jest świętą bardzo bliską współczesnemu człowiekowi - mówi ksiądz Paweł Chyla, współautor książek poświęconych sanktuarium w Głębinowie. - Nie była kimś odległym. Każdy może się z nią utożsamiać i znaleźć w niej swoją orędowniczkę. Była żoną, matką, wdową. Doświadczyła przemocy, straty, cierpienia. Ludzie odnajdują w niej swoje życie. Widzą kobietę, która mimo dramatów się nie poddała.

To właśnie dlatego do Głębinowa przyjeżdżają tłumy.

Na kartkach składanych przed figurą Świętej Rity zapisane są najbardziej intymne ludzkie dramaty.

„Pomóż uratować moje małżeństwo".
„Spraw, żeby córka wygrała z rakiem".
„Błagam o dziecko".
„Nie mam już siły żyć".
„Uwolnij mnie od alkoholu".

- Tych spraw trudnych jest dziś ogrom - mówi ksiądz Paweł Chyla. - Ludzie mają poczucie, że wyczerpali wszystkie możliwości. I wtedy przyjeżdżają tutaj.

Wielu wraca.

Jedną z takich osób jest pan Leszek. Pierwszy raz pojawił się w Głębinowie kilka lat temu, modląc się za znajomą chorą na nowotwór.

- Lekarze nie dawali koleżance wielkich szans - wspomina. - Przyjechałem tutaj w wielkim strapieniu, po cud. Dziś koleżanka żyje, pracuje, wszystko jest dobrze. Dla mnie to był moment przełomowy.

Od tamtej pory jest w Głębinowie regularnie.

- Człowiek przyjedzie tutaj raz i chce wracać. Jest w tym miejscu coś niezwykłego. Modliłem się o zdrowie, o rodzinę, o nawrócenie syna. I powoli wszystko zaczęło się układać. Nie nagle, nie spektakularnie.

eprasa.pl 3abe94452f

PRZED ŚMIERCIĄ RITA PRAGNĘŁA ZOBACZYĆ W OGRODZIE ŻYWĄ RÓŻĘ. WSZYSTKIE RÓŻE PRZED KLASZTOREM ZAKWITŁY, CHOĆ WOKÓŁ LEŻAŁ ŚNIEG

Raczej krok po kroku. Jakby Święta Rita uczyła człowieka cierpliwości i zaufania. Kiedy po ludzku wszystko się kończy, zostaje jeszcze ona.

Takich opowieści można tutaj usłyszeć setki. Ksiądz Przemysław Seń szczególnie pamięta historię małej Hani. – Po porodzie rokowania były bardzo złe. Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka może nie przeżyć. Rodzice modlili się tutaj o jej życie. Dziś Hania żyje i ma się dobrze. A Świętą Ritę nazywa swoją ciocią – opowiada duchowny.

W sanktuarium często mówi się także o uzdrowieniach z chorób nowotworowych, ocalonych małżeństwach i narodzinach długo wyczekiwanych dzieci.

W podziękowaniu wierni zostawiają świadectwa, róże i wota wdzięczności.

To właśnie dzięki takim świadectwom kult Świętej Rity w Głębinowie rozrastał się błyskawicznie.

Bo sanktuarium nie powstało wokół objawień ani wielowiekowej legendy. Narodziło się z potrzeby zwykłych ludzi.

Jesienią 2014 roku grupa parafian poprosiła księdza Przemysława o odprawienie nabożeństwa ku czci Świętej Rity. Sami modlili się wcześniej prywatnie do patronki spraw beznadziejnych i chcieli robić to wspólnie. 22 listopada 2014 roku odbyło się pierwsze nabożeństwo.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że rozpoczyna się historia miejsca, do którego będą przyjeżdżać tysiące pielgrzymów.

– Wielu ludzi zaczęło mówić o wysłuchanych modlitwach. Wieść rozchodziła się błyskawicznie – wspomina pan Franciszek. – Jedni opowiadali drugim. I tak zaczęły przybywać tłumy. Sam również doświadczyłem wielu łask za wstawiennictwem Świętej Rity. Czuję jej pomoc w codziennym życiu.

Zaledwie pół roku po pierwszym nabożeństwie do Głębinowa sprowadzono relikwie pierwszego stopnia – fragment tuniki, w której Święta Rita została pochowana. To był moment przełomowy dla rozwijającego się kultu.Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Powstał nowy ołtarz, pojawiła się figura Świętej Rity ufundowana przez wiernych jako wotum wdzięczności za otrzymane łaski. Ludzi przybywało z miesiąca na miesiąc. W końcu, pięć lat temu, 23 maja 2021 roku, biskup Andrzej Czaja ustanowił w Głębinowie oficjalne sanktuarium diecezjalne Świętej Rity.

– Biskup powiedział wtedy, że to miejsce ma być duchową oazą i schronieniem dla ludzi – przypomina ksiądz Przemysław Seń. – I rzeczywiście takim się stało.

Dzisiaj przyjeżdżają tu pielgrzymi z całej Polski, a nawet z zagranicy. Wielu z nich wraca każdego miesiąca.

Wśród wiernych jest także Zuzanna Kreczmar. Jej historia również wiąże się z chorobą.

– Mój syn miał nowotwór mózgu – mówi. – Modliliśmy się żarliwie o jego uzdrowienie i zostaliśmy wysłuchani. Dlatego opowiadam ludziom o Świętej Ricie. Chcę, żeby wiedzieli, że naprawdę można tutaj odzyskać nadzieję. Rita i to sanktuarium są dobrodziejstwami, z których powinniśmy korzystać.

Zdaniem księdza Pawła Chyli właśnie w tym tkwi sekret fenomenu Świętej Rity.

– Żyjemy w świecie ogromnego lęku i samotności. Ludzie często nie mają już gdzie szukać ratunku. Rita pokazuje, że nawet najbardziej pokrzyżowane życie może stać się drogą do dobra.

I może dlatego Głębinów działa na pielgrzymów tak mocno.

To miejsce jest proste, niewielkie, pozbawione przepychu. Nie ma tu monumentalnych bazylik ani wielkich placów. Jest mały neogotycki kościół nad wodą, szum jeziora i róże przynoszone przez ludzi.

A jednak właśnie tutaj wielu odzyskuje spokój.

– Ośmielę się nazwać to miejsce skrawkiem nieba na ziemi – mówi ksiądz Paweł. – Tym bardziej, że ten kościółek miał kiedyś zostać zburzony przy okazji budowy Jeziora Nyskiego. Trudno dziś sobie wyobrazić, że mogłoby go nie być.

To chyba najbardziej symboliczne w historii Głębinowa. Świątynia, która miała zniknąć, stała się miejscem, z którego płynie ogrom dobra.

Kiedy nabożeństwo dobiega końca, ludzie długo jeszcze zostają w ławkach. Niektórzy siedzą w ciszy z zamkniętymi oczami. Inni klęczą przed figurą świętej. Ktoś dotyka relikwiarza, bo głęboko wierzy w to, że tutaj Rita jest na wyciągnięcie ręki. Ktoś ociera łzy. Ktoś ściska różę tak mocno, jakby była ostatnią rzeczą, której może się uchwycić.

Powoli zapada zmrok. Jezioro Nyskie cichnie. Pielgrzymi wracają do swoich domów, do chorób, udręk, codziennych zmagań. Ale wielu z nich wyjeżdża stąd z czymś, czego wcześniej już prawie nie mieli.

Z nadzieją.

©℗

FOT. MILENA ZATYLNA

Święta Rita sprawiła, że ta niewielka miejscowość stała się jednym z najważniejszych miejsc jej kultu w Polsce

FOT. MILENA ZATYLNA

Ludzie odnajdują w niej swoje życie. Widzą kobietę, która mimo dramatów się nie poddała

FOT. MILENA ZATYLNA

W sanktuarium często mówi się o uzdrowieniach z chorób i narodzinach długo wyczekiwanych dzieci

eprasa.pl 3abe94452f

Express Bydgoski
Piątek, 5.06.2026

DLACZEGO SOLANAS CHCIAŁA ZASTRZELIĆ KRÓLA POP-ARTU?

3 czerwca 1968 roku 32-letnia radykalna feministka Valeria Solanas oddała kilka strzałów do Andy'ego Warhola. Dlaczego?

Mariusz Grabowski

Wydawało się, że w Fabryce, atelier artystycznym Warhola na Manhattanie, bywali tylko jego bezkrytyczni wyznawcy. Do momentu, gdy wparowała tam Valeria Solanas z rewolwerem. Artystowska oaza okazałą się ułudą.

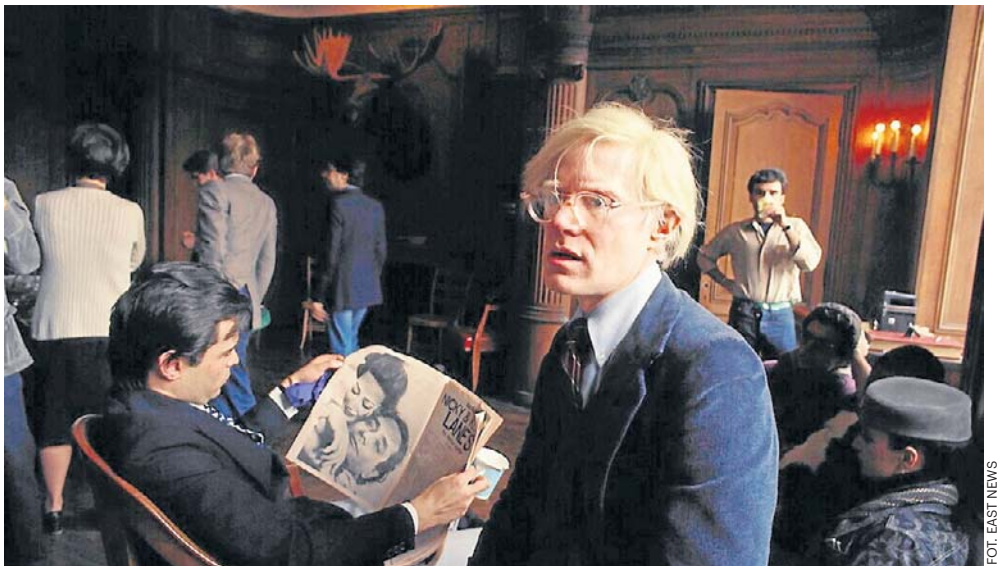

FOT. EAST NEWS

Atelier Warhola stawało się polem do różnych eksperymentów, a jej goście kipieli wulkanem energii. Bawili się, pili, tańczyli, przekraczali „społeczne granice"

Liberalny raj

Wokół Factory, gdzie od początku lat 60. królował Warhol i jego dwór, narosło tyle mitów, że można by z nich zestawić encyklopedię. Sam Warhol napisał swoją historię tego miejsca, ale tak zmitologizowaną, że przypomina solidnie polukrowaną auto-hagiografię

W 1963 r. Warhol wynajął przestronny loft w budynku przy 231 East 47th Street na Manhattanie, zajmowany wcześniej przez wytwórnię kapeluszy. Winda towarowa dowoziła na piąte piętro aktorów, ekscentrycznych poetów, drag queens, muzyków rockowych, filmowców, modelki, queerowych performerów i zbuntowanych nastolatków z bogatych domów. Najbliższymi akolitkami Warhola były aktorki Edie Sedgwick i Candy Darling oraz Robert Olivo, znany jako „Ondine".

Fotograf Jeanloup Sieff wspominał: „The Factory natychmiast stało się punktem spotkań ludzi pięknych, ale też bardzo ekscentrycznych, nie zapominając o intelektualistach, homoseksualistach i narkomanach. Fotografowałem piękną Ivy Nicholson, która stała się jedną z członkiń bandy Andy'ego; wszyscy ci ludzie robili, co tylko w ich mocy, żeby zwrócić na siebie jego uwagę".

W komunie raźniej

Kto nie bywał u Warhola i choć raz nie oddał mu pokłonu, w tym środowisku ludzi „pięknych" mógł czuć się wykluczony. Na piąte piętro ciągnęły więc artystyczne korowody: bywali tu Mick Jagger i David Bowie, Lou Reed i William S. Barroughs, pofatygowała się Liza Minnelli. A pewnego dnia skrzypiąca winda przywiozła przed oblicze Króla grupę The Velvet Underground w pełnym składzie. Wypalono kilka skrętów, ale gadka się nie kleiła.

„Wystarczyło spojrzeć na srebrzyste ściany, by odczuć niecodzienną atmosferę panującą w Fabryce. Za jej kuriozalny wystrój odpowiadał Billy Name. Młody oświetleniowiec z off-broadwayowskich teatrów chwycił za srebrną farbę i pokrył nią wszystko: od podłogi aż po sufit. Nie pominął rur ciepłowniczych, metalowych kolumn, a nawet windy i wnętrza sedesu. Dla wzmocnienia efektu wytapetował mury folią aluminiową i poprzyklejał do niej lustra" - pisze Delikta.

„A on (Warhol) malował razem ze swoimi asystentami albo kręcił filmy; nowe osoby były zapraszane przed jego kamerę. »Chcesz wystąpić w jakiejś scenie?«, pytał swoim dziewczęcym głosikiem. Wielu o tym marzyło, bo pojawienie się w filmie Warhola stało się nagle gwarancją artystycznej wiarygodności" - dodaje Sieff.

Pierwsze strzały

Nagromadzenie w Fabryce przeróżnych typów ludzi, często o zawirowanej psychice sprawiało, że atelier stawało się polem do różnych eksperymentów, a jej goście kipieli wulkanem energii. Bawili się, pili, tańczyli, przekraczali, jak to dawniej mówiono „społeczne granice".

Zajrzyjmy do książki Jeana-Noëla Liauta „Andy Warhol, srebrny lis": „Pewnego dnia Dorothy Podber, znajoma znajomego Andy'ego strzeliła pewnego wieczoru do sławnych portretów Monroe, które były ustawione jeden za drugim. Jeden wystrzał sprawił, że kula przeszyła czoło Marylin w czterech portretach. W efekcie ceny obrazów błyskawicznie poszły w górę".

Liaut pisze też o pojawieniu się w Fabryce Valerii Solanas: „Tego dnia w Fabryce pojawiła się Valerie Solanas, założycielka Stowarzyszenia na rzecz Kastracji Mężczyzn, i poprosiła o rozmowę z Andym. Kiedy dowiedziała się, że go nie ma, postanowiła zejść na dół i zaczekać, aż wróci. Warhol przyjechał kwadrans po szesnastej i Solanas wsiadła z nim do windy. Wyraził uznanie, bo była umalowana, co nigdy się nie zdarzało. Miała ze sobą papierową torbę, ale nikt nie zwrócił na to uwagi".

Wirujący cel

Solanas i Warhol znali się już wcześniej. Valerie bywała w fabryce na alkoholowo-narkotycznych balangach, a w 1966 r. zwróciła się do niego z prośbą o wyprodukowanie jej sztuki „Up Your Ass". Warhol odmówił, ponoć też nie zwrócił jej przysłanego scenariusza. A gdy autorka zażądała zwrotu, starał się ją udobruchać m.in. propozycją zagrania w jego filmie „I, A Man".

Wróćmy do owego feralnego 3 czerwca. „Dotarli - pisze Liaut - do części biurowej, gdzie Warhol zajął się rozmową telefoniczną. Valerie wyjęła z torby pistolet i trzykrotnie strzeliła do Andy'ego. Dwie pierwsze kule chybiły, ale trzecia przeszła przez wszystkie ważne narządy oprócz serca: płuca, wątrobę, żołądek, woreczek żółciowy i przełyk. Andy upadł, a następny był krytyk sztuki Mario Amaya, do którego Solanas oddała strzał, również go raniąc, tylko lżej. Potem obrała za cel Freda Hughesa, ale pistolet oparty na jego czole zaciął się". Wreszcie uciekła.

Warhol stracił sporo krwi i ogromnie cierpiał. Hughes próbował mu pomóc poprzez sztuczne oddychanie, ale ból był tak rozdzierający, że Andy błagał go, żeby przestał. Przeżył, ale „nigdy nie wrócił do dawnej formy".

Winni są faceci

Czy niezwrócony scenariusz wart jest strzelaniny? W przypadku Valerii Solanas werdykt nie jest porosty, bowiem jako radykalna feministka i osoba najwyraźniej zaburzona psychicznie mierzyła rzeczywistość swoją miarą. Np. twierdziła w śledztwie, że studia psychologiczne na uniwersytecie w Minnesocie sfinansowała uprawiając prostytucję, co wedle niej było „idealnym sposobem życia dla wolnej kobiety".

Choć chyba nie do końca, bowiem po relegacji z uczelni miejsce zamieszkania, a od połowy lat 60. żyła jako bezdomna na Manhattanie. W 1967 r. napisała, a rok później wydała „SCUM Manifesto" („SCUM" to akronim od „Society for Cutting Up Men"), w którym dowodziła możliwości funkcjonowania społeczeństwa składającego się wyłącznie z kobiet i obwiniała mężczyzn za „wszelkie zło współczesnego świata".

Valerie sama zgłosiła się na policję, kiedy Andy Warhol leżał jeszcze na sali operacyjnej. Przyznała, że artysta miał duży wpływ na jej życie, dlatego chciała położyć temu kres, zabijając go. Trafiła do szpitala psychiatrycznego.

„Czy żałuję? Nie"

Pytanie: czy Valerie Solanas była zwykłą wariatką, czy konsekwentną realizatorką antymaskulinistycznych teorii, do dziś dzieli środowisko feministek. Jeszcze trzy lata temu, na łamach „The New York Times", Bonnie Wertheim wróciła do tematu w tekście „Overlooked No More: Valerie Solanas. Radical Feminist Who Shot Andy Warhol".

Czytamy w nim, ze zamach przyniósł nagły wzrost zainteresowania Solanas i jej pracą, ale jednocześnie spowodował rozłam w środowisku feministycznym, w tym National Organization for Women. „Obrończynie Solanas, jak pisarka Ti-Grace Atkinson czy prawniczka Flo Kennedy stały się podstawą ruchu radykalnego feminizmu i ukazywały ją jako symbol kobiecego gniewu" - pisze Wertheim.

Solanas oskarżono o próbę zabójstwa, napaść i posiadanie broni. Przez lata zwiedziła wiele zakładów dla psychicznie chorych, zwalniano ją, potem ponownie zamykano. Gdy była na wolności często dzwoniła do Warhola i innych osób z jego środowiska, co doprowadziło do jej ponownego aresztowania w styczniu 1969 r. Wreszcie skazano ją na trzy lata więzienia. Jak mówiła, nigdy nie żałowała swojego czynu, „a jedynie tego, że zamach był nieudany".

Spadające gwiazdy

Opowieść o nieszczęśliwej feministce Valerii Solanas jest tak naprawdę o opowieścią o granicach wolności w sztuce. Bowiem skoro walczy się o świat, w którym wszystkich mężczyzn można będzie wykastrować, dlaczego nie zlikwidować jednego, który to uniemożliwia?

Liaut podsumowuje: „Przypadek Solanas dobitnie pokazuje, jaka atmosfera panowała wówczas w Fabryce i jak każdy chciał zdobyć uznanie, bez względu na wszystko. Z drugiej strony można powiedzieć, że Andy sam był sobie winny - w końcu to on stworzył taką wylęgarnię makabrycznych charakterów, którą bawił się i manipulował, a teraz sam stał się jej ofiarą".

Co stało się z Fabryką? W 1967 r. Warhol musiał opuścić budynek przy 47. ulicy. Chociaż Fabryka przenosiła się później jeszcze dwukrotnie, nigdy już nie wykrzesała tej samej iskry, która napędzała dawną, „srebrną Factory". Wiele supergwiazd z otoczenia Warhola zgasło. W 1971 r. narkotyki pochłonęły życie Edie Sedgwick. Niedługo później zmarła Candy Darling. Ondine padł ofiarą epidemii AIDS.

Koniec opowieści

„Do stopniowego upadku Fabryki - twierdzi Delikta - przyczynił się sam Warhol. Potrzebował ludzi, którzy będą jego dłońmi w tworzeniu sztuki, głosem w kontaktach z mediami, otuchą i rozrywką na co dzień. Gdy jednak tracił nimi zainteresowanie lub uznawał ich za bezużytecznych, odwracał się bez słowa i szukał kolejnych adoratorów".

Warhol bezwzględnie żerował na ich zaletach, słabościach i życiowych doświadczeniach. Wielu nazywało go „wampirem", bowiem wysysał nie tylko pomysły, lecz także siły witalne. „Najpierw cię ścigał, a potem porzucał" - mówił np. fotograf Dustin Pittman.

Epizod z Valerie Sonalas także został przezeń wykorzystany. W 1969 r. Kazał Richardowi Avedonowi zrobić sobie fotoportret, na którym widoczny jest tylko jego tors za szwami po kulach. W zależności od formatu reprodukcje wyceniane są od kilku do kilkunastu tys. dolarów.©℗

eprasa.pl 3abe94452f

Zawsze było co najmniej dwóch Zełenskich. Ten na potrzeby rynku zagranicznego i ten na potrzeby krajowe. Na potrzeby krajowe Zełenski nie był już taki miły. Bo na Ukrainie nie miał aż tylu fanów i widzów co za granicą

FOT. PAP/EPA

Nawet jeśli nie zdecyduje się na start w wyborach, Wołodymyr Zełenski zostanie zapamiętany jako postać historyczna dla Ukrainy i dla świata.

ON JUŻ MA SWOJE MIEJSCE W HISTORII

Polityk Sługi Narodu: Zełenski chce być cały czas w centrum wydarzeń. Irytuje się, gdy schodzi ze sceny. Albo gdy na scenę wchodzi ktoś, kto mu zabiera światło i uwagę. On jest osobowością narcystyczną. Nie mówię tego ze złośliwością. Każdy polityk jest w jakimś sensie narcyzem zapatrzonym w swój wizerunek. Z drugiej strony często o tym zapominamy, oceniając Zełenskiego. Większość mediów – szczególnie za granicą – wpada w zachwyt. Pisze o nim w czarno-białych barwach. Nie dostrzegając tego, że Zełenski jest tylko… politykiem. Nie odbieram mu jego zasług z początków wojny. Nie kwestionuję tego, że pielgrzymował po świecie w poszukiwaniu pomocy i ten jego wizerunek był przydatny przy jej zdobywaniu. Handlowanie zdjęciami ze sobą za broń miało i ma sens. Ale jest też inna prawda. Taka, że prezydent jak dziecko przegląda rolki na socjalach. Denerwuje się, gdy wychodzi na nich źle. Gra twardziela. Momentami do przesady. (…)

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Przesadzone są doniesienia o kompleksach Zełenskiego. On niemal od dziecka występował na scenie. Dlaczego miałby być zakompleksiony? W swojej szkole w Krzywym Rogu był gwiazdą. Zawsze otoczony wpatrzonymi w niego dziewczynami. OK, jest niski. I od dziecka tak na niego wołano. Mówiono na niego „Mały". Ale jemu to nie przeszkadzało i nie przeszkadza do dziś. Gdy grał na scenie, wpadał w coś w rodzaju transu. Dążył do doskonałości. W dupie miał to, co o nim mówią ludzie, którzy z niego drwili. Jego poczucie własnej wartości nigdy nie było zachwiane. On od czasu szkoły podstawowej odnosił sukcesy. Zawsze był gwiazdą. Dlaczego miałby być sfrustrowany tym, że jest niski. Bez przesady. Gdyby miał kompleksy, nie godziłby się na rolę kobiety. Często grał kobietę. Myślę, że zakompleksieni na punkcie swojego wzrostu czy wyglądu fizycznego faceci raczej idą w kierunku budowania się jako mużyk, twardziel, kryminalista. Zełenski nigdy taki nie był. On jest artystą. Niezależnie, kogo i co gra, jest w nim wrażliwość artysty, a nie kryminalisty z bazaru. Zgoda – jak każdy aktor i artysta ogląda się w lustrze. Ogląda swoje występy. Analizuje je. Poprawia. Pracuje nad wizerunkiem. Ale to chyba normalne. Zełenski jest postacią sceny. Dziś politycznej. Ale to postać sceniczna. I tak należy ją postrzegać.

Minister w Kancelarii Prezydenta RP Andrzeja Dudy: Nawet my mówiliśmy na niego przed wojną „Mały". Później już nie wypadało. On naprawdę obawiał się, że go zabiją. Nie było przestrzeni do szyderstw z jego wzrostu. Czasami żartował, że jest o dwa centymetry niższy od Napoleona. Czyli lekko licząc, Zełenski ma 166 centymetrów wzrostu. Niech pan spróbuje znaleźć jego zdjęcia z Jermakiem, gdy stoją razem obok siebie. Niewiele jest takich zdjęć. Jermak to kawał chłopa. Przy nim Zełenski wygląda jak jego syn. Albo młodszy kolega. Nie powiedziałbym jednak, że Zełenski ma na tym punkcie kompleksy. Putin też jest niski. Ale on nosi wkładki do butów, aby się podwyższyć. Mimo że jest o dwa centymetry wyższy od Zełenskiego, czyli ma wzrost… Napoleona. Nie przesadzajmy zresztą. Leo Messi również jest niski. Wzrost w polityce nie musi być żadnym wyznacznikiem.

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Zełenski nigdy nie aspirował do roli twardziela. Wychował się na wysokim piętrze w bloku z wielkiej płyty. Znał osiedle. Obserwował, jak pod koniec lat osiemdziesiątych rodzi się kasta bigunów, którzy byli w Krzywym Rogu odpowiednikiem gopników, czyli dresiarzy (biguni to specyficzna subkultura małoletnich z Krzywego Rogu, której hymnem był utwór Jurija Szatunowa „Biełyje rozy". Ich działalność polegała na stosowaniu przemocy wobec rówieśników. Szacuje się, że w latach 1985-1995 w wyniku ich działalności zginęło co najmniej trzysta osób, a rannych zostało ponad tysiąc pięćset nieletnich – przyp. Z.P.). Nie było nawet momentu, w którym Zełenski chciałby do tej subkultury dołączyć. Nie wiem, czy pasowałby do bigunów nucąc Sofię Rotaru pod nosem. Do tego w szkole był kujonem. Jedyne, co łączyło go z chuligańskimi subkulturami, to sięganie po homofobiczne powiedzenia. Ale wtedy to była norma. Gopników nie lubili nauczyciele. Zełenski był ulubieńcem nauczycieli. W Polsce też mieliście swoje „szalone lata dziewięćdziesiąte", ale myślę, że większość Polaków nie jest w stanie sobie wyobrazić brutalności tych lat w Rosji czy na Ukrainie. Wojny osiedlowe nie były zwykłymi walkami na pięści. To były regularne bitwy, często z użyciem broni palnej. Ktoś, kto chodził na tańce, nie pasował do tego świata. Niemniej jednak Zełenski ten świat znał i rozumiał. Wiedział, na czym polega brutalne i zimne wychowanie w bloku w posowieckim mieście. Może się nie bił, ale potrafił knajacko mówić. Znał pojęcia. Nie był frajerem. Do tego w przeciwieństwie do swoich dzisiejszych rywali z polityki on naprawdę jest przedsiębiorczy. Sam dorobił się pierwszych dużych pieniędzy na pracy, a nie na złodziejstwie. Występy dawały mu poważne dochody. Zbudował ze znajomymi firmę producencką. Grał w filmach. Występował w kabaretach. Wziął udział w „Tańcu z gwiazdami". W końcu sam wymyślił Hołoborodkę i serial „Sługa Narodu". W skali Ukrainy to kariera amerykańska. Od zwykłego dzieciaka z osiedla do znanego w całym byłym ZSRR aktora i komika, który potrafi na siebie zarobić i nie jest niczyim klientem.

Polityk Sługi Narodu: Zełenski jest „Mały", ale od początku swojej kariery emanował przywództwem. Ludzie go słuchali. Dawali się przekonać. Jego największym talentem wcale nie był śpiew czy taniec. On ma wewnętrzną konstrukcję przywódcy. Nieznoszącego sprzeciwu przywódcy. Ma być tak, jak on chce. Albo po dobroci, albo siłą. Takie cechy są konieczne, by rządzić. I tych cech nie docenił w nim Putin. Od początku miał o nim bardzo niskie mniemanie. W Rosji nie ma przepływów między kulturą i sceną a polityką. Politykiem może być wojskowy, oficer wywiadu, przestępca. Ale nie piosenkarz. Piosenkarz to zawsze w Rosji będzie postać słaba i niegodna szacunku. Rosjanie nie oczekują od przywódcy wrażliwości. Ma być brutalny i silny. Ukraińcy nie są tacy sami. Mimo sowieckich doświadczeń o wiele bardziej demokratycznie i płynnie widzą przepływy między rolami, które ludzie pełnią w życiu.

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Ma dwie ważne cechy, które są konieczne do sprawowani władzy. Ma naturalne zdolności przywódcze, potrafi walczyć i jest pracowity. Kocha władzę, ale nie jest Kaligulą. Ciężko pracuje. Z Kaligulą łączy go tylko to, że nie docenili go jego przeciwnicy. Sam Zełenski uważa, że od przegranej gorsza jest tylko śmierć.

Polityk Sługi Narodu: Zełenski fascynował się Napoleonem i Charlie Chaplinem. Coś z miksu tych dwóch postaci ma. Na pewno skłonność do rządów jednoosobowych z jakimś doradcą na zapleczu. Najpierw tym doradcą i współrządzącym był Jermak. Teraz jest Kyryło Budanow. Wiedział, jak dostosować się do czasów wojennych. Pamiętam, że na początku swojej kariery politycznej, gdy próbował zwracać się do Władimira Putina bezpośrednio poprzez wystąpienia telewizyjne, miał na sobie T-shirt z wizerunkiem Muhammada Alego. Później był sweterek, w którym przekonywał Ukraińców, że jest zwykłym człowiekiem – takim jak oni. Skończył w ubraniach koloru khaki. Przyjmując rolę zaangażowanego w walkę patrioty. Jako polityk przeszedł ogromną przemianę. Od obojętnego na przelewające się przez Ukrainę rewolucje aktora, przez wyjeżdżającego na Donbas na początku wojny barda, do męża stanu.

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Wszedł do polityki jako lek i taran na oligarchów. Na jego zapleczu był jednak oligarcha. Wspierał go Ihor Kołomojski – Żyd z Dniepropietrowska. Była umowa, że jeśli Zełenski wygra, rozliczy się z nim poprzez zwrot banku, który Kołomojskiemu znacjonalizowano. Gdy Zełenski nie wywiązał się z tej umowy i podjął walkę z Kołomojskim, wiedziałem, że z aktora narodził się pełnokrwisty polityk. Zełenski dokonał ojcobójstwa. Został przywódcą. Nieudawanym i niegranym przywódcą.

Polityk Sługi Narodu: On już ma swoje miejsce w historii. Można go rozliczać z błędów. Można krytykować za skłonności autorytarne. To wszystko schodzi jednak na drugi plan. Nawet jeśli nie zdecyduje się na start w wyborach, zostanie zapamiętany jako postać historyczna dla Ukrainy i dla świata. Czas będzie działał na jego korzyść. Jeśli nie zrobi czegoś ekstremalnie głupiego, ma swoje miejsce w panteonie. Kuczma był uwikłany w złodziejstwo i kojarzy się go z zabiciem dziennikarza, Juszczenko zawiódł oczekiwania rewolucji z 2004 roku, Janukowycz uciekł z kraju. Zełenski stanął w obronie Ukrainy. Wszedł w rolę, której wielu polityków by nie wzięło. Nie można sobie wyobrazić mniej korzystnych warunków do kierowania państwem niż te, które przypadły w udziale Zełenskiemu. Historia go zapamięta jak należy. Nieważne będzie, czy się kreował, czy nie. Nieważne, czy miał kompleksy, czy nie. Najważniejszą rolę w swoim życiu odegrał właściwie. Jego zadaniem nie było wczuwanie się w oczekiwania Bidena, Dudy, Macrona czy Merza. Nie ma znaczenia, czy lubi go Nawrocki albo Orbán. Zerowe znaczenie ma to, czy akceptuje go Trump i jak go przezywa. Zadaniem Zełenskiego było ocalenie państwa. I zrobił to. Najpewniej z tego powodu wynika poczucie niezniszczalności. Poczucie, że każdemu może dowolnie nawrzucać. On chyba tylko wobec króla Karola III zachowywał dobre maniery. Ale kto mu zabroni? Kto zbawcy narodu zabroni bycia obcesowym i chamskim? Takie jest jego prawo. Zełenski ma i tak przej…e. Nie musi się o nic starać.

KSIĄŻKA

Zbigniew Parafianowicz, „Kłopot z Zełenskim", Wyd.: Czerwone i Czarne

eprasa.pl 3abe94452f

WOLNOŚĆ SŁOWA. WARTOŚĆ KLUCZOWA

Wolność słowa każde pokolenie odkrywa na nowo - bo w każdym pokoleniu media są całkowicie inne. Ale jeśli tej kluczowej wartości nie uda się zachować, to zmiany w ekosystemie mediów staną się jedynie pustą formą, bez treści

Agaton Koziński

W styczniu 1941 r. Franklin D. Roosevelt wygłosił tradycyjne „orędzie o stanie Państwa". Ale choć amerykańscy prezydenci tego typu mowy głoszą co roku, to tamto wystąpienie nabrało wydźwięku ponadczasowego, uniwersalnego. Dziś jest ono znane jako orędzie „Cztery wolności". Roosevelt opisywał w nim, jak powinien wyglądać świat po zakończeniu II wojny - bo choć USA wtedy jeszcze nie weszły do globalnego konfliktu (nastąpiło to pod koniec 1941 r.), to już wtedy było wiadomo, że II wojna światowa okaże się punktem zwrotnym w dziejach.

Roosevelt wskazał cztery kluczowe obszary, o które należy dbać: wolność słowa i wypowiedzi, wolność wyznania, wolność od niedostatku, wolność od strachu. Ale na tą pierwszą położył najsilniejszy akcent. „Pierwszą z nich jest wolność słowa i wypowiedzi, na całym świecie" - podkreślił.

FOT. POLSKA PRESS

Medal Wolności Słowa to nagroda wręczana od 2021 r. dla osób zasłużonych w obronie tej kluczowej wartości

Dziś wydaje się, że wolność słowa to wartość tak powszechna, że oczywista. Że jest jak powietrze, jak podatki, jak wschód słońca rano - coś, czego nigdy nie zabraknie. Ale to tylko ułuda. „Nasze życie jest ciągłą walką" - mawiał Eurypides. Dotyczy to także wolności słowa. Uda się ją zachować tylko wtedy, gdy ciągle będzie miała własnych rzeczników gotowych jej bronić.

Bronić przed czym? Choćby przed błyskawicznymi zmianami zachodzącymi w naszej rzeczywistości. Wolność słowa jest wartością zagwarantowaną w polskiej konstytucji. Ale przyjrzyjmy się bliżej zapisom artykułu 54.:

„1. Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji.

2. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane. Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej".

Od razu widać lukę w zapisach konstytucyjnych - bo w żaden sposób nie obejmuje ona internetu. Teoretycznie rzecz biorąc media cyfrowe nie mają zagwarantowane ochrony w konstytucji. Oczywiście, to konsekwencja chwili stworzenia ustawy zasadniczej, wtedy internetu zwyczajnie nie było. Ale już choćby to pokazuje, jak wolność słowa potrafi być ulotna.

Media zawsze idą na przodzie wszelkich zmian. To środowisko szalenie dynamicznie, wyznaczające standardy zmian na świecie. Tak się działo zawsze, tak też jest teraz w czasach rewolucji cyfrowej. Ale bez zapewnienia fundamentu, jakim jest wolność słowa, ta zmiana będzie tylko pustą formą pozbawioną treści. Jeśli ta kluczowa dla demokracji wolność ma zostać zachowana, trzeba o nią dbać w każdym pokoleniu.

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Wskazań kandydatów do uhonorowania Medalem Wolności Słowa można dokonywać poprzez wypełnienie formularza zgłoszeniowego na stronie internetowej https://medal.fundacjagrandpress.pl.
Kandydatów mogą zgłaszać:
- kolegia redakcyjne mediów
- władze organizacji pozarządowych, fundacji i stowarzyszeń
- pełnoletni obywatele Polski

Zgłoszenia przyjmowane są do 12 czerwca.

KRÓTKO

BOŻE CIAŁO

Procesje na polskich ulicach

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/PAP

Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, zwana potocznie Bożym Ciałem, jest świętem ruchomym. W Polsce przypada w czwartek po uroczystości Najświętszej Trójcy. Wczoraj, w całym kraju, ulicami miast i miasteczek przeszły procesje. Na zdjęciu procesja w Łowiczu.

EKOLOGIA

Darmowa kranówka w lokalach

Rewolucja w polskich lokalach wejdzie w życie już 12 sierpnia. Od tego dnia restauracje, bary i kawiarnie zostaną prawnie zobowiązane do tego, aby na życzenie klienta na stole pojawiła się darmowa kranówka. Przepisy określają jasny limit - lokale będą musiały podać bezpłatnie do 0,5 litra wody na osobę. Woda będzie serwowana w naczyniach wielokrotnego użytku lub wielokrotnego napełniania, bezpośrednio do stolika lub w miejscu wydawania posiłków.

Wprowadzenie tych zmian ma na celu przede wszystkim drastyczne ograniczenie ilości generowanych śmieci.

Co ciekawe, we Włoszech sąd uznał niedawno, że lokale nie mają takiego obowiązku.

Kolejne weto prezydenta? Przed nami miesiące sporów

Dorota Kowalska
Warszawa

Sejm, po miesiącach dyskusji, uchwalił wreszcie ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Pytanie, czy podpisze ją prezydent.

Szykuje nam się kolejna polityczna burza. W zeszłym tygodniu Sejm uchwalił ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Za głosowało 230 posłów, 198 było przeciw, 1 wstrzymał się od głosu. Wśród posłów koalicji, którzy zagłosowali przeciw, byli politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego: Marek Biernacki, Andrzej Grzyb, Urszula Nowogórska i Jacek Tomczak.

Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu zakłada, że dwie osoby pełnoletnie będą mogły zawrzeć umowę u notariusza, która - rejestrowana w USC - umożliwi stronom m.in. wybór ustroju majątkowego, ustanowienie obowiązku alimentacyjnego, uzyskanie prawa do korzystania ze wspólnego mieszkania oraz nadanie drugiej osobie uprawnień do dostępu do informacji medycznych i działania jako pełnomocnik w sprawach codziennego życia.

FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowić alternatywę dla małżeństwa - powiedział prezydent

Teraz ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego i tu mamy problem. Paweł Szefernaker, prezydencki minister stwierdził, że „nie ma i nie będzie zgody pana prezydenta na legalizację związków partnerskich".

- Mamy kontekst próby siłowego wprowadzenia transkrypcji związków partnerskich, które poza granicami kraju nazywane są małżeństwami jednopłciowymi. Pierwszym krokiem jest wprowadzenie związków partnerskich, drugim jest transkrypcja, a następnie prowadzi to do przysposobienia i adopcji dzieci. Taka polityka małych kroków. Nie będzie zgody pana prezydenta na wprowadzanie quasi-małżeństwa do polskiego prawa - powiedział Szefernaker, dodając, że prezydent „będzie chciał życzliwie spojrzeć na rozwiązania wprowadzające status osoby bliskiej".

Do sprawy odniósł się także sam Karol Nawrocki.

- Jestem strażnikiem konstytucji. Mimo tego, że jestem krytyczny po ponad 30 latach do konstytucji z 1997 roku, to jak regularnie powtarzam, będę strażnikiem tej konstytucji do samego końca mojego albo jej. W tej konstytucji jest wprost zapisane, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowić alternatywę dla małżeństwa - stwierdził zapytany o to, czy podpisze przyjętą w piątek ustawę.

Nawrocki dodał jednak, że ze względu na toczone w Pałacu Prezydenckim rozmowy różnych środowisk, jest gotów podpisać ustawę dotyczącą statusu osoby najbliższej, jeżeli nie będzie ona ideologiczna i nie będzie „stanowiła furtki dla alternatywy małżeństwa i podważania polskiej konstytucji". - Jeśli znajdziemy rozwiązania, które pomogą osobom w statusie osoby najbliższej na funkcjonowanie formalne, administracyjne, a nie będą niosły ze sobą rozwiązania ideologicznej presji czy próby podważania wyjątkowego statusu małżeństwa, to taką ustawę podpiszę. Mam nadzieję, że taką uda się wypracować - powiedział.

Pytanie, jak długo owe prace potrwają i kto je prowadzi. Nad ustawą o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu politycy koalicji rządzącej pochylali się długie miesiące, bo co tu dużo mówić, ustawa rodziła się w bólach.

Kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października. Co więcej, domagają się tego Polacy. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów" TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany.

PAP

eprasa.pl 3abe94452f

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

REMONTY kompleksowe 663840108

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol.com.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński-chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

ELEWACJE docieplenia 797-866-087

MALOWANIE gładzie 530-056-990

ZDUN 508-918-006

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA" tel. 504166613

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

USTKA- Wczasy! Pokoje! 604-486-413.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Towarzyskie

PANIE: 70+ tel. 577690502; 60+ 504974421 poznają Przyjaciół

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń, bez wychodzenia z domu

Tutaj zlecisz ogłoszenie
ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0011532401

Zieleń Miejska
Zakład Pogrzebowy
UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011535424

Z głębokim żalem i smutkiem żegnamy
naszego Kolegę i Współpracownika

Piotra Andersohna

Odszedł od nas człowiek wyjątkowy
- pełen energii, pogody ducha
i niepowtarzalnego poczucia humoru.

Swoją spontanicznością,
otwartością i odrobiną szaleństwa
potrafił rozbawić każdego oraz zmienić zwykły dzień
w chwilę wartą zapamiętania.

Pozostawił po sobie niezliczone wspomnienia chwil,
które na zawsze pozostaną w naszej pamięci.

Choć odszedł zbyt wcześnie,
pamięć o Nim będzie żyła w śród tych,
którzy mieli szczęście Go poznać,
bo takich ludzi jak On nigdy się nie zapomina.

Rodzinie i Bliskim
składamy
wyrazy najgłębszego współczucia.

Zarząd i pracownicy
Przedsiębiorstwa Organizacji Budownictwa POBUD

REKLAMA 0011532926

Fordońska Spółdzielnia Mieszkaniowa

**ogłasza przetarg pisemny ofertowy
na sprzedaż prawa wieczystego użytkowania
dz. nr 60/74 obręb 337 o pow. 3845 m².**

Oferty można składać do dnia 8.06.2026 r. do godz. 15.00 na druku dostępnym do pobrania ze strony internetowej Fordońskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w zakładce „Przetargi". Warunkiem uczestniczenia w przetargu jest wpłacenie wadium w wysokości 124 700,00 zł.

Nieruchomość jest obciążona służebnościami. Na terenie nieruchomości znajduje się infrastruktura techniczna. Działka nr 60/74 obręb 337 nie posiada bezpośredniego dojazdu do drogi publicznej ul. Rupniewskiego.

Przed złożeniem oferty należy zapoznać się ze szczegółami i warunkami przetargu na stronie internetowej www.fordonskasm.pl lub pod numerem tel. 52 343-02-72 wew. 223.

Fordońska Spółdzielnia Mieszkaniowa zastrzega sobie prawo do odwołania lub unieważnienia przetargu na każdym etapie bez podania przyczyny.

0011535224

Z głębokim smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Taty

naszej koleżanki
Marty Tomsza

Pragniemy przekazać wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia w tych trudnych chwilach.

Zarząd oraz Pracownicy
Zakładu Wodociągów i Usług Komunalnych sp. z o.o.
w Białych Błotach

AUTOPROMOCJA 0310733256

Zleć **nekrologi, ogłoszenia drobne, życzenia**

Biuro ogłoszeń Expressu Bydgoskiego:

Bydgoszcz, czynne: pn.-pt. 8-16,
ul. Zamoyskiego 2
tel. 519 503 513,
e-mail: magdalena.welka@polskapress.pl

Express Bydgoski · Gazeta Pomorska · Nowości Dziennik Toruński

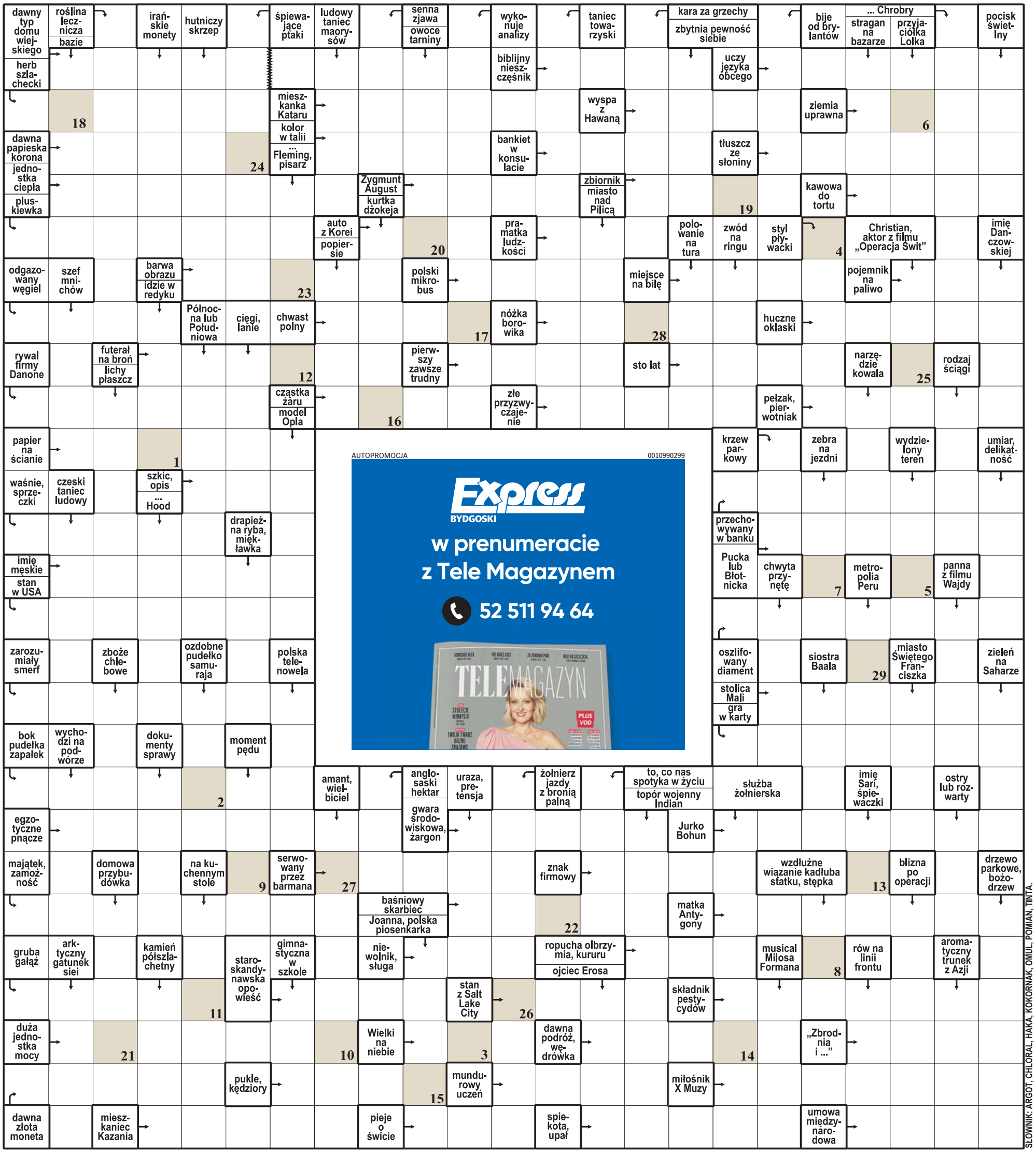

AUTOPROMOCJA 0010990299
Express BYDGOSKI
w prenumeracie z Tele Magazynem
52 511 94 64
TELEMAGAZYN

SŁOWNIK: ARGOT, CHLORAL, HAKA, KOKORNAK, OMUL, POMIAN, TINTA.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie: mądrość ludową.

ROZWIĄZANIE: PRÓŻNO SIĘ TRUDZI, KTO NIE ZNA LUDZI.

eprasa.pl 3abe94452f

Wiśniewski uratował nas przed porażką z Nigerią

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Reprezentacji Polski ledwo udało się zremisować w meczu towarzyskim z Nigerią 2:2. Remis uratował strzałem życia Przemysław Wiśniewski w doliczonym czasie gry.**

Postawa Biało-Czerwonych w spotkaniu z Afrykańczykami była bardzo słaba i gdyby nie bramka obrońcy Widzewa Łódź, atmosfera byłaby jeszcze gorsza.

Polacy kilka dni temu, w meczu z Ukraińcami (0:2), zagrali, jakby już czekali na wakacje. W środowy wieczór rywalem w Warszawie były „Super Orły", czyli trzecia drużyna ostatniego Pucharu Narodów Afryki.

W pierwszych dwudziestu minutach gra zespołu Jana Urbana w była dość obiecująca. W 21. minucie meczu, Robert Lewandowski, zagrał piętą do Karola Świderskiego, któremu odskoczyła piłka i gdy próbował do niej dopaść, został ewidentnie nadepnięty przez rywala. Rumuński sędzia Alexandru Barbu nie podyktował jednak rzutu karnego. Dwie minuty później Nigeria przeprowadziła atak i piłkę do bramki Kamila Grabary skierował Terem Moffi. Sędzia przez chwilę zastanawiał się, czy uznać gola, ze względu na potencjalnego spalonego, ale po analizie VAR zaliczył bramkę. Gdy wydawało się, że Biało-Czerwoni będą schodzić na przerwę, przegrywając, wyrównał młodziutki obrońca Mainz Kacper Potulski.

Kwadrans przed końcem meczu wydawało się, że Polacy są bliżsi zdobycia drugiej bramki. Ale jedna z nielicznych akcji rywali zakończyła się przypadkowym kontaktem piłki z przedramieniem Kacpra Kozłowskiego i rzutem karnym, podyktowanym po analizie VAR. „Jedenastkę" wykorzystał w 77. minucie Paul Onuachu. Gdy zanosiło się na trzecią z rzędu porażkę Biało-Czerwonych, w doliczonym czasie gry Przemysław Wiśniewski zdecydował się na strzał rozpaczy z kilkudziesięciu metrów i piłka wpadła do siatki.

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Obrońca Widzewa Przemysław Wiśniewski strzałem rozpaczy z dystanu uratował Polskę przed porażką

Gra reprezentacji z Nigerią przez większość kibiców i dziennikarzy została oceniona bardzo źle. Ale selekcjoner Urban miał inne zdanie. Wyznał po spotkaniu, że uważa ten mecz za całkiem dobry w wykonaniu jego kadry.

– Ten problem mamy od dłuższego czasu i najgorsze jest to, że nie jest tak, że przeciwnik stwarza nie wiadomo, ile sytuacji i wykorzystuje dwie czy trzy. Rywale nie stwarzają dużo okazji, ale zwłaszcza dziś byli dla nas bardzo, bardzo okrutni. Ale to są mecze sparingowe, nie za nie będą nas oceniać. Uważam, że dziś było naprawdę dobre spotkanie na PGE Narodowym – powiedział selekcjoner.

Stoper FC Porto Jan Bednarek zaskoczył wszystkich, wyznając, że też uważa mecz z Nigerią za udany. Zaskoczył odpytujących, że reprezentacja musi wciąż się uczyć i że analizując mecz z Ukrainą, piłkarze wyciągnęli wnioski na mecz z Nigeryjczykami.

– W porównaniu do meczu z Ukrainą to spotkanie było naprawdę dobre i na tym musimy bazować, musimy się rozwijać i ciągle uczyć. Jeśli krytyka jest konstruktywna, to trzeba z niej wyciągać wnioski, nie obrażać się i słuchać głosu innych ludzi. My mieliśmy taką szczerą analizę razem z trenerem i wydaje mi się, że wyciągnęliśmy te wnioski. Małe detale są bardzo ważne – oznajmił.

Zdanie Bednarka o nauce nie jest zbyt optymistyczne, biorąc pod uwagę, gdzie na co dzień grają liderzy polskiej kadry i jaki sezon rozegrali, w tym on sam w barwach Porto.

Reprezentacja Polski rozjedzie się na wakacje, bo nie zagra na mundialu 2026. Kolejne mecze drużyny narodowej odbędą się jesienią. Rywalami w drugiej dywizji Ligi Narodów, będą: Szwecja, Rumunia oraz Bośnia i Hercegowina.

POLSKA - NIGERIA 2:2 (1:1)

Bramki: dla Polski - Kacper Potulski (45+1), Przemysław Wiśniewski (90+5), dla Nigerii - Terem Moffi (23), Paul Onuachu (77-karny).
Żółte kartki: Polska - Bartosz Slisz, Robert Lewandowski; Nigeria - Abdullahi Bewene, Raphael Onyedika. **Sędzia:** Marian Barbu (Rumunia). **Widzów:** 54 408.
Polska: Kamil Grabara - Przemysław Wiśniewski, Jan Bednarek, Kacper Potulski (82. Jakub Kiwior) - Sebastian Szymański (62. Kacper Kozłowski), Jakub Kamiński, Bartosz Slisz, Piotr Zieliński (90. Karol Czubak), Nicola Zalewski (90. Oskar Pietuszewski) - Robert Lewandowski, Karol Świderski (62. Norbert Wojtuszek).
Nigeria: Maduka Okoye - Abdullahi Bewene, Igoh Ogbu (46. Calvin Bassey), Emmanuel Fernandez (46. Semi Ajayi), Bruno Onyemaechi (46. Zaidu Sanusi) - Wilfred Ndidi, Frank Onyeka (46. Raphael Onyedika), Tochukwu Nnadi (46. Rafiu Durosinmi), Moses Simon (63. Fisayo Dele-Bashiru) - Akor Adams (46. Philip Otele), Terem Moffi (46. Paul Onuachu).

©℗

Jeszcze trochę emocji na regionalnych boiskach. Baraże dla Pogoni

MG, JP
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Rozegrano mecze 32. kolejki 4. ligi kujawsko-pomorskiej.**

Wicemistrzostwo i baraże drugi sezon z rzędu zapewniła sobie Pogoń Mogilno. Nadal znamy tylko jednego spadkowicza.

32. kolejka 4. ligi kujawsko-pomorskiej: Mustang Ostaszewo - Unia Gniewkowo 7:0 (3:0), bramki: Nikodem Dziurlikowski 2 (15, 30), Hubert Judycki (24), Tomasz Brzoska (57), Hubert Maciąg (63), Bartosz Wiwatowski (67), Oliwier Malinowski (84). **Start Eco-Pol Pruszcz - Unia Solec Kujawski 1:1 (0:0),** bramki: Filip Tadych (88) - Mateusz Zielecki (73). **Łokietek Brześć Kujawski - Sparta Brodnica 1:4 (0:1),** bramki: Michał Skonieczny (78) - Michał Bartkowski 3 (39, 68, 86), Bartłomiej Kaczyński (61). **Noteć Łabiszyn - Orlęta Aleksandrów Kujawski 0:2 (0:1),** bramki: Jan Jakubiec (7), Jan Chmielewski (75). **Chemik Moderator Bydgoszcz - Wisła Dobrzyń nad Wisłą 1:4 (0:2),** bramki: Adam Łotoszyński (51) - Wiktor Kalinowski (18), Kacper Wiśniewski (21), Kevin Durueke (55), Kamil Kuropatwiński (79). **Lech Rypin - Cuiavia Inowrocław 2:1 (2:1),** bramki: Adam Safian (7), Marcel Łapkiewicz (22) - Szymon Gąsiorek (35). **Victoria Czernikowo - Pogoń Mogilno 0:0. Kujawiak Lumac Kowal - Unia Wąbrzeźno 1:1 (0:1),** bramki: Leanid Khankevich (69) - Jakub Nowak (28).

1.	Chemik Bydgoszcz	30	74	77-21
2.	Pogoń Mogilno	31	67	75-22
3.	Unia Solec Kujawski	31	62	60-22
4.	Wisła Dobrzyń n/W	30	59	61-28
5.	Unia Wąbrzeźno	30	54	64-31
6.	Mustang Ostaszewo	30	47	40-34
7.	Sparta Brodnica	30	44	56-34
8.	Kujawiak Kowal	30	44	36-38
9.	Orlęta Aleksandrów	30	38	43-47
10.	Victoria Czernikowo	30	38	30-50
11.	Cuiavia Inowrocław	30	34	35-48
12.	Start Pruszcz	30	32	42-61
13.	Łokietek Brześć Kuj.	30	31	38-71
14.	Piast Kołodziejewo	30	28	33-74
15.	Lech Rypin	30	28	34-66
16.	Noteć Łabiszyn	30	24	34-48
17.	Unia Gniewkowo	30	11	22-86

Sobota: Orlęta Aleksandrów Kuj. - Łokietek Brześć Kuj. (14:00), Sparta Brodnica - Lech Rypin (14:00), Cuiavia Inowrocław - Chemik Bydgoszcz (16:00), Wisła Dobrzyń - Kujawiak Kowal (11:00), Unia Wąbrzeźno - Start Pruszcz (17:00), Unia Solec Kujawski - Victoria Czernikowo (11:00), Piast Kołodziejewo - Unia Gniewkowo (17:00).
Niedziela: Noteć Łabiszyn - Mustang Ostaszewo (13:00)

FOT. WOJCIECH NAWROCKI

Fragment spotkania Kujawiak Lumac Kowal - Unia Wąbrzeźno

Dwa turnieje w Manchesterze, dwóch Polaków na czele klasyfikacji

Jacek Kmiecik
sport@polskapress.pl

ŻUŻEL. **W piątek na torze w Manchesterze odbędzie się trzecia, a w sobotę już czwarta runda walki o indywidualne mistrzostwo świata - Grand Prix Wielkiej Brytanii.**

Po dwóch rundach żużlowego cyklu Grand Prix 2026 na czele klasyfikacji generalnej jest Bartosz Zmarzlik, który walczy o historyczny siódmy tytuł indywidualnego mistrza świata. Wcześniej, w Landshut oraz Pradze, Polak stawał na najniższym stopniu podium i z 32 punktami na koncie o jedno „oczko" wyprzedza rewelacyjnego debiutanta w cyklu, rodaka Kacpra Worynę.

Za plecami dwójki Polaków czai się Australijczyk Brady Kurtz, którego pasjonująca walka ze Zmarzlikiem była ozdobą ubiegłego sezonu w IMŚ.

W nadchodzący weekend najlepsi żużlowcy świata wystartują na torze, który umożliwia wiele mijanek, co jest gwarantem świetnej rywalizacji.

Jeszcze przed rozpoczęciem rywalizacji organizatorzy musieli ogłosić kolejne zmiany na liście startowej. Oficjalnie potwierdzono, że z podwójnej rundy SGP Wielkiej Brytanii wycofał się Fredrik Lindgren, który nabawił się kontuzji polskiej lidze, w meczu w Lesznie.

Miejsce szwedzkiego żużlowca zajmie Kai Huckenbeck. Niemiec był trzecim rezerwowym całego cyklu, ale wcześniej swoich szans doczekali się już Duńczyk Anders Thomsen oraz Czech Jan Kvech. Obaj zastępują kontuzjowanych Brytyjczyka Dana Bewleya (złamał kość udową i doznał zgniecenia kręgu lędźwiowego w lidze duńskiej) i Dominika Kuberę (złamał obojczyk w lidze szwedzkiej i obecnie przechodzi rehabilitację po operacji).

Poprzednie turnieje o Grand Prix Wielkiej Brytanii na torze Bellu Vue w Manchesterze były fenomenalnymi widowiskami, w których zwycięstwa odnieśli reprezentant gospodarzy Dan Bewley, a dzień później Bartosz Zmarzlik. Ubiegłoroczny podwójny weekend został zresztą uznany za jeden z najbardziej widowiskowych momentów sezonu.

Obie tegoroczne rundy w Manchesterze będzie można obejrzeć w Eurosporcie 3, Playerze oraz w HBO Max. Transmisje rozpoczną się o godzinie 19.30 (w piątek o 15.00 zostaną rozegrane też kwalifikacje).

Zmagania skomentuje niezawodny duet Michał Korościel - Marcin Kuźbicki. Reporterką będzie Marcelina Rutkowska-Konikiewicz, z kolei w studiu gośćmi Sebastiana Szczęsnego będą Piotr Protasiewicz oraz Rafał Lewicki.

Klasyfikacja generalna IMŚ po dwóch turniejach Speedway Grand Prix (w Landshut i w Pradze):
1. Bartosz Zmarzlik - 32 pkt., 2. Kacper Woryna (obaj Polska) - 31, 3. Brady Kurtz (Australia) - 26, 4. Leon Madsen (Dania) - 21, 5. Jack Holder (Australia) - 21, 6. Robert Lambert (Wielka Brytania) - 20, 7. Jason Doyle (Australia) - 19, 8. Daniel Bewley (Wielka Brytania) - 18, 9. Dominik Kubera (Polska) - 17, 10. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 16, 11. Patryk Dudek (Polska) - 15, 12. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 14, 13. Fredrik Lindgren (Szwecja) - 12, 14. Max Fricke (Australia) - 10, 15. Nazar Parnicki (Ukraina) - 8, 16. Anders Thomsen (Dania) - 4, 17. Norick Bloedorn (Niemcy) - 4, 18. Jan Kvech (Czechy) - 3, 19. Adam Bednar (Czechy) - 1, 20. Kevin Woelbert (Niemcy) - 0.

eprasa.pl 3abe94452f

SPORT

www.sportowy24.pl

ŻUŻEL

Weekend z Metalkas 2. Ekstraligą

To będzie skromny weekend dla fanów ligowego żużla. PGE Ekstraliga pauzuje, ale będzie sporo meczów na jej zapleczu. Już w czwartek rozegrano mecze PSŻ Poznań - Polonia Piła oraz Orzeł Łódź - Moonfin Magnus Ostrów. W niedzielę aż trzy kolejne spotkania Metalkas 2. Ekstraligi: 14.00 ROW Rybnik - Polonia Piła, 16.30 Orzeł Łódź - Wilki Krosno, 19.00 PSŻ Poznań - Moonfis Magnus Ostrów. Transmisja w Canal+ Sport 5 i Canal+ Online.

FOT. POLSKAPRESS

KOSZYKÓWKA

Wzmocnienie pod koszem

Kristina Moore to nowy nabytek Artego Bydgoszcz. 25-letnia skrzydłowa (185 cm) to Australijka, ale z łotewskim paszportem. Do tej pory w zawodowej karierze grała w Australii, Belgii i Grecji.

Grzegorz Skiba: - Musieliśmy udźwignąć rolę faworyta. To jest dużo trudniejsze

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **- Dokonaliśmy dobrych wyborów przed sezonem i byliśmy konsekwentni - mówi trener Grzegorz Skiba, trener Enea Abramczyk Astorii Bydgoszcz.**

Jaki był plan na decydujące starcie z ŁKS?

Przede wszystkim zatrzymać szybki atak rywali i grę łodzian w otwartym boisku plus ograniczenie Carlosa. Ten drugi element do przerwy źle nam funkcjonował, ale w drugiej połowie poprawiliśmy, zmieniliśmy trochę defensywę, staraliśmy się zabrać mu piłkę i już tyle punktów nie zdobywał. Karol zagrał fenomenalne zawody, w końcu Kimbrough też się otworzył. To był najważniejsze klucze do zwycięstwa. Jestem bardzo szczęśliwy.

Wspomniał pan o Kimbrough. To niesamowite, jak się odrodził po czterech bardzo słabych meczach w finałach.

Rozmawialiśmy z nim przed tym meczem. Staraliśmy się przekazać mu, że jest nam niesamowicie potrzebny, a przede wszystkim, że cały czas mu ufamy, że ma brać piłkę i być naszym liderem. Mamy doświadczonych graczy, największym problemem w tych finałach była zawężona rotacja, bo przecież wcześniej straciliśmy Wojtka Dzierżaka, a w decydującym meczu nie było Patryka Kędela, który przecież był jednym z najrówniej grających naszych koszykarzy. Udało się to wszystko połatać i awansować.

Cichym bohaterem był też Marcin Nowakowski. Jego spokoju zabrakło właśnie w ubiegłorocznym finale.

Dokładnie tak, nie było przecież w poprzednim sezonie także Michała Chylińskiego, tacy doświadczeni gracze są niesamowicie ważni w finałach. To są jednak rzeczy, na którego nie mamy wpływu. Tylko mu wiemy, ile pracy włożyli w ten sezon i ile on kosztował Marcina i „Chyla". To samo dotyczy Adam Kempa. Były różne opinie w trakcie sezonu, ale my w niego wierzyliśmy i w decydującym meczu finału zagrał znakomicie i bardzo nam pomógł. Dokonaliśmy dobrych wyborów przed sezonem i byliśmy konsekwentni. Stawialiśmy na pracę z tym zespołem, a nie na zmiany, które czasami więcej przeszkadzają niż pomagają. To nam się opłaciło.

Wygrał pan już swój drugi finał I ligi.

Ten sezon jest zupełnie inny w porównaniu do tego sprzed siedmiu lat. W 2019 roku byliśmy underdogiem w finale, atakowaliśmy z drugiego szeregu i po cichu awansowaliśmy do finału. W tym sezonie musieliśmy dźwignąć rolę faworyta, od początku mnie ukrywaliśmy swoich aspiracji. To jest trudniejsza rola, ale dzięki ciężkiej pracy wszystkich osób w klubie, wszystkich graczy w zespole udało nam się cel zrealizować.

Siedem lat temu zrezygnował pan z prowadzenia zespołu po awansie. Teraz jak będzie?

Jeszcze nie wiem. Kontrakt mi się kończy i usiądziemy dopiero do rozmów. Są takie namowy z wielu stron, ale muszę porozmawiać przede wszystkim z żoną. Na razie jest czas na radość i fetę, a potem będziemy rozmawiać o przyszłości. Na razie nie chcę nic deklarować. ©℗

FOT. DARIUSZ BJOCH

Grzegorz Skiba drugi raz wygrał I ligę z Astorią

KRÓTKO

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

ŻUŻEL

Polonia mocna, Anioły osłabione, GKM dopiero trzeci

Rozpoczęła się rywalizacja w ćwierćfinałach Drużynowych Mistrzostw Polski.

Na swoim torze rywalizowali poloniści. Obrońcy mistrzowskiego tytułu w pełni wywiązali się z roli faworyta i nie dali rywalom żadnych szans.

1. Polonia Bydgoszcz - 51 pkt: Andrzejewski 11 (3,-,2,3,3), Pawełczak 12 (3,3,-,3,3), Maroszek 9 (-,3,1,3,2), Putkowski 7 (3,0,t,2,2), Przyjemski 12 (3,3,3,3); 2. Stal Gorzów - 37 pkt: Kordun 7 (2,2,-,2,1), Chatłas 7 (1,2,1,-,3), Nycz 9 (2,2,-,3,2), Sobkowiak 6 (u,-,3,w,3), Jabłoński 8 (2,2,2,2); 3. Orzeł Łódź - 21 pkt: Lewandowski 5 (d,1,2,1,1), Zieliński 8 (1,1,3,1,2), Szeląg 0 (d,0,0,0,0), Orgacki 8 (2,3,1,2,u); 4. Speedway Kraków - 10 pkt: Bęczkowski 3 (2,1,0,-,0), Grzeszczyk 3 (1,1,1,0,-), Duda 1 (0,-,0,1,0), Zientara 2 (-,0,0,1,1), Juda 1 (1,d,0,w)

W Grudziądzu, mimo świetnej postawy Kevina Małkiewicza, GKM zajął dopiero trzecie miejsce. Zwyciężyli zawodnicy z Rzeszowa.

1. Stal Rzeszów - 39 pkt: Surowiec 9 (1,3,0,2,3), Majewski 13 (3,2,3,3,2), Przybyło 9 (2,1,1,3,2), Borowiak 8 (0,2,3,3,d); 2. Włókniarz Częstochowa - 37 pkt: Plutowski 9 (2,3,1,1,2), Karczewski 10 (3,1,2,1,3), Halkiewicz 9 (2,2,2,2,1), Ludwiczak 9 (3,1,2,1,2); 3. GKM Grudziądz - 30 pkt: Małkiewicz 13 (1,3,3,3,3), Iwański-Helt 4 (1,1,2,t,w), Miller 5 (2,0,0,2,1), Przanowski 8 (1,d,3,1,3), Szarszewski 0 (0); 4. TŻ Ostrów - 14 pkt: Seniuk 5 (0,3,1,w,1), Łuczak 8 (3,2,1,2,0), Szostak 0 (0,0,0,w,-), Rudowicz 1 (0,u,0,0,1)

W Lublinie torunianie przez niemal cały turniej ścigali gospodarzyz, ale miejscowi nie dali sobie odebrać zwycięstwa. Torunianie walczyli w osłabionym składzie. Po upadku w swoim pierwszym starcie zawodów nie kontynuował Bartosz Derek.

1. Motor Lublin - 40 pkt: Paweł Czaus 0 (w,-,-,-,-), Szmyd 10 (2,3,3,2,0), Jaworski 13 (2,3,3,3,2), Cepielik 11 (t,2,3,3,3), Zaborek - 6 (1,2,u,0,3); 2. KS Toruń - 31 pkt: Kawczyński 12 (2,2,2,3,3), Duchiński 12 (3,1,2,3,3), Derek - 0 (u,-,-,-,-), Heleniak 7 (0,3,2,2,0); 3. Unia Leszno - 28 pkt: Konieczny 8 (1,3,2,2,w), Kostera 7 (2,1,1,1,2), Juskowiak 6 (1,1,1,1,2), Wojtyńka 7 (3,1,1,0,2); 4. Polonia Piła - 20 pkt: Lewandowski 4 (0,2,0,1,1), Hejak 2 (0,d,1,0,1), Teska 9 (3,0,3,2,1), Baryłka 5 (3,0,0,1,-1)

W Toruniu trwa liczenie pieniędzy

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **- Pracujemy intensywnie nad tym, aby budżet był przede wszystkim stabilniejszy - mówi Piotr Barański, prezes Arrivy Lotto Twardych Pierników.**

Po ostatnim sezonie spodziewaliśmy się sporo zmian w toruńskim klubie. Nie tylko personalnych w składzie, ale organizacyjnych i nawet właścicielskich. Już w trakcie ostatniego sezonu Piotr Barański dawał do zrozumienia, że jest gotowy oddać spółkę. Wiemy, że takie wstępne rozmowy się odbyły, ale sprawa utknęła w miejscu i na razie daleko od przełomu.

Na razie trwają więc zwyczajowe porządki i przygotowania do budowy nowej drużyny. Kwestią zasadniczą jest budżet, który w ostatnim sezonie należał do najniższych w lidze. To może mieć znaczenie w kwestii przyszłości Srdjana Suboticia, który co prawda ma ważny kontrakt na kolejny sezon, ale chce walczyć o coś więcej niż utrzymanie.

Klub ma ważną umowę z Arrivą, trwają rozmowy na temat przedłużenia sponsoringu z Lotto. To oznacza, że nazwa drużyny w Orlen Basket Lidze może pozostać bez zmian.

Kluczem do zwiększenia budżetu na zawodników jest poszerzenie grona mniejszych sponsorów. - Prowadzimy rozmowy, aby tych mniejszych i średnich partnerów było jak najwięcej. Dzięki temu budżet może niekoniecznie musi być większy, ale ma być stabilniejszy. Odporniejszy na zawirowania w trakcie sezonu i umożliwiający poprawki kadrowe w zespole - wyjaśnia Piotr Barański.

Co z drużyną? Oczywiste jest, że strategiczną kwestią jest przedłużenie kontraktu z Damianem Kuligiem, rozmowy są w trakcie. Od tego zależą kolejne kroki w budowie zwłaszcza polskiej rotacji. Ważne kontrakty mają Adam Brenk, Mateusz Szlachetka (w tym wypadku z opcjami rozwiązania), Maciej Kenig, Hubert Lipiński i Paweł Sowiński.

Gdyby udało się przedłużyć kontrakt z Kuligiem, to ten zestaw nie wymagałby większych korekt, można byłoby skoncentrować się na szukaniu graczy zagranicznych. Z tych z poprzedniego sezonu na radarze są Noah Thomasson i Aleksandar Langović. Nie ma oczywiście żadnych szans na zatrzymania Aljaza Kunca. To nawet nie jest kwestia finansów, ale ambicji koszykarza, który chce zagrać w topowej lidze w Europie. ©℗

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Damian Kulig ma być liderem polskiej formacji

Zawisza ma licencję i żegna piłkarzy

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Odwołanie Zawiszy Bydgoszcz w sprawie licencji okazało się skuteczne i drużyna na pewno zagra w Betclic 2. Lidze w kolejnym sezonie.**

„W ostatnich dniach wokół Klubu pojawiało się wiele informacji, teorii i domysłów dotyczących powodów nieprzyznania licencji w pierwszej instancji. My jednak zamiast zajmować się spekulacjami, wykonaliśmy swoją pracę. Uzupełniliśmy wymagane dokumenty, wyjaśniliśmy wszystkie kwestie formalne i doprowadziliśmy sprawę do szczęśliwego finału" - informuje bydgoski klub.

W pierwszym terminie PZPN odmówił licencji bydgoskiemu klubowi. W opinii komisji Zawisza nie wypełnił warunków, które określają punkty F.01, F.03 oraz F.04 Podręcznika Licencyjnego. Generalnie można było to sprowadzić do braku zobowiązań wobec PZPN, związków wojewódzkich, piłkarzy, trenerów, pracowników oraz ZUS i Urzędu Skarbowego.

Klub przekonywał, że to kwestia wyłącznie uzupełnienia dokumentów i tak właśnie się stało. Zawisza może już ze spokojem przygotowywać się do nowego sezonu.

Skoro jest licencja, to można już ze spokojem budować kadrę na debiut w Betclic 2. Lidze. Poznaliśmy już nazwiska piłkarzy, których nie zobaczymy w składzie Zawiszy. To Jakub Bojas, Patryk Urbański, Patryk Skórecki, Marcel Wszołek, Bartosz Baran, Mikołaj Borowski.

eprasa.pl 3abe94452f